

PIOTR ZYCHOWICZ, CZYLI RESORTOWE DZIECKO



ŻOŁNIERZE ZNOWU WYRUSZĄ



NAJGORĘTSZA PREMIERA SEZONU.
ŁUKASZ PALKOWSKI O „POJEDYNKU"

KOŁODZIEJSKI, ROKITA, BUDZISZ. WSZYSTKO O SAFE

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
9 (691) 2026
23 lutego – 1 marca 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 2 III 2026 r.

TYLKO U NAS

AGATĘ KORNHAUSER-DUDĘ KRYTYKOWANO ZA TO, ŻE MILCZY.

MARTĘ NAWROCKĄ ZAATAKOWANO

ZA TO, ŻE MÓWI.
LEWICOWEMU SALONOWI NIE DOGODZISZ.
ON KOBIET PRAWICY PO PROSTU NIE CIERPI

MUREM ZA PIERWSZĄ DAMĄ!

eprasa.pl 1560eb7ad6

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość
czytania SIECI
na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 1560eb7ad6

Moja obietnica

Martwimy się swoją dramatycznie złą demografią, ale nie ma dziś właściwie nikogo, kto by nie miał powodów do zmartwień. Także Czechy, które przez lata uchodziły za państwo, które radzi sobie w sferze dzietności relatywnie dobrze. Jak podał Krzysztof Dębiec, analityk Ośrodka Studiów Wschodnich, w 2025 r. zanotowano tam najmniej urodzeń w historii pomiarów. Od 2021 r. – dodaje analityk – notowane są corocznie strome spadki – łącznie to 30 proc. „Nawet nie można powiedzieć, że sprawdza się najgorszy scenariusz – jest gorzej" – czytamy w analizie. Urodziło się zaledwie 77 tys. dzieci, tyle, ile miało się urodzić w 2029 r. Wskaźnik dzietności u naszych południowych sąsiadów wynosi dziś 1,25 dziecka na kobietę, a więc i tak znacznie więcej niż w Polsce, gdzie spadł poniżej 1,1 dziecka. Krzysztof Dębiec przywołuje wyniki badań uniwersyteckich sprzed dwóch lat: w 2005 r. 73 proc. Czechów uważało posiadanie potomka za konieczny warunek spełnionego życia. W latach 2020–2022 już tylko 41 proc., a wśród kobiet w wieku do 29 lat – zaledwie 22 proc. Dramatyczne załamanie, które nie wróży nic dobrego.

Polska debata wokół tragedii demograficznej (tygodnik „Sieci" stara się ją inspirować) rozkręca się powoli. Na pewno całkowicie nieadekwatnie do skali klęski, która nas spotkała. Jest to klęska równa przegranym wojnom, nawet zaborom. Bo co prawda dochrapaliśmy się statusu 20. gospodarki świata oraz przyzwoitego PKB na głowę mieszkańca, przeganiając kraje historycznie bogatsze, ale zapłaciliśmy za to straszliwą cenę. Załamanie dzietności to sygnał rozpadu społecznego, samych jego podstaw. Lektura mediów społecznościowych, zwłaszcza wątków poświęconych relacjom młodych mężczyzn z młodymi kobietami, pokazuje skalę trudności, przed którą stają młodzi ludzie chcący zbudować nawet nie rodzinę, lecz po prostu trwałą relację z intencją pójścia wspólną drogą. Do tego dochodzi luka edukacyjna, czyli wykształcone kobiety przenoszące się do dużych miast oraz mężczyźni na prowincji wykonujący prace fizyczne, jak i zauważalny w całym świecie zachodnim rozdźwięk polityczny: młode kobiety przesuwają się w stronę lewicy, a mężczyźni – w stronę prawicy. Coraz trudniej coś skleić, łatwiej żyć w świecie przygodnych relacji (ich częstotliwość także gwałtownie spada), i w świecie internetowych kapsułek, pełnych neurotycznych emocji. W sumie wolałbym Polskę bez tego spektakularnego sukcesu gospodarczego, ale choć odrobinę zdrowszą społecznie.



Są jednak i pozytywy. Zaproponowany przeze mnie i przez socjologa Marka Grabowskiego Dekalog Narodowego Przetrwania spotkał się z zaskakująco ciepłym przyjęciem. Wielu ludzi dobrej woli wyczuwa konieczność rozpoczęcia dyskusji wokół konkretnych, radykalnych propozycji. Zamawianie kolejnych analiz nic nam nie przyniesie. Wiemy, że jest bardzo źle, wiemy też, jakie są tego przyczyny. Nie wiemy, jak ruszyć do przodu, jak cokolwiek zmienić. Gdzie znaleźć siły społeczne i polityczne, które podejmą problem na poważnie? Politycy – nie oszukujmy się – w większości odwracają głowę, zbywają, ignorują (z nielicznymi wyjątkami, którym chwała). Także dlatego, że wiedzą, że to sprawa, która w państwach demokratycznych jest być może nie do udźwignięcia narzędziami demokratycznymi.

Ale nie można się poddać. Nie można biernie patrzeć na śmierć własnego narodu, na odejście w niebyt dorobku 40 pokoleń. Być może musimy spaść na samo dno, złapać twardy grunt, by się odbić. Spaść do momentu, w którym narodziny pojedynczego dziecka będą wydarzeniem relacjonowanym przez ogólnopolskie media, bo będzie to tak wielka rzadkość. Ktoś powie: do tego jeszcze daleko. A ja sądzę, że nie tak daleko, jak się wydaje. W niektórych gminach to już jest rzeczywistość. Rzeczywistość rodem z filmu katastroficznego. A wszystko w groteskowej atmosferze neurotycznej turystyki i podróży w zakątki dalekich kontynentów. Bo nienasycone „ja" domaga się kolejnych doznań do kolekcji.

Może nic się nie da zrobić, może to naprawdę wyrok historii na Polskę, na europejską cywilizację. Ale jedno mogę państwu obiecać: póki starczy sił, będę mówił i pisał o tej tragedii, choćby naprawdę nikt nie chciał słuchać. Obiecuję.

Jacek Karnowski

Autopromocja

SIECI spis treści



36 Reset Prawa i Sprawiedliwości
Stanisław Janecki



48 Czarna owca Windsorów
Aleksandra Rybińska



50 Na polskim szlaku
Andrzej Skwarczyński

NA POCZĄTEK

5 **NA WOJNIE Z FASZYZMEM**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **SŁOWO SZYBSZE OD MYŚLI**
Dorota Łosiewicz

9 **RACHUNKI Z BRUKSELSKIEGO PIEKIEŁKA**
Daniel Obajtek

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **SZWINDEL ZWANY SAFE**
Jan Pietrzak

12 **POLSKIE RĘCE, NIEMIECKI ZYSK**
Samuel Pereira

13 **RÓWNOLEGŁE ŚWIATY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA DAMIANA ZAWROTNIAKA**
Michał Korsun

16 **PUTIN LICZY NA NASZE ZMĘCZENIE**
Arkadiusz Mularczyk

17 **WALKA Z WIATRAKAMI**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

18 **PIERWSZA DAMA DO BICIA**
Dorota Łosiewicz

22 **INŻYNIERIA POGARDY**
Z Małgorzatą Wassermann rozmawia Marcin Wikło

KRAJ

26 **SEJM POD NADZOREM**
Konrad Kołodziejski

29 **RYZYKO PREZYDENTA**
Jan Rokita

32 **SPÓR O SAFE ZAMIAST POWAŻNEJ DEBATY**
Marek Budzisz

36 **RESET PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI**
Stanisław Janecki

38 **ZADECYDUJE ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA PAŃSTWO**
Z Krzysztofem Bosakiem rozmawia Jerzy Szmit

41 **WSZYSTKIE LEGENDY ZYCHOWICZA**
Piotr Gursztyn

44 **PORA ZAKAZAĆ TIKTOKA**
Goran Andrijanić

ŚWIAT

48 **CZARNA OWCA WINDSORÓW**
Aleksandra Rybińska

50 **NA POLSKIM SZLAKU**
Andrzej Skwarczyński

HISTORIA

53 **WALKA O DOBRE IMIĘ ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH TRWA**
Z Janem Józefem Kasprzykiem rozmawia Stanisław Płużański

SPORT

56 **KINTSUGI PO POLSKU**
Michał Muzyczuk

SIECI KULTURY

59 **TO OSTATECZNIE JEST FILM O WOLNOŚCI**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **KOBIETA Z CHARAKTEREM**
Maciej Walaszczyk

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

NATURA DLA LUDZI

66 **KARMNIK. ZOBACZ CZECZOTKĘ, CZYŻYKA I CAŁĄ RESZTĘ**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: VIOLETTA KAPCEWICZ**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **MODLITWA CIAŁA**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **PARĘ FILMÓW I KRZESŁO ELEKTRYCZNE**
Ryszard Czarnecki

74 **KPINA Z HISTORII**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 1560eb7ad6

BRONISŁAW WILDSTEIN

Na wojnie z faszyzmem

W Monachium na konferencji bezpieczeństwa Radosław Sikorski zgromił Stany za próbę narzucenia swojego modelu wolności Europie. Odwołał się do zeszłorocznego wystąpienia wiceprezydenta J.D. Vance'a.

„W Europie, np. w Polsce, opowiadanie się za faszyzmem i komunizmem jest zabronione z bardzo ważnych powodów historycznych. Wierzymy w wolność słowa z odpowiedzialnością. A to, co wydarzyło się tutaj rok temu, polegało na tym, że wiceprezydent Stanów Zjednoczonych powiedział nam, że nasza koncepcja wolności słowa to cenzura, a ja po prostu tego nie akceptuję. Jedna strona Atlantyku próbuje narzucić swoje wartości drugiej stronie i to jest niedopuszczalne" – ogłosił wicepremier rządu, który przywrócił przywileje emerytalne członkom komunistycznych służb specjalnych.

Sikorski przypomniał zakaz propagowania ideologii komunistycznej w konstytucji polskiej chyba wyłącznie na użytek amerykańskich uczestników konferencji. Wprawdzie dziś w Europie nikt poza marginesem marginesu nie wyraża choćby cienia sympatii do nawet najszerzej rozumianego faszyzmu, a aby pokazać wielbicieli Hitlera, TVN inscenizować musi skomplikowane spektakle, ale o faszystowskim zagrożeniu słyszymy nieustannie. Komunizmem nikt straszyć nie próbuje, chociaż jego wielbicieli w elitach europejskich znajdujemy co niemiara. Odwołują się doń znaczące siły polityczne. Lider La France insoumise (Francji niepokornej) Jean-Luc Mélenchon chyba nie deklaruje już bezpośrednio swojego długoletniego, komunistycznego wyznania, ale o ideologii tej z sympatią wspomina dość regularnie. W jego partyjnej federacji komuniści odgrywają istotną rolę. Ugrupowanie Mélenchona traktowane jest jako szacunku godny członek koalicji powstrzymującej faszystów ze Zgromadzenia Narodowego, które zdobyło najwięcej głosów w ostatnich wyborach parlamentarnych. Faszyzm partii Marine Le Pen polega na wskazywaniu zagrożenia niekontrolowaną imigracją muzułmańską. Komunizujące partie odgrywają ważną rolę w Hiszpanii, Portugalii czy Grecji.

Problem jest jednak głębszy. Można uznać, że dominująca obecnie lewicowo-liberalna ideologia wyrasta z marksizmu. Nie powinniśmy się zatem dziwić, że Jean-Claude Juncker, polityk od zawsze związany z chadecją, który długo pełnił funkcję przewodniczącego KE, honorował publicznie rocznicę urodzin Marksa, czego nie doczekał się od niego żaden inny europejski bohater. Ideologia emancypacji jest przecież legitymacją rządów europejskiej oligarchii bez względu na partyjną przynależność.

Odeszła ona wprawdzie od – wydawałoby się – centralnych zasad komunizmu, czyli mesjanizmu klasy robotniczej, likwidacji własności czy rewolucji jako przemocy, ale fundamentalna dla Marksa idea emancypacji pozostaje jej priorytetem. Oznacza ona wyzwolenie człowieka z alienujących go podobno tradycyjnych struktur cywilizacji. Współcześnie postulat ten posunięty jest aż do zakwestionowania naturalnych – np. płciowych – tożsamości człowieka. Mamy stać się, kim chcemy. Droga do totalnego wyzwolenia prowadzi przez rozmontowanie wszelkich znanych nam wspólnot, takich jak religia, cywilizacja, naród czy rodzina, czego dokonać mają już wyemancypowane elity. Aby doprowadzić nas do królestwa wolności, a więc zmienić całość społecznego bytowania, muszą one uzyskać nad nim pełną kontrolę, a jej warunkiem jest cenzura. Ma ona blokować niewłaściwe, nienawistne treści, które mogą sprowadzać zbiorowości z przygotowanej dla nich drogi.

Strategia walki z faszyzmem jest także zapożyczona od komunistów, konkretnie od Stalina. To on zadekretował powołanie frontów ludowych wymierzonych przeciw faszyzmowi, do którego zaliczeni zostali wszyscy przeciwnicy komunizmu. Zgrupowanie ich w jednym zbiorze, nadanie mu nazwy włoskiego systemu autorytarnego i wpisanie doń niemieckich narodowych socjalistów miało na celu zatarcie znaczenia ich nazwy, która przypominać mogłaby lewicowe afiliacje tego ugrupowania. Dziś strategia ta została zaktualizowana i obrócona przeciw przeciwnikom oligarchii nazywanej demokracją liberalną. Są oni stygmatyzowani jako populiści, a liberalna propaganda coraz mocniej akcentuje bliskość, czy wręcz przenikanie się populizmu z faszyzmem.

Uczestnicy debaty z Sikorskim zwracali uwagę, że problematyczne jest piętnowanie jako faszystów przeciwników politycznych i wykluczenie ich z debaty publicznej, w czym uczestniczą tradycyjne sieci medialne. „Tak, wykluczamy faszystów, to prawda" – odpowiedział twardo Sikorski, czym wywołał radość i owację. Entuzjastyczne poparcie dla politycznej eliminacji konkurentów ze strony elit europejskich warte jest odnotowania. A ja przypomniałem sobie czas, gdy to Sikorski nazywany był faszystą. Kiedy został odrzucony przez PiS i przyłączył się do PO sytuacja zmieniła się radykalnie. Dziś to on określa, kto jest faszystą i opiewa cenzurę jako komponent wolności.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1560eb7ad6



Sygnalista nadaje

Ważny głos z zagranicy. ***JE Barack Hussein Obama***, emerytowany prezydent USA i laureat tej samej nagrody, którą dostała Olga Tokarczuk (ale w innej dyscyplinie), wygłosił ważną deklarację: „Kosmici istnieją naprawdę!”. Tym samym mamy pierwsze oficjalne potwierdzenie diagnozy na temat polskiej polityki (oraz mediów tradycyjnych oraz społecznościowych). Większość obserwatorów od dawna była przekonana, że tak jest, ale słowa JE Baracka Husseina są pierwszym tego oficjalnym potwierdzeniem. Niepokoją przy tym słowa Jego Ekscelencji, że nie widział tych kosmitów. Według naszej wiedzy widział kilku polskich kosmitów, więc nie jest znana przyczyna, dla której zaprzecza. Jeszcze kłamstwo czy już demencja?

Jeśli chodzi o kosmitów, to czas na doniesienia z frontu wojny maślarsko-harcerskiej. Wprawdzie w tej chwili trwa formalne zawieszenie broni, ale nie ustały walki podjazdowe. Komentatorzy wskazują, że prędzej Donald Trump doprowadzi do zakończenia wojny rosyjsko-ukraińskiej, niż wygaśnie wojna domowa w PiS. Kruche zawieszenie broni między maślarzami a harcerzami jest co chwilę łamane przez obie strony. O jego naruszenie są oskarżani lokalni watażkowie. W ostatnim czasie mieli być za to ukarani Misza Dworczyk ze strony harcerzy i Jaca Kurski ze strony maślarzy. Groźba surowej kary wisi także nad Sebkiem Kaletą, suwpolowcem walczącym po stronie maślarzy. Udowodniono mu napaść na pewnego staruszka z Krakowa o pseudonimie „Pies”. Propozycjami w sprawie wygaszenia tego konfliktu ma się zająć Rada Pokoju zwołana przez prezydenta Trumpa. Przeważają jednak komentarze, że nie ma ona odpowiednich narzędzi, aby zatrzymać tę eskalującą wojnę domową. Jedyną osobą, która może pogodzić zwaśnione strony, pozostaje Waldek Żurek, czyli wizja aresztu wydobywczego dla któregoś w miarę prominentnego polityka PiS.

Bohaterowie powyższych doniesień z obu stron frontu zapewniają, że nie zapomnieli o Donaldzie Tusku. Pokonają go i zdobędą samodzielną większość, ale najpierw muszą zwyciężyć w internecie, bo ci drudzy nie mają racji. Jest też bardziej skomplikowane wytłumaczenie tego, co obecnie dzieje się w PiS. Chodzi o zmylenie przeciwnika, a konkretnie wspomnianego premiera Donalda Franciszka. Otóż konflikt w Prawie i Sprawiedliwości przykuwa uwagę i sprawia, że kibice spożywają dużo większe ilości popcornu, który, jak wiadomo, jest bardzo niezdrowy. Na tym polega pułapka: Donald Franciszek będzie się obżerał popcornem. Wtedy cholesterol zacznie zapychać mu żyły, a wiadomo, że już teraz ma kłopoty neurologiczne, więc się rozchoruje i finalnie przejdzie na rentę albo inną emeryturę. Sprytne? Szach-mat, lewaczki!

Poślina Cwalina! Jest taka postać w polskiej polityce. Niewątpliwie wielkiego formatu, choć nigdy wcześniej o niej nie słyszeliśmy. Za co przepraszamy. Ta wielkoformatowa postać na kilka godzin zdominowała przekaz wszystkich mediów. Zakomunikowała, że odchodzi ze swojej partii, a to dlatego, że jest prześladowana, pada ofiarą i nikt jej nie rozumie. Ową partią jest to ugrupowanie, które założył Szymek Hołownia (na pewno pamiętacie człowieka, a jak nie, to sprawdźcie w Wikipedii). Wstrzą-

eprasa.pl 1560eb7ad6

sająca historia, która sprawiła, że łamiemy naszą obietnicę, że nigdy więcej nie napiszemy o partii Polska 20 Łamane na 50.

A wiele się tam dzieje, choć trudno to dostrzec gołym okiem z powodu daleko posuniętej miniaturyzacji tegoż ugrupowania. Z największych ciekawostek: z partyjki Polska 20 Łamane na 50 odszedł jej wiceprezesik Paweł Zalewski (dla przyjaciół „Ponton"). To już dziewiąta partia, z której odszedł i trzeba przyznać, że w jego przypadku nie ma mowy o angielskim wyjściu. „Ponton" zawsze głośno obwieszcza, gdy zabiera swoje ubogie zabawki i idzie szukać nowego podwórka. Do zobaczenia, drogi „Pontonie", daj znać, gdy będziesz wiceprezesem w 10. już partii.

Gdzieś uciekła też Aśka Mucha. Jeśli chodzi o staż partyjny, to jest bardzo słaba w porównaniu z „Pontonem". Tylko dwie partie w życiu. Żenua! W jej przypadku trzeba odnotować coś ważniejszego. Aśka znowu farbuje włosy. Czyżby naturalna siwizna wychodziła z mody? Dziwna sprawa, bo na portalach piszą, że to nadal symbol pewności siebie i dojrzałej elegancji. Czyżby Aśka straciła pewność siebie? Czy może już coś wie na temat, czego portale jeszcze się nie dowiedziały? O dojrzałą elegancję nie pytamy, bo Aśka jest z Płońska.

W cieniu krwawego konfliktu maślarsko-harcerskiego toczy się nie mniej epicka batalia. Godzilla kontra Hedora. A nawet straszniej – ***Kaśka Pełczyńska-Nałęcz*** *versus* ***Paulina Hennig-Kloska***. Paulina nazwała Kaśkę skrajną lewaczką, a Kaśka odpowiedziała, że ci od Pauliny to zdrajcy i dezerterzy. A według Pauliny całe zło zaczęło się od tego, że Szymek Hołownia poszedł na kolację do Adama Bielana. Trochę to rozumiemy, bo Paulina nie została tam zaproszona. Każdy by się wściekł. Ale czy to znaczy, że Kaśka też tam była?

Okazuje się, że są ludzie, którzy lubią Kaśkę. Podobno to kilkanaście osób, którymi pochwaliła się sama zainteresowana, że dopisali się do partii, gdy ona została jej szefową. Pytanie, czy jest sens utrzymywać partię dla tych kilkunastu osób, czy nie będzie wygodniej założyć grupę na jakimś łotsapie czy innym mesendżerze? W każdym razie fanklub nazywa swoją szefową Ciocią Kasią. A co na to Babcia Kasia? Czy ktoś to z nią uzgodnił? Bo jeszcze ktoś je pomyli na ulicy.

Szykowaliśmy się na imprezę, bo usłyszeliśmy o paczkomat-party. A to pomyłka. Niestety nie melanż, ale znowu polityka. Rafał „Paczkomat" Brzoska chce zakładać własną partię. Chce zostać przyjęty do grona zimnych czaszek polskiej polityki: Janusza Palikota, Pawła Kukiza, Ryśka Petru i Szymka Hołowni. Kto bogatemu zabroni? Dostał sporo siana od Jankesów, którym opchnął kilka paczkomatów i nie wie, co z tym zrobić. No to wymyślił: być jak Rysiek Petru! Ale że Omenaa się na to zgodziła?



Smutna sprawa. Tygrys z MON Władek Kosiniak-Kamysz spękał. Zapowiadały się atrakcyjne i inkluzywne szkolenia dla osób żołnierskich. Tytuł: „Prawa człowieka i perspektywa gender w operacjach wojskowych". Niestety Władek nie wytrzymał homofobicznego hejtu i skasował ten punkt nauczania. To niedobrze. Putinowska Rosja tylko czyha na takie nasze słabości, a ją perspektywa gender z pewnością by odstraszyła. Różnorodność naszą siłą!



Halo, tu Grzesiek z Bombaju! W czym mogę pomóc? Wielkie rzeczy dzieją się w KKP (dawniej KPP), czyli Konfederacji Korony Polskiej. ***Grigorij Braun*** to już nie Grigorij. Teraz Grzesiek zakochał się w Delhi. Czyli w Indiach. Tikka masala, kadzidełka, gówno w Gangesie i inne takie fajne rzeczy. Grzesiek organizuje konferencję „Unia Europejska – Azja. Dialog cywilizacyjny". Mocne. Grzesiek, dialog, cywilizacja? Nowe, tego jeszcze nie znaliśmy. Ale trzymamy kciuki. Jest wiele rzeczy, które łączą Rosję i Indie, dlatego Grześkowi i jego kamratom łatwo przyjdzie przywyknąć do zmiany. A najważniejszą z nich jest to, że tu i tam nie ma kanalizacji.



Nadal dużo dzieje się wokół ***Włodka „Marszałka" Czarzastego*** i katuszy zadawanych mu przez prawackich hejterów i soldateskę amerykańską. Śledzimy męczeńskie losy „Marszałka", ale nie odnotowaliśmy jednej rzeczy. Ciągle brakuje informacji, czy Anka Maryśka jest zazdrosna o Swietłanę z Petersburga. Teoretycznie na lewicy żadna osoba o dowolnej orientacji płciowej nie zna słowa „zazdrość". Bo wiadomo – siostrzeństwo, „nigdy nie będziesz sama" i inne takie tam. Ale w praktyce bywa różnie.



Najgorszym jednak, co spotyka „Marszałka", nie jest ten hejt i amerykański imperializm. Wróg czyha u bram. To niejaki Litewka Łukasz, podający się za lewicowca kryptopisor z Sosnowca. Nie dość, że w wyborach w Czerwonym Zagłębiu zdobył więcej głosów niż Włodek, to teraz jeszcze mizia się z Nawrockimi. Nie dość, że spotkał się w sprawie jakichś tam kundli z samym Nawrockim, to teraz jeszcze broni jego żony. Zamiast ją wyśmiewać, jak na porządnego lewaka przystało. Panie Litewka, jeszcze trochę, a skończy pan jak „Bestia z Kutna".



Fot. Liudmyla Skwarczyńska x2, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk, Shutterstock

eprasa.pl 1560eb7ad6

WIEŻA BAB

Słowo szybsze od myśli

Polityka potrzebuje wyrazistości – to prawda. Ale wyrazistość bez refleksji szybko zamienia się w autoparodię

Poseł Przemysław Witek z KO najwyraźniej uznał, że cisza medialna to stan nienaturalny i co jakiś czas trzeba ją przerwać czymś efektownym. Postanowił więc przypomnieć opinii publicznej, że w polityce spontaniczność bywa towarem wysokiego ryzyka. Zapytany w gmachu Sejmu przez twórcę internetowego Mateusza Wiktorowicza o pierwsze skojarzenie z hasłem „Donald Tusk", odpowiedział bez chwili wahania: „Lider i wielka nadzieja białych". A gdy konsternacja zawisła w powietrzu ciężej niż sejmowe kotary, nastąpiła próba gaszenia pożaru: że to w cudzysłowie, że chodziło o „wielką nadzieję polskiej demokracji".

Problem polega na tym, że w polityce pierwsze zdanie ma zwykle większą siłę niż pięć kolejnych wyjaśnień. Mikrofony nie mają funkcji „cofnij", a internet nie uznaje dopisków drobnym drukiem. Jeśli coś wybrzmiało, to wybrzmiało – i zaczyna żyć własnym życiem.

Nie jest to zresztą pierwszy raz, gdy poseł Witek pokazuje, że myśl i słowo poruszają się u niego w tempie sprinterskim, choć nie zawsze w tym samym kierunku. W czasie kampanii prezydenckiej na antenie Polsat News Agnieszka Gozdyra zapytała go o deklarację Sławomira Mentzena i o to, czy kandydat KO na prezydenta Rafał Trzaskowski mógłby podpisać punkt: „Nie dla wyższych podatków i nowych obciążeń". „Zdecydowanie tak" – odpowiedział Witek. Gdy prowadząca dopytała, czy oznacza to, że żadnych nowych podatków nigdy nie będzie, padło zdanie, które przeszło do politycznego folkloru: „Cóż szkodzi obiecać?".

To właśnie za tę szczerość – aż do bólu dosłowną – został zawieszony w prawach członka klubu KO i otrzymał zakaz wypowiadania się w mediach. Można było przypuszczać, że to moment refleksji nad wartością pauzy przed odpowiedzią. Najwyraźniej jednak pauza wciąż przegrywa z potrzebą natychmiastowej riposty.

Trzeba jednak przyznać, że Witek nie jest w tej konkurencji samotny. Sejmowa historia obfituje w lapsusy, które zyskały drugie życie jako memy, cytaty i polityczne przestrogi. Niekwestionowanym królem w tej konkurencji jest Ryszard Petru. Jego kariera polityczna obfitowała w zdania, które natychmiast zaczynały żyć własnym życiem. Najsłynniejsze? Wpadka z 2015 r., gdy mówił o 6 stycznia jako o „święcie Sześciu Króli" zamiast Trzech Króli. Innym razem, komentując sondaże, w ferworze wyliczeń stwierdził, że poparcie rzędu kilkunastu czy dwudziestu kilku procent oznacza „kilkanaście milionów Polaków" – co stało się symbolem swobodnego operowania liczbami.

Do tego doszedł jeszcze kontekst polityczny: wyjazd do Lizbony w czasie sejmowego kryzysu w 2016 r., który – choć sam w sobie nie był cytatem – stał się wizerunkowym skrótem myślowym. Od tego momentu każde jego przejęzyczenie czy pomyłka były natychmiast wyciągane jako dowód „oderwania od rzeczywistości".



Różnica polega jednak na tym, że niektórzy politycy uczą się z własnych potknięć i zaczynają ważyć słowa z precyzją jubilera. Inni sprawiają wrażenie, jakby każde kolejne wystąpienie traktowali jako eksperyment na żywym organizmie opinii publicznej.

W przypadku posła Witka można odnieść wrażenie, że spontaniczność stała się jego znakiem firmowym. Tyle że polityka to nie stand-up, a Sejm to nie scena kabaretowa (choć czasem wydaje się, że jest inaczej). Słowa mają konsekwencje: wizerunkowe, partyjne, czasem nawet instytucjonalne.

Kiedy więc padają stwierdzenia w rodzaju „wielka nadzieja białych", a po chwili trzeba je tłumaczyć, doprecyzowywać i wygładzać, powstaje pytanie: czy to niefortunny skrót myślowy, czy może trwały problem z filtrem? Bo jeśli każde kolejne wystąpienie kończy się przypisem, to przypis w końcu zaczyna być ważniejszy niż treść.

Polityka potrzebuje wyrazistości – to prawda. Ale wyrazistość bez refleksji szybko zamienia się w autoparodię. A wtedy nawet najlojalniejsi partyjni koledzy zaczynają nerwowo sprawdzać, czy w regulaminie nie ma przypadkiem kolejnego paragrafu o „czasowym milczeniu dla dobra sprawy".

Dorota Łosiewicz

Rachunki z brukselskiego piekiełka

Unijne fanaberie podbiły koszty o 20–30 proc. Bo Bruksela wie lepiej. A wy płacicie za te jej mądrości.

Niemcy dołożyli swoje trzy grosze. Przed 2022 r. importowali 55 proc. gazu z Rosji przez Nord Stream. Omijali Polskę i Ukrainę. Marzyli o dominacji gospodarczej w Europie bazującej na tanim paliwie. A gdy Rosja zakręciła kurek, surowca zabrakło. Europa wpadła w tarapaty. Niemiecka chciwość ciągnie cały kontynent w dół. Zależność od rosyjskiego gazu okazała się pułapką. A teraz wy wszyscy płacicie za niemieckie kalkulacje – dostajecie w prezencie wyższe ceny energii. Pomyślcie, jaka to lekcja. Pokazuje, jak krótkowzroczna polityka sąsiadów odbija się na waszych portfelach. Niemcy chcieli tanio. Skończyli drogo, a wy razem z nimi toniecie w rachunkach.



Drodzy czytelnicy, czy ledwo dyszycie pod ciężarem rachunków za prąd i ogrzewanie? Przygniatają wasze budżety niczym kamień młyński? Trudno się dziwić. W lutym 2026 r. średnie gospodarstwo domowe płaci o 150 zł więcej niż rok temu – za sam prąd! Tymczasem centralne ogrzewanie też drożeje w oczach, a pellet osiąga ceny z innej planety. Pytacie, skąd ten koszmar?

Bruksela też nie próżnuje. Dorzuca swoje haracze. System ETS to mistrzostwo w duszeniu gospodarek. Uprawnienia do emisji CO_2 kosztują ok. 70 euro za tonę. To wywindowało ceny prądu z polskich elektrowni o jedną trzecią. Polska traci 20 mld euro rocznie. ETS pożera 15 proc. kosztów energii. A przed nami ETS2. Gaz podrożeje o 30 proc., węgiel o 50 proc., paliwo o 50 gr na litrze. Brukselscy mędrcy w swym zadufaniu obiecują zielony raj, a fundują wam piekło wysokich rachunków, rosnących wciąż jak szalone.

Gospodarka dusi się pod tymi genialnymi obciążeniami. Przemysł ucieka za ocean. Nic dziwnego – tam prąd jest trzykrotnie tańszy. Unijna ideologia pod przykrywką ekologii niszczy was z zimną precyzją. ETS to haracz na rodziny i firmy. Miliardy euro wyparowują. Koszty Zielonego Ładu dla Polski są kolosalne – to setki miliardów euro do 2030 r. Fundusze unijne to marna pociecha wobec tych strat. ETS dusi was coraz mocniej. Ten system nie tylko bije po kieszeni, lecz także zabija konkurencyjność. Europejskie fabryki zamykają się jedna po drugiej. Wszyscy w Europie tracą miejsca pracy. Polska płaci za cudze błędy. Czas powiedzieć „dość" temu szaleństwu.

ETS to nie narzędzie ochrony środowiska, lecz antygospodarczy potwór. Do tego Bruksela z miną wielkiego dobrodzieja wciska OZE jako cudowny pomysł na tani prąd. A PSE wydają już teraz 10 mld zł rocznie na stabilizację sieci, zaś do 2040 r. wydadzą 70 mld zł na ich rozwój. Po to, by wcisnąć do systemu więcej paneli i wiatraków. Wszystkie te koszty lądują w waszych rachunkach – są płacone z waszych kieszeni. Mit taniej energii z OZE pęka z hukiem.

Produkcja OZE jest względnie tania, ale wynikające z niej opłaty sieciowe to 20–30 proc. rachunku. Brukselscy planiści w swej mądrości zapominają o szczegółach. Zostawiają chaos i drożyznę. OZE nie są stabilne. Wiatr nie zawsze wieje. Słońce nie zawsze świeci. Potrzebujemy rezerw, a te kosztują krocie. To nie zielona rewolucja – to kosztowny eksperyment na podatnikach. Bruksela marzy o zielonym świecie, a funduje wam szare rachunki. Ich wizje brzmią pięknie, ale w praktyce duszą gospodarkę. Czas na otrzeźwienie. Bo nie możemy dłużej płacić za te bajki.

Pompy ciepła to osobny dramat. Bruksela wciska je jako zbawienie, a zima 2026 r. pokazuje prawdę. Rachunki w wysokości 2 tys. zł miesięcznie w styczniu nikogo już nie dziwią. W ocieplonym, nowym domu o powierzchni 150 m^2 koszt grzania przy większym mrozie to 100 zł dziennie, w starszym budynku – nawet 300 zł. Podczas mrozów zużycie prądu wzrasta 2–3 razy. To nie czysta tania energia, lecz finansowa pułapka. Nie dajcie się nabrać na te obietnice.

PiS ratowało rodziny tarczami. Zamroziło ceny w 2022 r. i ocaliło budżety milionów gospodarstw domowych. Prezydent Nawrocki kontynuuje ten kierunek. Prezydencka ustawa z listopada 2025 r. obniża ceny o 33 proc. Likwiduje opłaty, tnie taryfy dystrybucyjne. To realna ulga dla przemysłu i domów. A Tusk? Ach, ten wielki powrót mesjasza polityki. Wygasił tarcze z gracją, jakby gasił światło w pustym pokoju. Efekt? Trzy podwyżki w rok. Rachunki wybuchły jak fajerwerki na jego cześć. Obietnice wygasły szybciej niż tarcze, a ceny rosną w rytm jego uśmiechów. Tusk obiecywał złote góry. Dostaliście górę rachunków, z których szczytu widać tylko brukselskie chmury. Jego reformy to majstersztyk propagandy. Podnosi ceny, a udaje zbawiciela. Polacy marzyli o stabilności – dostali stabilnie rosnące faktury. Brawo, panie premierze. To się nazywa europejski styl. Cieszycie się z takich zmian?

Czas na zdrowy rozsądek, nie fanaberie. Mieszanka węgla, gazu i atomu w miksie da nam potrzebną stabilność. Polska zasługuje na tani prąd. Koniec z brukselskimi eksperymentami. Bo inaczej utoniemy w długach, które będą rosnąć szybciej niż ceny.

Daniel Obajtek

eprasa.pl 1560eb7ad6

Książę de Borbón gangsterem



Hiszpania

Coś niedobrego dzieje się z europejską arystokracją. Po gorszących międzynarodową opinię publiczną aferach w norweskim domu królewskim czy uwikłaniu wielu europejskich rodów arystokratycznych w związki z kryminalną aktywnością Epsteina mamy do czynienia z aferą w Hiszpanii. I to nie byle jaką, bo okazało się, że Francisco de Borbón, syn księcia Sewilli i daleki kuzyn króla Hiszpanii, był zaangażowany w pranie brudnych pieniędzy dla gangsterów.

Książę został aresztowany i wypuszczony za kaucją. Inaczej potraktowano Ignacia Torána, szefa organizacji przestępczej. Torán, wcześniej pięciokrotnie aresztowany, cieszył się zastanawiającą pobłażliwością wymiaru sprawiedliwości i policji, która nie była w stanie znaleźć dowodów na jego działalność kryminalną. Udało się to dopiero wtedy, gdy w ręce organów ścigania wpadł szef wydziału ds. przestępczości gospodarczej, w domu którego znaleziono ponad 18 mln euro w gotówce zamurowane w ścianach.

Śledztwo ujawniło też podwójne życie Francisca de Borbóna, arystokraty i znanego w kraju celebryty. Mężczyzna przedstawiał się jako potomek „linii Burbonów-Andegawenów i dynastii książęcej Fürstenbergów, której przodkowie bezpośrednio sięgają królów Francji Ludwika XIV i Hiszpanii Karola IV", a swój wystawny styl życia finansował z pieniędzy handlarzy narkotyków. De Borbón był też – jak można przeczytać na jego stronie internetowej – Wielkim Mistrzem Rycerskiego i Szpitalnego Zakonu Świętego Łazarza z Jerozolimy, którego tradycja liczy 1200 lat. Nie przeszkadzało mu to jednak prać pieniędzy dla pospolitych przestępców. Śledczy uważają, że de Borbón był podwładnym Ignacia Torána, któremu miał pomagać w praniu pieniędzy z narkotyków, m.in. za pośrednictwem transakcji kryptowalutowych. Według akt sprawy siatka Torána przemyciła do Hiszpanii co najmniej 73 t kokainy o wartości ponad 2,5 mld euro. W sprawie jest także wątek rosyjski, bo dochodzenie objęło Alinę Bernard, emigrantkę (a może agentkę) z Rosji i celebrytkę, która bywała w kręgach hiszpańskiej arystokracji. Zasłynęła ona z serii postów opublikowanych na jednej z platform społecznościowych, w których opisywała swoją podróż na pokładzie prywatnego odrzutowca, podczas której w ciągu jednego dnia odwiedziła pięć krajów europejskich, w tym stolicę „możnych i wpływowych", czyli Monako. Sprawa jest „rozwojowa", a przygody księcia de Borbón, który notabene procesuje się z własną siostrą o prawo do posługiwania się tytułem, stanowią kolejny argument na rzecz tezy o degeneracji europejskich rodów arystokratycznych.

Marek Budzisz

Arabia Saudyjska

Dekapitacja za narkotyki

W ubiegłym roku władze Arabii Saudyjskiej przeprowadziły 356 egzekucji. To więcej niż w rekordowym dotąd 2024 r., gdy uśmiercono 338 osób.

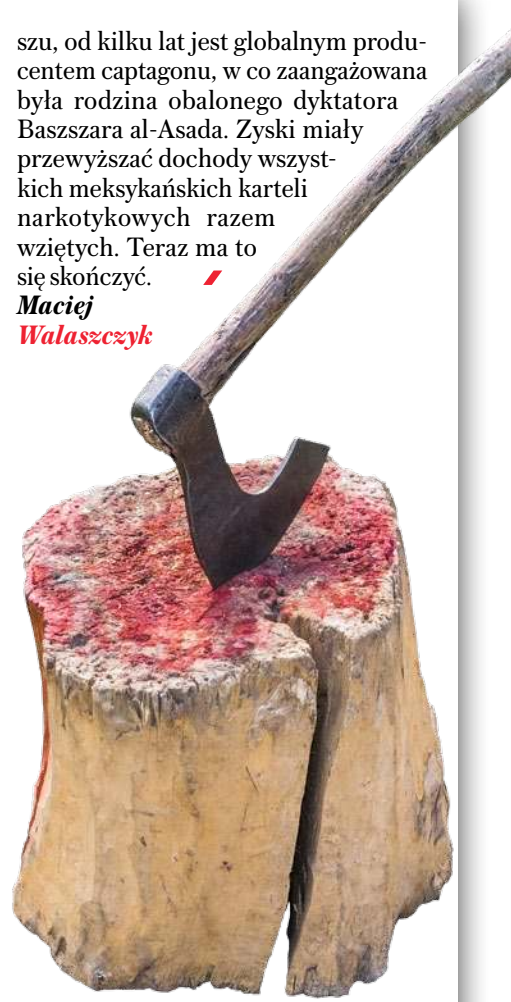
Co najmniej 243 wyroki śmierci dotyczyły handlu narkotykami. Jak się okazuje, jest to coraz większy problem, z którymi zmagają się bogate państwa Zatoki Perskiej. Tym bardziej że kilka lat temu saudyjska monarchia po cichu wstrzymała egzekucje, aby odbudować międzynarodową reputację po zamordowaniu dziennikarza Jamala Khashoggiego przez saudyjskich agentów w Stambule w 2018 r. Jednak już pod koniec 2022 r. egzekucje wróciły.

Saudyjczycy stosują je głównie wobec handlarzy narkotyków, którzy w przeważającej większości są cudzoziemcami. Ma to zatrzymać napływ captagonu, odmiany amfetaminy, którego Arabia Saudyjska, będąca największą gospodarką świata arabskiego, jest jednym z głównych konsumentów. Narkotyk ten był pierwotnie odmianą leku opracowanego w latach 60. XX w. jako remedium na ADHD, narkolepsję i depresję. Współcześnie jest on rozprowadzany przez imigranckich dilerów z Bliskiego Wschodu oraz Afryki i masowo nabywany przez bogatą młodzież saudyjską.

Tamtejszy rząd wie, że egzekucje przez ścięcie głowy mieczem wywołują sprzeciw na świecie, ale tłumaczy, iż musi stosować surowe środki odstraszające, aby skutecznie zatrzymać napływ narkotyków do swojego państwa. Sprawujący faktyczną władzę następca tronu książę Mohammed bin Salman zapowiedział bezwzględną walkę z dilerami, nawet jeśli oznacza to użycie brutalnych środków i szokowanie organizacji międzynarodowych – zwłaszcza na Zachodzie.

Niedawno Arabia Saudyjska zyskała niespodziewanego sojusznika w osobie prezydenta Syrii Ahmada asz-Szary, który zapowiedział, że zlikwiduje handel narkotykami, który rozkwitł podczas wieloletniej wojny domowej. Syria, choć ma długą tradycję w wytwarzaniu haszyszu, od kilku lat jest globalnym producentem captagonu, w co zaangażowana była rodzina obalonego dyktatora Baszszara al-Asada. Zyski miały przewyższać dochody wszystkich meksykańskich karteli narkotykowych razem wziętych. Teraz ma to się skończyć.

Maciej Walaszczyk



eprasa.pl 1560eb7ad6



Poligon dla dronów

Sudan

Trwająca od kwietnia 2023 r. wojna domowa w Sudanie, która pochłonęła co najmniej 150 tys. zabitych, przybrała ostatnio nowe, niszczycielskie oblicze. Wszystko za sprawą dronów, których na coraz większą skalę używają obie strony konfliktu.

Walki toczą się pomiędzy armią Sudanu, wspieraną głównie przez Arabię Saudyjską i Katar, a paramilitarnymi Siłami Szybkiego Reagowania (RSF), którym pomagają – przede wszystkim finansowo – Zjednoczone Emiraty Arabskie. Jednak ostatnio do gry po stronie wojsk rządowych włączyli się po cichu nowi aktorzy: Egipt i Turcja.

To właśnie w Egipcie zaobserwowano w zeszłym roku nietypową aktywność militarną. Na samym południu tego kraju, tuż przy granicy z Sudanem, w ciągu ostatnich 10 lat zrealizowano wielki program rekultywacji pustyni. Powstał tam system irygacyjny, który zamienił piaszczyste wydmy w pola pszenicy oraz lotnisko, które połączyło ten niedostępny rejon z resztą świata. W 2024 r. dobudowano na nim nowy pas startowy oraz hangary i umocnienia, co wskazywało na militarny charakter inwestycji. Wszystko wyjaśniło się rok później, gdy na lotnisku zaczęły lądować tureckie samoloty transportowe. Na ich pokładzie znajdowały się drony, które wkrótce rozmieszczono na stanowiskach bojowych.

W tym samym czasie sytuacja w Sudanie dynamicznie się zmieniła. Po brutalnym, 18-miesięcznym oblężeniu oddziały RSF zajęły miasto Al-Faszir w Darfurze, grożąc rozprzestrzenieniem się wojny na cały kraj. Jednocześnie liczba uchodźców z Sudanu, która szukała schronienia w Egipcie, przekroczyła 1,5 mln ludzi. Prezydent Egiptu uznał to za przekroczenie „czerwonej linii".

Pod koniec 2025 r. drony ruszyły do boju, atakując oddziały RSF. Ich głównych celem stały się kolumny zaopatrzeniowe wiozące broń z Libii oraz zgrupowania rebeliantów. Do tej pory nie jest jasne, skąd pochodzą operatorzy bezzałogowców: z Sudanu czy z Egiptu.

W odpowiedzi siły RSF również zaopatrzyły się w drony oraz w zestawy przeciwlotnicze. Nowa broń produkcji chińskiej została zakupiona za pieniądze ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich i posłużyła do krwawych ataków na ludność cywilną, m.in. na przedszkole, gdzie zginęło 114 osób, w tym 63 dzieci. Drony RSF zniszczyły również elektrownie i zakłady uzdatniania wody, odcinając dostawy prądu i czystej wody milionom ludzi. RSF odgraża się też uderzeniami na terytorium Egiptu.

W tego rodzaju konflikcie bezzałogowce okazały się bardzo użytecznym narzędziem terroryzowania wroga, a ich kolejne dostawy są już w drodze. Afryka staje się drugim – po Ukrainie – poligonem do testowania tej broni.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock x3, Jeremiah/wikipedia

Niemcy

Wiarygodność chadecji

W środowiskach konserwatywnych w Niemczech zawrzało, gdy wyszło na jaw, że tamtejszy rząd od 2022 r. przekazał ok. 88 mln euro największemu molochowi aborcyjnemu na świecie, czyli International Planned Parenthood Federation (IPPF). Środki z budżetu federalnego płynęły w tym czasie także na konta innych organizacji promujących aborcję (np. MSI Reproductive Choices) czy agendę LBGT+ (np. Fundację Hirschfelda-Eddy).

Największe oburzenie wywołała informacja, że finansowanie nie ustało nawet wtedy, gdy w maju 2025 r. kanclerzem Niemiec został Friedrich Merz, a więc przewodniczący CDU, czyli partii mieniącej się oficjalnie chrześcijańsko-demokratyczną. Co ciekawe, gdy był on w opozycji, krytykował ten rodzaj wydatkowania pieniędzy publicznych przez socjaldemokratów. Teraz nie tylko podtrzymuje kontrowersyjne finansowanie, lecz także uzasadnia je kontynuowaniem polityki międzynarodowej swojego kraju.

Sprawa ujrzała światło dzienne dzięki interpelacji poselskiej wniesionej przez Alternatywę dla Niemiec (AfD). Przy okazji okazało się, że niemiecki rząd nie sprawuje nadzoru ani nie ma kontroli nad ostatecznym wykorzystaniem funduszy przekazanych Planned Parenthood. Tymczasem – jak przypomniały media – po 2022 r. IPPF przelała 872 tys. dol. na konto chińskiej organizacji proaborcyjnej związanej z komunistycznym systemem przymusowej kontroli urodzin i słynącej z łamania praw człowieka.

To wszystko stawia pod znakiem zapytania ideową wiarygodność obecnego kierownictwa CDU. Nic więc dziwnego, że parlamentarzyści AfD oskarżyli chadeckie władze o całkowite wyrzeczenie się własnych zasad. Konserwatywny elektorat odwraca się zresztą stopniowo od partii Merza, rozczarowany zdradą pierwotnego programu ugrupowania. W związku z tym chrześcijańscy wyborcy zmieniają preferencje polityczne i coraz częściej decydują się oddać głos na Alternatywę dla Niemiec.

Grzegorz Górny



eprasa.pl 1560eb7ad6

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Szwindel zwany SAFE



Jan Pietrzak

Wypadałoby się zainteresować propozycją uzbrojenia Niemców za nasze pieniądze. Tak sobie wykoncypowała Unia Europejska, bo to wstyd, że Niemcy dysponują jedynie kilkoma tysiącami hełmów, kiedy trzeba wesprzeć sojuszników. Ściśle mówiąc, życzą sobie od Polski 44 mld euro na 40 lat. Nazywają tę sumę kredytem SAFE. To, czy i kiedy ją zwrócą, zależy od spełnienia wielu warunków, których dzisiaj nie potrafią ujawnić. Pewnie sami nie wiedzą. Ważne, że Polska ma zostać zadłużona na parę pokoleń, a Niemcy już teraz, natychmiast, mają się gwałtownie wzbogacić. Nie lubią mieć deficytu.

Jest to ciekawy projekt, który dla przyzwoitości można by opatrzyć naszymi warunkami. Np. uregulowaniem wzajemnych rozliczeń, wyrównaniem salda. Przede wszystkim spłatą reparacji wojennych, wyliczonych na 6 bln 620 mld zł przez skrupulatnego posła Mularczyka. Bezprawna zasada warunkowości działała do tej pory w jedną stronę. Von der Leyen stawiała warunki, np. „praworządność", po czym ogłaszała, że w Polsce nie ma praworządności i wypłata rozłaziła się pośród kamieni milowych. A właściwie dlaczego Niemcy uczą nas prawa? Czy po to wstępowaliśmy do UE? Konsekwentnie, rok po roku, robią nam tu Generalne Gubernatorstwo! Berliński ambasador siedział w Sejmie podczas głosowań jako butny relikt zaborczej historii. Pilnował, czy finansowy przekręt się powiedzie. Chodzi o bajońskie sumy, jak mówiono przed wiekami.

Obecnie, po dwóch latach myszkowania ministra Domańskiego w szufladach ministerstwa, możemy zaśpiewać przebój Lady Pank „Mniej niż zero". Jesteśmy oczyszczeni z kasy do zera. To jest hymn tego rządu. Agencja ratingowa Fitch obniżyła wiarygodność kredytową Polski do A-. Za nią pójdą inne ważne agencje. Po dwóch latach rządów KO Polska jest pozbawiona szans rozwojowych. Jesteśmy oskubani jak gęś bez pipków.

Mojemu pokoleniu trudno się pogodzić z myślą o tej porażce. Bo to my, pokolenie Solidarności, śpiewając, „żeby Polska była Polską", mieliśmy nadzieję, że przystępując do wspólnoty wolnych narodów, wyrwiemy się z nieznośnej wspólnoty sowieckiej. Do dzisiaj myślę, że było to właściwe podejście. Trudno było przewidzieć degrengoladę Europy Zachodniej na płaszczyźnie duchowej, kulturowej, prawej... W ślad za upadkiem moralnym pojawiły się klęski pragmatyczne w takich sferach jak odpowiedzialność, produktywność, rzetelność... Nowi wspólnicy okazali się nieuczciwymi partaczami, co pokazują dzień po dniu. Dlatego Polsce potrzebny jest szeroki, ponadpartyjny pakt narodowy pod „dowództwem" prezydenta do zahamowania destrukcji państwa. Bez własnego suwerennego państwa, pod niemieckim butem, przyjdzie pora robić kolejne powstanie!

UWAGA! Zapraszam na spotkanie kabaretowe „Wiosna nasza", 15 marca, godz. 17.00, sala widowiskowa AMICUS, ul. Hozjusza 2. Bilety: KupBilecik

Polskie ręce, niemiecki zysk



Samuel Pereira

Polska prezydencja miała być momentem realizacji naszych interesów. Zamiast tego „dostaliśmy" niekorzystną pożyczkę, przypieczętowaną rozporządzeniem, które „wiąże w całości i jest bezpośrednio stosowane we wszystkich państwach członkowskich". Bez krajowej ustawy, bez realnej decyzji parlamentu i prezydenta, a skutki – na dekady.

Mówimy o pożyczce na 45 lat, w euro. Walucie, przyszłości której nikt nie zagwarantuje na pół wieku. A pieniądze? Wgryzłem się w szczegóły i włosy stanęły dęba. „Pomoc finansowa jest uzależniona od przedstawienia […] informacji wskazanych w porozumieniach operacyjnych […]". Czyli transze nie są automatyczne, lecz warunkowe. Dalej: „Instytucja zamawiająca […] przekazuje Komisji powiadomienie […]. Dalsze informacje […] są udostępniane Komisji na jej wniosek." A nawet więcej: „Komisja ma dostęp do informacji, w tym informacji niejawnych […] do celów […] audytów, dochodzeń […]". To już nie tylko kontrola wydatków –to dostęp do danych wrażliwych o zamówieniach obronnych. Gdy coś pójdzie nie tak, Polska może się znaleźć pod ścianą, czekając na decyzję o wypłacie. Wykonawcy będą o tym wiedzieć. A wtedy cena rośnie. Jest jeszcze tryb zakupów: „[…] uzasadnia zastosowanie procedury negocjacyjnej bez publikacji ogłoszenia o zamówieniu […]". Bez przetargu, bez konkurencji, bez pełnej przejrzystości.

Komu realnie służą te środki? Jak przyznała pełnomocnik rządu Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, „nie musi to być firma ze 100-procentowym polskim kapitałem". Wystarczy, że produkuje w Polsce. Zysk może odpłynąć. „System zarządzania jest w rękach Europejczyków […] własność intelektualna […] też europejska". „Unia może zawierać umowy […] z innymi państwami trzecimi […] w celu otwarcia warunków kwalifikowalności […]". Czyli lista graczy też nie jest wyłącznie nasza.

Obrona to rdzeń suwerenności. Gospodarka obronna to krwiobieg państwa. Dotąd były to „oczywiste oczywistości". Dziś – nie dla wszystkich. A faktem jest, że jeśli decyzje finansowe, informacyjne i proceduralne przesuwają się poza parlament krajowy – to nie jest techniczna zmiana, lecz w praktyce zmiana ustrojowa. I to na 45 lat.

eprasa.pl 1560eb7ad6

Równoległe światy



Marta Kaczyńska-Zielińska

Unia Europejska liczy obecnie ok. 450 mln ludzi. Dzietność w UE jest poniżej progu zastępowalności pokoleń. Szacuje się, że do 2100 r. liczba ludności Unii spadnie do blisko 400 mln. Kiedyś Europa miała 12-procentowy udział w populacji światowej, dziś już tylko 6-procentowy, a wkrótce ten odsetek ma się obniżyć do 4 proc.

Europejska lewica coraz bardziej wprost mówi o planie wielkiej podmiany populacji ludności Europy. Hiszpański rząd zalegalizował pobyt 500 tys. migrantów w kraju, a europoseł z Madrytu przyznała, że masowa migracja Afrykanów i muzułmanów oraz nadanie im praw wyborczych to jeden z celów lewicy. Zwolennicy multikulturalizmu uważają, że emigrantów bardzo szybko da się zasymilować na bazie postmodernistycznego konsumpcjonizmu. W ten sposób przybysze bardzo szybko mieliby się stać „multikulturalnymi" Niemcami, Francuzami czy właśnie Hiszpanami.

O skutkach przyjmowania tysięcy migrantów boleśnie przekonało się wiele zachodnich społeczeństw, doświadczając przemocy i drastycznego spadku poczucia bezpieczeństwa. Dekadę temu premier Wielkiej Brytanii David Cameron stwierdził podczas konferencji ds. bezpieczeństwa w Monachium: „Nie udało nam się stworzyć wizji takiego społeczeństwa, w jakim ludzie chcieliby uczestniczyć. Tolerowaliśmy nawet te społeczności, które działały w sposób sprzeczny z naszymi wartościami. Tymczasem kluczem do osiągnięcia prawdziwej spójności społecznej jest stworzenie silnego poczucia tożsamości narodowej i lokalnej". Szwecja płaci obecnie przybyszom spoza europejskiego kręgu kulturowego, by powrócili do swoich ojczyzn.

Nowe dane Federalnego Urzędu Statystycznego ujawniły, że 15,5 mln osób w Niemczech nie posługuje się językiem niemieckim jako ojczystym. 23 proc. migrantów w ogóle nie komunikuje się po niemiecku w swoich czterech ścianach. Najczęściej używanym językiem obcym jest turecki, a następnie rosyjski i arabski. Dane te ujawniają rosnący zakres równoległych światów językowych. Jesienią 2010 r. Angela Merkel zwróciła się do członków organizacji młodzieżowej CDU: „Próba zbudowania w Niemczech społeczeństwa wielokulturowego zupełnie się nie powiodła. Imigranci powinni dążyć do integracji, a pierwszy ku temu krok to nauka języka niemieckiego". Aktualne statystyki doskonale obrazują brak woli asymilacji migrantów, którzy wolą żyć we własnych społecznościach.

Wraz z rozpoczęciem przez chrześcijan tradycyjnego okresu Wielkiego Postu, w Środę Popielcową, Frankfurt po raz kolejny priorytetowo potraktował instalację ogromnych dekoracji ramadanowych w centrum miasta. Ta praktyka rozpoczęła się w 2024 r., kiedy stał się on pierwszym niemieckim miastem, które zainstalowało takie oświetlenie. Po raz trzeci za sprawą rezolucji Zielonych, SPD, FDP i Voltu w centrum Frankfurtu zawisły półksiężyce, gwiazdy i lampiony Fanoos obok napisów „Szczęśliwego Ramadanu". Ta sponsorowana przez państwo promocja islamu wykroczyła poza place publiczne i dotarła do sal lekcyjnych. Dwóch nauczycieli miało zabronić uczniom piątej klasy picia wody podczas lekcji ze względu na kilku poszczących uczniów muzułmańskich.

Celem podpisanego tuż po objęciu urzędu przez obecnego premiera RP paktu migracyjnego jest ograniczenie nielegalnej migracji, m.in. poprzez jej zalegalizowanie. Pakt migracyjny pomija prawo narodów Europy do ochrony własnej tożsamości narodowej i spójności kulturowej. Unia Europejska dąży do tego, by narzucić narodom Europy partycypowanie w systemie dyslokacji wciąż rosnącej liczby imigrantów. Wśród krajów, które mogą być zaangażowane w mechanizm solidarnościowy i skłonione do przyjęcia imigrantów, jest oczywiście Polska. Wyłączenie, z którym mamy aktualnie do czynienia, jest jedynie tymczasowe. Nie istnieje bowiem automatyczne prawo do stałego wyłączenia, a decyzja wymaga zgody większości kwalifikowanej Rady Unii Europejskiej. W ostatnich tygodniach sprawa paktu migracyjnego przycichła w mediach, co w żadnym przypadku nie oznacza, że problem nielegalnej migracji nas nie dotyczy.

REKLAMA



21/0126/F

eprasa.pl 1560eb7ad6



Walizka Damiana Zawrotniaka

dziennikarza, recenzenta książek, znanego z sieci jako Pan Dociekliwy



Nazywam się Damian Zawrotniak, choć dla wielu jestem po prostu Panem Dociekliwym. Jestem dziennikarzem nowych mediów i człowiekiem, który nie boi się zadawać trudnych pytań. Moja działalność to przede wszystkim dociekliwe spojrzenie na współczesne zjawiska społeczne, medialne i kulturowe. Na moich kanałach społecznościowych komentuję bieżące wydarzenia oraz przygotowuję materiały, w których dociekam różnych ciekawych, często skomplikowanych spraw. Nie boję się krytykować, gdy czuję, że pewne treści mijają się ze zdrowym rozsądkiem i robię to bardzo stanowczo, ale zawsze z szacunkiem. Moja praca to coś więcej niż godziny spędzone przed ekranem – to codzienna chęć, by inspirować innych do krytycznego myślenia, nieprzyjmowania wszystkiego „jako jedynej prawdy objawionej", lecz stawiania pytań i poszukiwania odpowiedzi z odwagą i rzetelnością.







KRAWATY

Na co dzień ubieram się elegancko. Bardzo lubię koszule i dwurzędowe kamizelki, ale moim ulubionym elementem garderoby jest krawat, który wznosi całą stylówkę na wyżyny elegancji. Mam ich całkiem pokaźną kolekcję – ok. 80 sztuk.

OKULARY

Gdy cała stylizacja jest dopełniona, wybieram okulary, które są wisienką na torcie. Co jakiś czas lubię zaszaleć i kupić nowe oprawki.



eprasa.pl 1560eb7ad6



MAGAZYN HARMONIA

Rok 2026 rozpocząłem z przytupem, bo zostałem twarzą najnowszego numeru czasopisma „Harmonia”. Znajdziecie w nim mój wywiad na temat ogromnej korupcji na Ukrainie i dywersjach... naszego rządu.





TIRAMISU...

...a także jagodzianki, pączki, pierogi, ciasta – kocham spędzać czas w kuchni i karmić swoich bliskich moimi słodkimi wypiekami. Miłość do gotowania zaszczepiły we mnie mama i babcia. Jestem im za to ogromnie wdzięczny!

KSIĄŻKI

Kocham szczególnie książki historyczne, kryminały, książki religijne i psychologiczne.



Pomagają mi poznawać świat, poszerzają zasób słownictwa i działają na wyobraźnię. Często powtarzam: „Im więcej czytasz, tym więcej wiesz – im więcej wiesz, tym stajesz się mądrzejszy”. Tak jest, dlatego czytajmy (dobre!) książki.

ZEGAREK I BRANSOLETKI

Zegarek noszę po to, żeby być punktualnym. Czarna bransoletka z zawieszką w kształcie Polski identyfikuje mnie jako patriotę, a srebrna z wizerunkiem Matki Bożej – jako chrześcijanina.



PERFUMY



Uwielbiam zapachy. Zdarza mi się pochwalić kogoś na ulicy, jeśli ma na sobie piękny zapach. Moje ulubione perfumy to Chanel Egoiste z 1990 r., Armani Stronger With You z 2017 r. i Versace Pour Homme z 2008 r.

RÓŻANIEC



Nie rozstaję się z nim, zawsze mam go w plecaku lub kieszeni płaszcza. Codziennie używam go podczas Godziny Miłosierdzia o godz. 15.00, a dokładniej – do odmawiania koronki do Miłosierdzia Bożego. Bardzo was zachęcam do odmawiania tej modlitwy!

ŚW. ANTONI I ŚW. FAUSTYNA



Mój święty kumpel i święta przyjaciółka. Często mogę liczyć na ich pomoc. Antoni zawsze pomaga mi znaleźć coś, co gdzieś zapodziałem oraz załatwić miejsce parkingowe, a s. Faustyna i jej życie inspiruje mnie do bycia jak najlepszym człowiekiem.

KAWA

Rano mam bardzo dużo energii, więc nie zaczynam dnia od kubka kawy. Wieczorem mogę wypić espresso i bez problemu zasnąć. Moim absolutnym odkryciem z 2024 r. jest kawa Bialetti Dolce & Gabbana – Moka Perfetto Irresistible. Średni stopień palenia, nuty smakowe to orzech i czekolada. Bajka.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Albert Borowiecki, prywatne archiwum Damiana Zawrotniaka, materiały prasowe Chanel, Armani, Versace

eprasa.pl 1560eb7ad6

Putin liczy na nasze zmęczenie



Równo cztery lata temu Europa straciła złudzenia. Putin rozpoczął pełnoskalową agresję na Ukrainę, pokazując, że imperialna polityka Kremla nie jest reliktem przeszłości, lecz brutalną teraźniejszością. Czołgi znów zaczęły wyznaczać granice, a rakiety – „argumenty" w polityce.

Pamiętam tamten dzień. Tysiące ludzi na naszej granicy. Polskie rodziny otwierające domy. Państwo, które mimo ogromnej skali wyzwania zadziałało sprawnie. To był egzamin z człowieczeństwa i odpowiedzialności. Zdaliśmy go.

Dziś zmęczenie jest faktem. Cztery lata wojny, która trwa i nie została rozstrzygnięta, obciążają społeczeństwo. Ludzie mają prawo pytać o koszty i przyszłość. Ale zmęczenie nie może oznaczać ślepoty. Bo zagrożenie nie zniknęło.

W 2008 r. w Tbilisi śp. prezydent Lech Kaczyński powiedział: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, potem państwa bałtyckie, a później być może przyjdzie czas na Polskę". Trafnie to wówczas ocenił. Odczytał długofalowe plany Putina, gdy wielu wolało wierzyć w dobre intencje Rosji i w dialog bez złudzeń co do ceny. Nie mam wątpliwości, że być może właśnie dlatego, że był tak przenikliwym i odważnym głosem właśnie wtedy.

Warto też pamiętać, że misja prezydenta do Gruzji była w kraju krytykowana i wyśmiewana. Tusk i Sikorski w obrzydliwych słowach mówili o tym, jak w kierunku prezydenckiej kolumny padły strzały. Dziś historia wystawiła rachunek. To nie szydercy mieli rację, lecz ten, który ostrzegał przed imperialną polityką Kremla.

Ci zaś, którzy dziś kwestionują pomoc dla Ukrainy, powinni odpowiedzieć sobie na dwa pytania. Po pierwsze, czy pamiętają słowa prof. Lecha Kaczyńskiego z Tbilisi, i po drugie, czy lepiej gasić pożar trawiący dom sąsiada, czy czekać, aż ogień zajmie nasz dom? Rosja nie zatrzyma się dlatego, że jesteśmy zmęczeni. Agresor nie zapuka – wtargnie.

Dlatego nadal trzeba wspierać walczącą Ukrainę. Nie z romantycznych pobudek. Nie dla politycznej poprawności. Trzeba być z Ukrainą dla nas. Dla Polski. Każdy dzień jej oporu to dzień większego bezpieczeństwa naszych granic. To inwestycja w pokój w naszym kraju, a to nie bierze się z deklaracji, lecz z determinacji.

Jako społeczeństwo możemy być zmęczeni. Ale nie możemy być naiwni. W starciu z rosyjskim imperializmem nie ma miejsca na półśrodki. Jest tylko wybór: odpowiedzialność albo złudzenia. Ja wybieram bezpieczeństwo Polski.

Arkadiusz Mularczyk



Opowiadanie takich historii jest ważne

Z Jakubem Gierszałem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Z jaką refleksją przyjmuje się rolę w takim filmie jak „Pojedynek" – znając finał losów jego bohaterów, widząc to, co się dzieje na świecie?

Jakub Gierszał: Opowieści związane z II wojną światową, które dotykały bezpośrednio członków mojej rodziny, towarzyszyły mi od dziecka, cały czas były w tle. Działały na wyobraźnię, a także sprawiały, że mieliśmy świadomość historii (co dla wielu innych mieszkańców Europy – takie mam wrażenie – nie jest wcale oczywiste). Nie jest to też mój pierwszy film historyczny. „Zgoda" Maćka Sobieszczańskiego rozgrywała się w obozie w Świętochłowicach, w innych – już powojennych – okolicznościach, ale też w niewoli. Czytałem wtedy wspomnienia osób, które były tam osadzone. I tak jak przy „Pojedynku", starałem się zrozumieć rozmiar tragedii doświadczanej przez bohaterów. To, co musieli przeżywać. Wierzę, że opowiadanie takich historii na nowo jest ważne. Także dlatego, by nie stały się aktualne.

Czy filmowy Karol Grabowski ma swój pierwowzór?

To postać wzorowana m.in. na autentycznym muzyku, finaliście Konkursu Chopinowskiego, a także inspirowana losami innych oficerów osadzonych w Kozielsku. Prawdziwa jest historia sprowadzenia przez naczelnego enkawudzistę obozu, Wasilija Zarubina (w tej roli Aidan Gillen), fortepianu jako „narzędzia operacyjnego".

Jak przebiegała współpraca z Gillenem?

Nie rozmawialiśmy ze sobą poza ujęciami, co pozwalało zachować zarazem dystans, jak i napięcie rosnące między moim bohaterem i Zarubinem.

A jaki był Gillen poza kamerą?

I przed, i poza kamerą: profesjonalny, kulturalny i – mam wrażenie – szczerze zaciekawiony opowiadanym fragmentem naszej historii. To było ciekawe – zobaczyć, że ktoś, kto pochodzi z innego kraju, może być tak przejęty losami bohaterów.

„Pojedynek" trafia do kin, a co jest w realizacji?

Film „Przez ścianę" w reżyserii Maćka Sobieszczyńskiego z Marią Dębską w roli głównej. Historia także z lat 40. ub.w., ale już powojenna. Dwoje osadzonych w warszawskim więzieniu kontaktuje się ze sobą za pomocą alfabetu Morse'a. Za jakiś czas na platformę Netflix trafi produkcja „Kolory zła: Czerń". Nakręciłem też film w Chile, ale nie wiem, czy będzie dystrybuowany w Polsce.

Rozmowa z reżyserem filmu „Pojedynek" - str. 61

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1560eb7ad6

Walka z wiatrakami



Wbrew tytułowi nie będą to dywagacje o „czystej” energii pozyskiwanej z wiatru. Raczej o „donkiszoterii” mego pokolenia w zderzeniu z roszczeniowym światem Polaków wchodzących w życie w XXI w. Wojny, których doświadczyli nasi dziadkowie i rodzice, odcisnęły piętno na ich psychice, wyborach i wzorcach postępowania. My, pokolenie zrodzone już po 1945 r., wychowywaliśmy się co prawda w powojennej biedzie i izolacji od tzw. wolnego świata, ale już w znacznie bezpieczniejszej rzeczywistości. 20 lat oczekiwania na telefon, marzenia o małym Fiacie i zamordyzm komuny nie wpędzały nas w depresję, lecz motywowały do wytężonej pracy i solidarnościowego sprzeciwu wobec osaczającego zła.

Nasze dzieci i wnuki zostały poczęte w warunkach cieplarnianych. Możliwości zdobycia dowolnych kwalifikacji, swoboda podróżowania, większe szanse na sukces, awans społeczny i oszałamiający rozkwit cywilizacyjno-techniczny mogą dziś przyprawiać o zawrót głowy.

Dlatego ze zdumieniem słucham pretensji wchodzących właśnie w wiek produkcyjny młodych ludzi. Zarzucają nam, boomerom, psucie Polski. „Każde pokolenie ma własny czas” – śpiewała grupa Kombi. I każde pokolenie powinno wykorzystać ten czas do polepszenia swego losu.

Hej, wy, pokolenie Z (1997–2012)! Dzięki nam urodziliście się w najlepszym z możliwych okresów Rzeczypospolitej. Jeszcze nigdy w historii Polakom nie żyło się tak dobrze jak teraz. Tylko od was samych – waszego wykształcenia, pracowitości, mądrości, determinacji i trafnych wyborów – zależy wasza przyszłość. Jeśli zamkniecie się w swojej bańce informacyjnej i przestaniecie rozumieć otaczający świat, ten odpłaci się wam kolejną hekatombą. Zagładą, przy której pierwsza i druga wojna światowa były tylko (parafrazując klasyka) „igraszką”.

Nasi przodkowie sprzeciwiali się złu, zniewoleniu i głupocie. Mieli swój świat wartości i bronili go z narażeniem życia. Nie dajcie się prowadzić na rzeź jak bezmyślne stado.

Lech Makowiecki

Fot. OLEKSANDR GIMANOV/AFP/East News

ZDJĘCIE TYGODNIA Piąty rok wojny na Ukrainie



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT: ALICJA STEFANIUK/KPRP, PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, JAKUB KACZMARCZYK/PAP, IPN, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, SHUTTERSTOCK/BADURRAHMAN, GALUSHKO SERGEY

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	366 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 1560eb7ad6



Pierwsza dama do bicia

Byłą pierwszą damę Agatę Kornhauser-Dudę krytykowano za to, że milczy. Obecną – Martę Nawrocką – zaatakowano za to, że mówi. Liberalno-lewicowemu salonowi nie dogodzisz. On po prostu nie cierpi kobiet prawicy i udowadnia to, gdy tylko nadarzy się okazja

Marta Nawrocka zdecydowała się udzielić wywiadu stacji TVN24. Wystąpiła więc w medium, które z założenia nie jest przychylne prawicy, a więc także jej. Dlaczego to zrobiła? Pewnie dlatego, że nie brakuje jej odwagi, że chciała dotrzeć do kobiet, które nie należą do elektoratu jej męża, prezydenta Karola Nawrockiego. Pewnie chciała szerokiej publiczności pokazać siebie i wartości, którymi żyje. Zapewne chciała też opowiedzieć o działalności fundacji Blisko Ludzkich Spraw, której pierwszym projektem jest przeciwdziałanie hejtowi.

Co mówiła? Opowiedziała o swoich osobistych przeżyciach. O ciąży, w którą zaszła jako nastolatka, o tym, że choć „różne rzeczy miała w głowie", to jednak ze względu na wiarę i dzięki wsparciu rodziny urodziła syna. Jasno przyznała, że jest za życiem i przeciwko aborcji. W kwestii in vitro zastrzegła, że nie neguje wyborów innych ludzi. Dopytywana o to, czy wsparcie państwa dla rodzin korzystających z in vitro jest dla niej ważne, pierwsza dama uniknęła jednak odpowiedzi. „Proszę inny zestaw pytań" – powiedziała. Opowiadała też o doświadczeniu hejtu, który spotkał jej rodzinę, szczególnie dzieci, w czasie kampanii.

Zobaczyliśmy kobietę z dużym bagażem życiowych doświadczeń, ale kierującą się katolickim i konserwatywnym systemem wartości, która jednocześnie daje innym prawo do wyboru, jest otwarta na inny światopogląd. Mimo to liberalno-lewicowy salon zawył z obu-



DOROTA ŁOSIEWICZ

rzenia i ruszyła nagonka. Portale internetowe publikowały artykuły bazujące głównie na reakcjach z mediów społecznościowych, co potęgowało wrażenie masowego oburzenia. W komentarzach pojawiły się setki wpisów, z których wiele przekraczało granice rzeczowej polemiki. Oceniano wygląd, sposób mówienia, a nawet sposób siedzenia. Nie da się tu przedstawić całej fali jadu i żółci, która wylała się na pierwszą damę, więc ograniczmy się tylko do najmocniejszych komentarzy.

MILCZ, KOBIETO!

Jedno z pierwszych uderzeń wyszło spod pióra Natalii Waloch z „Gazety Wyborczej", która zawyrokowała: „Wywiad Nawrockiej w TVN24. Jako feministka rzadko radzę kobietom, by zamilkły. Dziś robię wyjątek". I jeszcze z wyższością oceniła: „Wywiadem w TVN24 potwierdziła przede wszystkim to, co wiele osób przeczuwało: że Pałac Prezydencki to za wysokie progi dla ludzi takich jak państwo Nawroccy". No pewnie! Za to Jolanta Kwaśniewska, ekspertka od jedzenia bezy, czy wiecznie przysypiająca Anna Komorowska – to było coś.

Falą obelg zalała prezydencką parę także inna feministka, Manuela Gretkowska. „Marta Naurokiego jest warta. Wstawili ją do scenografii kapiącej złotem, ustrojonej kwieciem jakby nie było innego kadru z pałacu tylko kaplica pogrzebowa w Las Vegas. Pięknie się to komponowało z jej hobby: oprócz rodziny lubi poświęcać czas strzelaniu, nie biciu po mordach w ustawkach. Szacun. Nadawałaby się na ochroniarkę prawdziwej pary prezydenckiej – Trzaskowskich, a jeszcze lepiej Anne Appelbaum z mężem" – zionęła jadem Gretkowska. „Marta nie musi przynajmniej publicznie się tłumaczyć ze statku miłości współmałżonka, bo pytania są kastrowane pod jej niepokalany wizerunek (biel fotela, biel kwiatów). Przedtem Ru...dło Leśne było wirtualnie poza pałacem, teraz naćpany Ru...acz może kręcić h...m [pisownia oryginalna – przyp. red.] żyrandol. Ktoś jednak postanowił ocieplić wizerunek prezydentowej. Tylko dlaczego słomą?" – pytała obrzydliwie. Były też skandaliczne słowa o prezydencie: „W »Śniadaniu Rymanowskiego« jak dzieciak chwalił się, że będzie jeździł, gdzie chce i ubierał w co chce, Polsce na złość? »Śniadanie Rymanowskiego« zamieniłabym dla pary prezydenckiej na »Śniadanie mistrzów« Vonneguta. Tam kosmici nie milczeli jak Dudowa i nie bredzili jak Duda. Oni porozumiewali się za pomocą pierdnięć i stepowania. Myślę, że w przypadku Nawrockich byłby to odpowiedni sposób komunikacji ze swoim elektoratem, bez obrażania inteligencji pozostałych: pierdnięcia i stepowanie" – oceniła przedstawicielka „elyty".

> Jedno z pierwszych uderzeń wyszło spod pióra Natalii Waloch z „Gazety Wyborczej", która zawyrokowała: „Wywiad Nawrockiej w TVN24. Jako feministka rzadko radzę kobietom, by zamilkły. Dziś robię wyjątek"

Hipokryzja ludzi, którzy dziś rzucili się na Martę Nawrocką, każąc jej milczeć lub pierdzieć w miejsce mówienia, bije w oczy. Kilka lat temu w polityczną rozróbę wokół aborcji próbowano wciągnąć Agatę Kornhauser-Dudę. Posłanki Nowoczesnej wysłały do niej list z apelem o zajęcie stanowiska w sprawie zaostrzenia ustawy aborcyjnej. Gdy stało się jasne, że prezydentowa nie da się wciągnąć w gierki ówczesnej opozycji, ochoczo poczęto rzucać w jej kierunku rozmaitymi wyzwiskami. Dziennikarka Karolina Korwin-Piotrowska nazwała wówczas pierwszą damę „polską katolicką odpowiedzią na Barbie". Dorota Wellman stwierdziła, że pierwsza dama nie powinna być „milczącą kukłą, która stoi i ładnie się uśmiecha!", a Ewa Wanat, była redaktor naczelna i dyrektor programowa RDC, stwierdziła: „Taki stereotyp, że jak ktoś jest ładny, dobrze się ubiera, zna języki i ma fajnego i mądrego ojca, sam musi być mądry i fajny. No nie, to się nie sprawdza". Paulina Młynarska zarzuciła prezydentowej brak niezależności oraz określiła pierwszą damę jako „ładnie ubraną panią u boku uśmiechniętego pana z długopisem". Wtedy zarzucano pierwszej damie, że milczy, dziś lewicowo-liberalny salon wyżywa się na Marcie Nawrockiej za to, że mówi.

MANIPULACJE

Już w pierwszych godzinach po emisji wywiadu fragmenty wypowiedzi zaczęły krążyć w internecie w formie krótkich klipów wyrwanych z szerszego kontekstu. Słowami pierwszej damy zaczęto manipulować w sposób, który pasował do intencji manipulatorów, ale nie do intencji Marty Nawrockiej.

Aborcjonistki z Aborcyjnego Dream Teamu wykorzystały postać pierwszej damy do promocji zabijania dzieci oraz apelu o przekazywanie 1,5 proc. podatku na swoją działalność. Marta Nawrocka podkreśliła na antenie TVN24, że jest przeciwko aborcji. „Stałam przed wyborem, różne rzeczy w głowie miałam, ale też ze względu na swoją wiarę, ze względu na wsparcie rodziny, które miałam, urodziłam. Teraz mam wspaniałego 23-letniego syna i nie żałuję ani przez minutę tej decyzji, więc [...] jestem za życiem, a przeciwko aborcji" – powiedziała Nawrocka.

Jednak na swoim promocyjnym plakacie aborcjonistki przy zdjęciu pierwszej damy zawarły tylko część jej wypowiedzi i opublikowały słowa: „Jako młoda dziewczyna zaszłam w ciążę, stałam przed wyborem, różne rzeczy miałam w głowie". Zdjęcie Nawrockiej i zmanipulowany fragment jej wypowiedzi

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1560eb7ad6

opatrzono komentarzem: „Każdego roku z Aborcją Bez Granic tylko w drugim trymestrze ciąże przerywa około 300 nastolatek. Niektóre mają wsparcie rodziców, ale większość nie. Wiemy, że podobnie jak Marta Nawrocka różne rzeczy mają w głowie, czytają w necie o sposobach na przywrócenie miesiączki, dają się czasem naciągać handlarzom. Przez ostatni rok mamy jeszcze większą styczność z nastolatkami [...]. Zaczynamy od testu ciążowego i nawet nam się często udziela ich strach. Jeśli test jest negatywny, to ściskamy się w uldze. A jeśli jest pozytywny, to zaczynamy rozmowę od słów, spokojnie, nie jesteś sama. W każdym razie pomagamy też nastolatkom" – napisano, promując aborcję. I ta manipulacja bez dwóch zdań zasługuje na proces.

Innej manipulacji dopuściła się Anna Sobolak, posłanka Koalicji Obywatelskiej. Wykorzystała w swoim spocie wyrwane z kontekstu zdanie Marty Nawrockiej i opatrzyła je takim komentarzem. „Pani prezydentowa właśnie przyznała to publicznie. Gdyby internet był uczciwy, jej mąż nie wygrałby wyborów" – mówi w nagraniu Sobolak. I cytuje to zdanie pierwszej damy z wywiadu dla TVN24: „Uważam, że mój mąż nie zostałby prezydentem", opatrując je komentarzem: „Tak, to nie żart, to cytat z jej ostatniego wywiadu o ustawie DSA" – kontynuuje swój wywód posłanka. „Mówią o cenzurze, a boją się prawdy" – dodaje Sobolak i dalej broni ustawy cenzurującej internet. Rzecz w tym, że Marta Nawrocka powiedziała coś zupełnie odwrotnego, a mianowicie, że gdyby w internecie była cenzura, jej mąż nie wygrałby wyborów. Ale cóż politykowi KO szkodzi zmanipulować?

ATAK „NEWSWEEKA"

Do nagonki na pierwszą damę ochoczo włączył się „Newsweek". „Tajemnice Marty Nawrockiej" – to hasło okładki tego tygodnika i temat artykułu Renaty Kim, która donosi, że pierwsza dama: „Przybrała pozę Świętej Matki Narodu". Dziennikarka próbuje przyciągnąć czytelników pytaniem o to, „jaka była jej rola w sprawie kawalerki pana Jerzego". Jednocześnie insynuuje, że prezydent Nawrocki „ma znajomych z półświatka". Jednak w tekście pustka. O Marcie Nawrockiej nie dowiadujemy się niczego nowego. Jest o tym, że pracowała w Krajowej Administracji Skarbowej, że łączyła to z wychowaniem trójki dzieci, że mieszkała kątem u teściowej.



> To, co obserwujemy w ostatnich dniach, stanowi próbę odczłowieczenia nie tylko pierwszej damy, lecz także pary prezydenckiej. To strategia, którą latami realizował Palikot, wykonawca „przemysłu pogardy" stworzonego przez Tuska

„O wiele rozmowniejsi są mieszkańcy robotniczej dzielnicy Siedlce. Tam Marta jest tą miłą dziewczyną, która wyszła za chłopaka stąd, Karola. I przez kilka lat, zanim kupili własne mieszkanie kilometr dalej, mieszkała u jego mamy: ona z mężem i małym synkiem z poprzedniego związku w jednym pokoju, a w drugim starsza pani Nawrocka z siostrą Karola, Niną. Ludzie wciąż pamiętają, że kiedy Marta jeździła po okolicy rowerem z koszykiem na zakupy, zawsze pomachała im ręką" – donosi „Newsweek". „Oficjalna wersja jest właśnie taka: fajna, miła, ciężko pracująca osoba, która na dodatek wychowuje trójkę dzieci. Ostoja Karola. Nawroccy konsekwentnie trzymają się tej wersji. Od nich nigdy żadne rzeczy nie wyciekają, pełna dyskrecja" – pisze „Newsweek". I gdzie tu sensacja? Renacie Kim nie mieści się w głowie, że może to nie oficjalna wersja, tylko tak po prostu jest.

Ale jest okładka, a na niej pytanie o tajemnice, których – jak się okazuje – nie ma. „Ta okładka ma wzbudzać wątpliwości. Pani prezydentowa jest ciepłą, dobrą osobą. Jest matką, pracowała normalnie. To normalna polska rodzina. Może właśnie to tak bardzo boli tzw. elity medialno-polityczne, że normalni ludzie – Marta Nawrocka i Karol Nawrocki – są dzisiaj pierwszą parą Rzeczypospolitej Polskiej. Ale to ich problem. Polacy wybrali" – komentował na antenie telewizji wPolsce24 „sensacje" tygodnika Zbigniew Bogucki, szef Kancelarii Prezydenta RP.

Ale w tej okładce chodzi o coś jeszcze. O to, żeby przypomnieć historię kawalerki, bo może publiczność już zapomniała i o to, by dopiec prezydentowi, bo przecież nic nie boli tak jak atak na ukochaną osobę.

eprasa.pl 1560eb7ad6

GŁOS W OBRONIE

W tym zmasowanym ataku na pierwszą damę słowa obrony przyszły z nieoczekiwanych stron.

„Marta Nawrocka po raz kolejny stała się pretekstem do uruchomienia pogardy części elit, które po jej wywiadzie wylały z siebie publicznie tony gówna. Szczególnie feministki zajęły się publicznym sraniem w imię rzekomych wartości. To nowa fala – gównianego, przemocowego pseudofeminizmu" – napisała na platformie X Beata Maciejewska, była posłanka Lewicy.

Z odsieczą ruszył także obecny poseł Nowej Lewicy Łukasz Litewka, który kilka dni wcześniej spotkał się z parą prezydencką w sprawie prywatnych schronisk dla zwierząt po ujawnieniu dramatu psów w podwarszawskim Sobolewie. Poseł zamieścił obszerny wpis na Facebooku, w którym dał odpór wściekłemu atakowi ze strony środowisk lewicowo-liberalnych. „Burza w mediach po wywiadzie Pierwszej Damy Marty Nawrockiej. Krytyka z praktycznie wszystkich stron. Znawcy od »pijaru« i marketingu analizują każdą minutę punkt po punkcie i omawiają błędy – nie ma pozytywnych akcentów, są tylko ciągłe pomyłki" – zaznaczył we wpisie Litewka. „Miałem możliwość poznać i porozmawiać z Martą Nawrocką, odbieram ją jako osobę, która jest ciepła i serdeczna. Nie zazdroszczę jej, praktycznie z dnia na dzień musiała zostawić swoje »stare życie« i wejść w zupełnie inne, nieznane dotąd otoczenie – oczekiwania są ogromne. Widzę kobietę, która z podniesioną głową jest po prostu sobą. Autentyczną, otwartą i ciepłą osobą, która nie szuka kłótni i walki politycznej, a chce być kimś, kto łączy. Jest w tym naturalna, nie jest politykiem" – ocenił poseł Nowej Lewicy. „Zapewne to dopiero początek wyzwań, które niesie mandat Pierwszej Damy, ale widzę dobre intencje i nieudawanie kogoś, kim się nie jest" – dodał.

Po tych słowach Litewka sam stał się obiektem krytyki ze strony hejterów, uderzających w pierwszą damę. „Stanąłem dziś w obronie Pierwszej Damy i wiele osób na tym profilu poinformowało o rezygnacji z dalszego obserwowania oraz uwaga: udziału w zbiórkach i wpłat na chore dzieci. Nie na mnie, na dzieci. Przepraszam, że Was zawiodłem. Wy mnie bardziej" – zareagował na całą sytuację poseł.

Martę Nawrocką wzięła w obronę także Katarzyna Kotula, sekretarz stanu w KPRM, która w programie „Tlit" Wirtualnej Polski powiedziała: „Teraz mamy pierwszą damę, która ma pomysł na siebie, która chce się w jakiś sposób realizować. Nie rozumiem oburzenia. Tym bardziej nie rozumiem hejtu, który wylał się na pierwszą damę. Możemy się z pierwszą damą różnić, możemy się nie zgadzać co do jej poglądów. Natomiast to był bardzo ciekawy wywiad" – stwierdziła Kotula.

> Już w pierwszych godzinach po emisji wywiadu słowami Nawrockiej zaczęto manipulować. Działaczki Aborcyjnego Dream Teamu wykorzystały postać pierwszej damy do promocji zabijania dzieci oraz apelu o przekazywanie 1,5 proc. podatku na swoją działalność

Głos w sprawie ataku na małżonkę prezydenta zabrali też oczywiście politycy prawicy. Tak strumień świadomości intelektualistki Gretkowskiej skomentowała była prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska: „Manuela Gretkowska wulgarnym wpisem umieszczonym w sieci rozładowała gniew, frustrację i ból związany z przegraną Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich. Zaatakowała i obraziła ponad 10 mln Polaków, którzy dokonali wyboru. Rozgniewała ją bowiem ta »prymitywna, nieestetyczna tłuszcza«, która panoszy się na polskiej ziemi, wchodzi na salony, zawłaszcza kolory elegancji i pozwala sobie myśleć inaczej niż ona, »dama polskiej inteligencji, królowa słowa i refleksji«. Dekoracyjność stylu, a także sposób prezentacji miały być efektowne, a w swej istocie okazały się puste, banalne i mało wartościowe. Wykształconej absolwentce filozofii zabrakło refleksji nad swoimi przedsądami i słów, aby opisać zagubienie. A może niepowodzenie projektu Partii Kobiet sprzed lat tak bardzo ją rozgniewało, że wykorzystała okazję i zaatakowała mową nienawiści Martę Nawrocką, a tak naprawdę Polki i Polaków, którym wizja świata Manueli Gretkowskiej się nie spodobała".

PRZEMYSŁ POGARDY WIECZNIE ŻYWY

Skala nienawiści, która wylała się na Martę Nawrocką, to nie była polemika z jej poglądami. To wezwanie do milczenia i wykluczenia z debaty. Do symbolicznego wyrzucenia poza nawias. To zresztą często spotyka kobiety prawicy, którym po prostu odmawia się prawa do udziału w debacie publicznej i atakuje się je najokrutniejszymi epitetami. One nie jedzą, tylko „żrą", mają „zatłuszczone łby" i „obrzydliwe pisowskie mordy". Na szacunek lewicowo-liberalnego salonu zasługują tylko te kobiety, które wpisują się w akceptowany przezeń światopogląd. Afirmacja macierzyństwa, przyznawania się do katolickiej wiary sprawia, że salonowi wylewa się na usta piana wściekłości.

To, co obserwujemy w ostatnich dniach, jest także próbą odczłowieczenia nie tylko pierwszej damy, lecz także pary prezydenckiej. To strategia, którą latami realizował Janusz Palikot, wykonawca „przemysłu pogardy" stworzonego przez Donalda Tuska. W styczniu przed katastrofą smoleńską Palikot przyznał: „Trwale uszkodziliśmy liderów PiS i całą formację, która jest już niezdolna do zwycięstwa. Nikogo już nie uwiodą, bo są fundamentalnie ośmieszeni". Teraz chodzi o to samo, co wówczas: o odarcie Nawrockich z godności, o odebranie im prawa do istnienia w polskiej polityce. Chodzi też o zemstę na części narodu, która dokonała wyboru wbrew woli „elit".

eprasa.pl 1560eb7ad6

Inżynieria pogardy

Apeluję o opamiętanie, bo niektórzy politycy traktują konkurencję jak zawody na wyniszczenie przeciwnika. Zdeptanie, zgnębienie, psychiczne i fizyczne. Bo temu służą ataki, takie jak ten na Martę Nawrocką



Fot. Paweł Dąbrowski/Super Express

Z Małgorzatą Wassermann, posłanką Prawa i Sprawiedliwości, rozmawia Marcin Wikło

Marta Nawrocka znalazła się na celowniku polityków koalicji 13 grudnia i sprzyjających jej mediów. Jak nazwałaby pani tę operację, której ofiarą jest pierwsza dama?

Małgorzata Wassermann: To, co zafundowano w kampanii i nadal funduje się małżeństwu Nawrockich, jest po prostu chamstwem i podłością. To czysty, nienawistny hejt. To naprawdę straszne. Co więcej, ta strona, która wciąż nie akceptuje wyboru Karola Nawrockiego, bo jest on nie po jej myśli, posuwa się coraz dalej. Ale to nie jest coś, co budzi mój największy sprzeciw, bo tego niestety można się było spodziewać. Najbardziej obrzydzają mnie głosy, które z fałszywą troską, pozornie, bronią Marty Nawrockiej.

Pozornie?

Tak. Ich wydźwięk ma być następujący: jest niedoświadczona, nie umie się odnaleźć, te progi może rzeczywiście są dla niej lekko za wysokie, ale nie krytykujmy jej, dajmy jej szansę. Po prostu nie mogę słuchać takiej narracji.

To ma być obrona, ale tak naprawdę to wplecenie pierwszej damy w jakieś wyimaginowane kompleksy? Ulitowanie się nad kimś gorszym?

Autopromocja

eprasa.pl 1560eb7ad6

Nie można na to pozwolić, bo Marta Nawrocka nie ma najmniejszych powodów, by czuć się gorszą od kogokolwiek, a na pewno nie od poprzednich pierwszych dam. Jest znakomicie wykształcona, przez lata pracowała jako funkcjonariusz służb skarbowych, a to wymaga naprawdę ogromnej odporności psychicznej i fizycznej. Co więcej, znalazła czas w życiu, by rozwijać swoje pasje, a przy tym urodziła i wychowuje trójkę dzieci. Doszukiwanie się w jej drodze życiowej czegoś gorszego czy uwłaczającego to czysta retoryka i inżynieria pogardy, która ruszyła wobec niej ze straszną energią.

Agata Kornhauser-Duda była atakowana, bo nie wypowiadała się publicznie, Marta Nawrocka dostaje teraz za to, że udzieliła wywiadu, i to w TVN24. Na czym polega ta pułapka?

Tak się składa, że znam Agatę prywatnie i wiem, że jest to bardzo fajna, inteligentna, wygadana i towarzyska kobieta. Przypięto jej natomiast łatkę „milczącej" pierwszej damy. To, że nie udzielała wywiadów, było jej wyborem i rozumiałam ją. Bo ona wiedziała, z czym może mieć do czynienia, dlatego że jej mąż przed prezydenturą funkcjonował w polityce już bardzo długo. Agata wiedziała, że niezależnie od tego, co powie, i tak będzie krytykowana. Wybrała drogę pracy, naprawdę ciężkiej, bez rozgłosu w mediach. Ja też wolę poświęcić czas na coś konstruktywnego, niż dawać pożywkę ludziom, których i tak nie zadowolę. Na to naprawdę szkoda czasu i energii.

Czyli wywiad Marty Nawrockiej w TVN24 to był błąd czy raczej oznaka jej odwagi?

To nie był błąd – to był przejaw czegoś, co nazwałabym normalnością, o której często dzisiaj zapominamy, a za czym gdzieś skrycie bardzo tęsknimy. Jest pierwsza dama, która chce udzielać wywiadów, udziela więc i tej stacji telewizyjnej. Pokazuje, jak to powinno wyglądać. Po prostu. Normalnie.

No tak, ale sytuacja nie jest normalna. A pytanie o to, jak Marta Nawrocka znosiła hejt w kampanii w ustach dziennikarki tej stacji brzmi jak jakaś sadystyczna manipulacja.

To prawda, że to jest strona, która notorycznie przekracza granice i pozwala sobie na język, który jest dla mnie nie do przyjęcia. Sam ten wywiad był, jaki był, niech widzowie ocenią. Problemem jest to, że strona nieprzychylna prezydentowej nie pozwala swoim widzom na samodzielną ocenę, ale natychmiast uruchamia proces „obrabiania" wypowiedzi pierwszej damy. Nieważne, jak w rzeczywistości wypadła, czy towarzyszyła jej trema, czy nie. Każde jej zdanie w kolejnych komentarzach „ekspertek" jest tłumaczone na język tego towarzystwa spod znaku „ośmiu gwiazdek". Według mnie Marta Nawrocka wypadła bardzo dobrze i przede wszystkim bardzo naturalnie, ale po wspomnianej wyżej obróbce szybko wytłumaczono widzom, że nie mogą ocenić jej dobrze. Po prostu nie mogą.

Czy w Polsce będzie kiedyś normalnie?

Wtedy, gdy wszyscy będziemy traktowali się równo. Na razie wobec faktu, że politycy partii Donalda Tuska lekceważą np. telewizję wPolsce24 i nie chcą do was przychodzić, ja też odrzucam zaproszenia i nie chodzę ani do nielegalnie przejętej TVP w pozornej likwidacji, ani do TVN24.

Czy Marta Nawrocka mogłaby się stać prawdziwą bohaterką widzów TVN24, gdyby ktoś podjął tam decyzję, że tak chce ją pokazać?

Gdyby była traktowana na równi z innymi, to oczywiście że tak. W niczym nie odbiega od tych pierwszych dam, które są przez te media hołubione i wychwalane pod niebiosa. Popatrzmy na wykształcenie – skończyła przecież studia na Wydziale Prawa i Administracji na Uniwersytecie Gdańskim, czyli dokładnie tam, gdzie Jolanta Kwaśniewska, uznawana przez to towarzystwo za nadzwyczajną ikonę stylu. A przecież również ona pracowała przez jakiś czas także jako sekretarka. Czy ktokolwiek mówił, że Pałac Prezydencki nie jest miejscem dla niej, bo w przeszłości parzyła kawę i odbierała telefony? W biografii Anny Komorowskiej czytam, że była nauczycielką języka łacińskiego, ale zrezygnowała z pracy, by poświęcić się rodzinie, prowadzeniu domu i wychowaniu dzieci. I chwała jej za to. Nikt nigdy nie robił jej zarzutu z macierzyństwa, nikt nigdy nie mówił, że jest kurą domową, a nie pierwszą damą. Powiem po raz kolejny – nie zgadzam się na narrację, że Marta Nawrocka nie zasłużyła na bycie prezydentową, bo jest to pozbawione jakichkolwiek podstaw.

Jednym z głównych zarzutów jest pochodzenie z gdańskiego blokowiska...

Halo, moment, a ilu z nas wychowywało się w bloku? Ile osób z naszego pokolenia urodziło się w pałacu, dworku czy w majątku szlacheckim? Przecież wychowaliśmy się w PRL, tylko nieliczni mieli domy czy większe posiadłości i często były to dzieci partyjnych dygnitarzy, co chluby raczej nie przynosi. W zdecydowanej większości jesteśmy dziećmi z bloków. Bawiliśmy się na klatkach albo przy trzepaku, graliśmy w gumę albo badmintona. To było nasze naturalne środowisko. Skąd więc taki bzdurny zarzut, że pochodzenie z blokowiska to coś gorszego?

A nie ma pani wrażenia, że najważniejszą rolę odgrywa tutaj specyficzny klasizm? Że taki zaszczyt jak prezydentura komuś z prawej



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA SIECI PRZEZ InPost
Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Tygodnik SIECI odbierasz **już w poniedziałek** ze swojego paczkomatu
Możesz go zmienić na inny np. na czas urlopu

eprasa.pl 1560eb7ad6

strony politycznej, konserwatyście, po prostu się nie należy?

Chyba rzeczywiście dotykamy tutaj sedna rzeczy. Są w Polsce żałosne elity, ludzie, którzy uzurpują sobie prawo do tego, by nazywać się elitą, a tak naprawdę nią nie są. I według nich ta druga strona, ci zaściankowi konserwatyści nie zasługują na żadne zaszczyty. Mam na myśli celebrytów i aktorów, a także czasem ludzi z tytułami profesorskimi, którzy żyją w swoim hermetycznym świecie i żywią się pogardą dla tych, których uważają za gorszych. Tym „gorszym" nic się nie należy, im się należy wszystko. Oni dają sobie prawo włączania kogoś do swojej elity albo pozostawiania go poza marginesem. Często używają przy tym – jak choćby wobec Marty Nawrockiej – bardzo wulgarnego języka. Gdyby coś choćby w ułamku podobnego dotknęło ich „wybranków", zaraz zawiązałyby się komitety protestacyjne. Głos obrony pierwszej damy jest natomiast cichy, według mnie zbyt cichy. Dlatego chcę się o nią publicznie i głośno upomnieć.

A nie ma pani wrażenia, że ludzie, wybierając Karola Nawrockiego, pokazali jednak publicznie, że takie pochodzenie z bloku nie jest niczym złym? Że te zarzuty są bzdurne, choć formułująca je mniejszość jest głośna i dokuczliwa?

Ludzie lubią się przeglądać w osobach z pierwszych stron gazet. Wielu Polaków w Marcie i Karolu Nawrockich widzi siebie. Trudna droga, ciężka praca i imponujący sukces, którego nikt nie dał za darmo. Jako społeczeństwo mamy w ogromnej większości podobną historię. Z różnym finałem, ale droga jest podobna. Trudno więc się z nimi nie utożsamiać. Myślę, że rosnąca popularność prezydenta i jego żony absolutnie wyprowadziła z równowagi te pseudoelity. Tacy mądrzy, tacy skorzy do pouczania tego głupiego plebsu, a wybory wygrał ktoś inny, komu zaufali ludzie mający własny rozum.

Dla kogo jest więc kręcona ta historia o zbyt wysokich progach w pałacu dla Nawrockich?

Rafał Trzaskowski przegrał, ale zdobył również ponad 10 mln głosów. To naprawdę dużo. Muszę zwrócić uwagę na coś jeszcze – te „elity" mają umiejętność kreowania mody i wmawiania mniej dojrzałym osobom, że głosowanie na prawicę jest obciachem. Wytłumaczyła mi to kiedyś pewna młoda osoba. Usłyszałam, że jako PiS zrobiliśmy dla Polski i Polaków najwięcej. Ale skoro my, młodzi, mamy w mózgach wyryte hasło „Je...ać PiS", to przecież nigdy nie przyznamy otwarcie, że bylibyśmy w stanie na was zagłosować. Wielu z tych młodych nie akceptuje rządów Tuska, ale PiS jest nie do przyjęcia, bo im wdrukowano, że to plebs, zaściankek. Młodzież naprawdę ma z tym problem, dlatego tak chętnie rzuca się na te nowe ugrupowania. One mijają szybko, rozczarowują, ale pojawiają się następne.

> Najbardziej obrzydzają mnie głosy, które z fałszywą troską, pozornie, bronią Marty Nawrockiej. Ich wydźwięk ma być następujący: jest niedoświadczona, te progi rzeczywiście może są dla niej lekko za wysokie, ale nie krytykujmy jej, dajmy jej szansę. Po prostu nie mogę słuchać takiej narracji

Kilka razy wydawało się, że jako społeczeństwo doszliśmy do ściany i wyczerpaliśmy limit chamstwa i podłości. Ale potem okazywało się, że nawet momenty takie jak katastrofa smoleńska, w której zginął pani ojciec, nie powodują zatrzymania nienawiści. W kampanii prezydenckiej atakowano brutalnie nawet Kasię, kilkuletnią córeczkę Nawrockich. Naprawdę nie ma nadziei na zatrzymanie tego hejtu?

My jako prawa strona trzymamy się tych granic, nasi oponenci nie. Proszę spojrzeć na tzw. ruchy prokobiece, które w takich chwilach jak hejt na Martę Nawrocką są zajęte czymś innym albo ich nie ma. Na co dzień robią dużo szumu i otoczkę wokół siebie, jak to niby wojują o prawa kobiet. Cóż to za obłuda. Prawa kobiet, ale nie wszystkich. Gdy atakowane są kobiety związane z prawicą, jeszcze dolewają oliwy do ognia. Życiorys „konserwatystki", „kobiety prawicy" powoduje, że to rzekomo „prokobiece" towarzystwo zatraca wszelkie granice przyzwoitości. Zaczyna się doszukiwanie i eksponowanie jakichś domniemanych win i ułomności. Nie patrzą nawet na to, czy ktoś ma dzieci, jak to może się na nich odbić. W tym draństwie nie ma żadnej litości.

Nie brzmi to optymistycznie.

Bo my naprawdę jesteśmy na prostej drodze do tego, by nasze życie stało się nie do zniesienia. Apeluję o opamiętanie, bo niektórzy politycy traktują konkurencję jak zawody na wyniszczenie przeciwnika. Zdeptanie, zgnębienie, psychiczne i fizyczne. Bo temu służą ataki, takie jak ten na Martę Nawrocką.

Myśli pani, że Nawroccy to przetrwają?

Są bardzo dzielni. Myślę, że czują wsparcie milionów zwykłych ludzi, z którymi dzielą to doświadczenie pogardy od „elit". No i mają siebie, wspaniałą, kochającą się rodzinę. Tworzą sobie nawzajem prawdziwe zacisze domowe, w którym można się skryć, gdy ataki z zewnątrz stają się nieznośne.

eprasa.pl 1560eb7ad6



Obywatele Ukrainy upominają się o przejrzyste państwo

Obywatele Ukrainy mieszkający w Polsce coraz częściej wychodzą na ulice nie tylko z hasłami solidarności z walczącą ojczyzną. Od 2025 r. coraz wyraźniej słychać także postulaty dotyczące uczciwości i przejrzystości władz w Kijowie. W 2026 r. ten głos staje się jeszcze bardziej stanowczy

To nie jest ruch wymierzony przeciw Ukrainie ani próba osłabienia jej obrony przed rosyjską agresją. Przeciwnie. Jak podkreśla Viktoriia Dotsenko, prezes zarządu Fundacji Viktoriia – organizacji niosącej pomoc w Polsce i na Ukrainie – właśnie dlatego, że kraj toczy wojnę o przetrwanie, „nie może sobie pozwolić na tolerowanie korupcji i marnotrawstwa środków publicznych".

„W kraju trwa wojna, nasi chłopcy giną na froncie, rodziny miesiącami żyją bez prądu i ogrzewania, a my czytamy o miliardach wydawanych na projekty, które nie wzmacniają ani bezpieczeństwa, ani codziennego życia zwykłych ludzi" – mówi uczestnik pokojowej manifestacji w Warszawie. „Nie przyszliśmy tu atakować państwa. Przyszliśmy je ratować przed słabością od wewnątrz".

Ukraińska diaspora w Europie od 2022 r. organizowała dostawy pomocy humanitarnej i budowała most zaufania między Polską a Ukrainą. Dziś to samo środowisko zadaje trudniejsze pytania: na jakich fundamentach zostanie odbudowane państwo po zakończeniu rosyjskiej agresji? Czy będzie ono uczciwe i transparentne, czy też pożyczki i granty staną się parawanem dla niejasnych decyzji?

Pokojowe manifestacje w Warszawie i Wrocławiu były wyrazem troski o przyszłość kraju oraz sygnałem skierowanym do Stanów Zjednoczonych, Unii Europejskiej i Ukrainy w obliczu ogromnego deficytu budżetowego na 2026 r. Demonstranci zwracają uwagę na rosnące dysproporcje społeczne, niskie świadczenia oraz trudną sytuację rodzin żołnierzy.

Protesty odbywają się w Polsce nieprzypadkowo – konstytucja RP gwarantuje każdemu prawo do pokojowych zgromadzeń i wyrażania opinii. To tutaj ukraiński głos obywatelski może wybrzmieć swobodnie i dotrzeć do decydentów w Kijowie oraz w państwach wspierających Ukrainę.

Jak podkreśla Aleksander Mikietyński, niezależny prawnik i audytor, apel manifestujących płynie do całego wolnego świata – milionów podatników wspierających Ukrainę od czterech lat.

„Ukraina ratyfikowała Konwencję Narodów Zjednoczonych przeciwko korupcji oraz zobowiązała się wobec UE i NATO do wdrożenia standardów przejrzystości i rozliczalności. Pomoc międzynarodowa nie jest jałmużną – jest inwestycją w bezpieczeństwo całej Europy".

Powstają inicjatywy obywatelskie, listy otwarte i niezależne raporty. Ukraińcy za granicą przestają być postrzegani wyłącznie jako uchodźcy – stają się współgospodarzami debaty o przyszłości własnego państwa.

Ten głos bywa niewygodny, lecz – jak zaznacza Viktoriia Dotsenko – „milczenie wobec nadużyć nie jest dowodem lojalności. Jest przyzwoleniem na dalszą erozję zaufania".

Jeśli Ukraina ma wyjść z wojny jako państwo stabilne i zdolne do odbudowy, potrzebuje nie tylko wsparcia militarnego i finansowego, lecz także uczciwych instytucji. Ukraińcy mieszkający w Europie przypominają o tym coraz głośniej.

Artykuł sponsorowany | 19/0226/F

eprasa.pl 1560eb7ad6



Ambasador Niemiec Miguel Berger

Sejm pod nadzorem

Niemcom bardzo zależy na programie SAFE. Dzięki temu dostaną do ręki smycz, na której przez długie lata będą trzymać Polskę i pół Europy. Trudno się zatem dziwić, że ambasador Berger przyszedł do Sejmu, aby przyglądać się obradom. Co to jednak ma wspólnego z polskim interesem narodowym, na który powołuje się Donald Tusk?



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Blisko 44 mld euro – taką pożyczkę ma zaciągnąć Polska na zakupy uzbrojenia w Europie w ramach programu SAFE. To najwięcej ze wszystkich państw Unii. Będziemy ją spłacać do 2070 r. Wokół tak wielkiego wydatku mnożą się pytania i wątpliwości. Kto na tym zarobi? Czy na inwestycjach w obronność skorzysta polska gospodarka? I wreszcie najważniejsze: na ile pozostaniemy suwerennym państwem? Czy wpisany w pożyczkę mechanizm warunkowości nie sprawi, że demokracja w Polsce stanie się fikcją, bo Unia będzie mogła uzależnić wypłaty funduszy i dostawy broni od tego, kto akurat sprawuje rządy w Polsce? Na te pytania nie ma uspokajających odpowiedzi, nic więc dziwnego, że stronnictwa szeroko rozumianej prawicy zagłosowały w Sejmie przeciwko programowi SAFE, a prezydent Karol Nawrocki – jak się oczekuje – zapewne zawetuje ustawę.

Forsująca pożyczkę koalicja rządowa nie daje jednak za wygraną. Jej przedstawiciele – w tym sam Tusk – mówią już, że i tak ominą weto prezydenta. Ich upór jest tak silny, że można odnieść wrażenie, iż od powodzenia tego programu zależą losy rządu. Niewykluczone zresztą, że tak jest, a udział w programie SAFE stanowi rodzaj politycznej kotwicy, która zapewni obecnemu reżimowi długoletnie rządy w Polsce.

W CZYIM INTERESIE?

Argumenty Tuska jak zawsze są przewrotne. Twierdzi on, że głosowanie przeciwko SAFE jest niemal zdradą stanu i działaniem wbrew bezpieczeństwu państwa. To oczywiście odwracanie kota ogonem, ale bałamutny przekaz premiera może się okazać dość skuteczny propagandowo.

Zaraz po sejmowym głosowaniu Tusk ruszył do ataku. Zwracając się do prezydenta oraz do polityków PiS i Konfederacji, których partie sprzeciwiły się pożyczce, zaczął bić w patriotyczne werble. „Zastanówcie się, czy naprawdę chcecie uderzyć w samo serce Polski w sytuacji, kiedy za granicą jest tak okrutna wojna?" – zapytał przed posiedzeniem rządu w ubiegły wtorek. „Nikt wam tego nie wybaczy i naprawdę nikomu łaski nie robicie, pomagając rządowi w realizacji tego programu". A na koniec wprost zarzucił swoim oponentom zaprzaństwo. „Takiej zdrady interesów narodowych nikt wam nigdy nie wybaczy, jeśli

Fot. Miguel Berger/x.com, Filip Naumienko/REPORTER

eprasa.pl 1560eb7ad6

rzeczywiście będziecie atakowali te polskie interesy w sposób tak cyniczny i tak szeroki" – podsumował.

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Bo oczywiście jest prawdą, że opozycja działa w innym interesie niż Tusk i jego kompania. Ale w tym miejscu prawda się kończy i zaczyna się kłamstwo. Bo trzeba jeszcze ustalić, gdzie tak naprawdę leży polski interes i czy rzeczywiście Donald Tusk jest jego obrońcą.

Wróćmy zatem do sejmowego głosowania nad programem SAFE. W jego trakcie doszło do rzeczy niebywałej – debacie posłów przyglądał się z loży ambasador Niemiec Miguel Berger. Wyglądało to jak zewnętrzny nadzór nad głosowaniem w polskim parlamencie. Skojarzenia z najgorszymi kartami polskiej historii nasuwały się same. To w epoce poprzedzającej rozbiory i upadek Rzeczypospolitej ambasadorowie obcych dworów pilnowali polskiego Sejmu, aby uchwalane przezeń ustawy nie naruszały interesów przyszłych zaborców. W tym – również historycznym kontekście – można więc zadać pytanie, dlaczego ambasador Niemiec, zupełnie niepomny złych skojarzeń z przeszłością, wybrał się do Sejmu, aby ostentacyjnie przyglądać się głosowaniu w sprawie SAFE.

Odpowiedź może być tylko jedna. Niemcom bardzo zależy na tym programie i kredytowaniu polskich zakupów w niemieckich koncernach zbrojeniowych. Dzięki temu dostaną do ręki smycz, na której przez długie lata będą trzymać Polskę i pół Europy. A ich gospodarka dostanie m.in. z naszych portfeli solidny zastrzyk gotówki.

Trudno się zatem dziwić, że w tak ważnej dla Niemiec sprawie ambasador Berger musiał trzymać rękę na pulsie. Co to jednak ma wspólnego z polskim interesem narodowym, na który powołuje się Donald Tusk? I czy rzeczywiście ci, którzy głosowali w Sejmie przeciwko programowi SAFE (a więc wbrew intencjom Tuska i ambasadora Bergera) sprzeniewierzyli się naszej racji stanu? Dla ludzi myślących odpowiedź na te pytania nie będzie chyba zbyt trudna.

ZADOWOLONY AMBASADOR

Pewność siebie ambasadora Bergera jest godna podziwu. Pytanie dziennikarza Wirtualnej Polski o obecność podczas głosowania w Sejmu ani trochę go nie zmieszało. „Wraz z innymi ambasadorami znajdowałem się na trybunie dla gości, aby wesprzeć ministrę Katarzynę Kotulę podczas przedstawiania inicjatywy ustawodawczej o statusie osoby najbliższej. Nie można mówić o nadzorowaniu debaty SAFE. Jednak z zainteresowaniem śledziłem tę dyskusję" – odpowiedział.

A więc – jak można rozumieć – ambasador interesuje się tematyką LGBT+, a że przy okazji dyskutowano o programie SAFE, został w Sejmie na dłużej, aby trochę posłuchać. Kto chce, niech w to wierzy. Inna rzecz, że nawet gdyby chodziło o ustawę o ochronie motyli, to ambasador nie powinien się pojawiać podczas debaty. W Polsce budzi to bardzo złe skojarzenia i każdy akredytowany u nas dyplomata – zwłaszcza niemiecki lub rosyjski – powinien o tym wiedzieć. Skoro mimo to przychodzi do Sejmu podczas dyskusji, widocznie nie zaprząta sobie głowy opinią tubylczej ludności i traktuje ją z buta. Obecny rząd – tak podobno zatroskany o polski interes narodowy – najwyraźniej to akceptuje.

> Udział w programie SAFE jest rodzajem politycznej kotwicy, która zapewni obecnemu reżimowi długoletnie rządy w Polsce. To dlatego Tusk tak zaciekle walczy o przepchnięcie tej inicjatywy

Ambasador Berger może mieć powody do zadowolenia. Bo przecież jego kraj – po kilku potężnych ciosach na własne życzenie, jakimi były uzależnienie energetyczne od Rosji, zielona transformacja i fatalna polityka imigracyjna – jest wreszcie na dobrej drodze do pierwszego od dawna sukcesu.

Program SAFE może dać wreszcie utęsknionego kopa w górę usychającej niemieckiej gospodarce. Środki z pożyczki mają być przeznaczane wyłącznie na zamówienia w europejskich fabrykach broni. Amerykanie, Koreańczycy i wszyscy inni, u których Polska pozyskiwała ostatnio pilne dostawy uzbrojenia, wypadają z gry. „Żaden inny członek NATO nie inwestuje tak wiele w zbrojenia jak Polska" – pisał niedawno „Die Welt" „Jednak broń kupowana jest przede wszystkim w USA i Korei Południowej" – czytamy. No właśnie. Tu tkwi problem Niemiec.

Na szczęście zdaniem „Die Welt" polska polityka zbrojeniowa wkrótce się zmieni. Może się do tego przyczynić to, że Polska otrzyma 44 mld euro z unijnego programu SAFE – brzmi konkluzja. Krótko mówiąc, potężnie zapożyczymy się na warunkach wskazanych przez Unię Europejską, aby kupić niemiecką broń w niemieckich fabrykach.

Niemiecki interes jest tu oczywisty, ale co my z tego mamy? W polskim interesie byłoby samodzielne zaciągnięcie kredytu na podobnych lub lepszych warunkach i zakupy najlepszej, szybko dostępnej broni – tak jak do tej pory. Teraz jednak nasz wybór będzie ograniczony. Co więcej – o tym, co i gdzie kupimy, będzie decydować Unia Europejska (a w praktyce Niemcy). Tak przynajmniej wynika z komunikatu PAP, z którego w ostatni wtorek mogliśmy się dowiedzieć, że „państwa UE ostatecznie zatwierdziły plan inwestycyjny Polski w ramach programu obronnego SAFE". Przypomina to trochę czasy Układu Warszawskiego, kiedy to Moskwa decydowała, ile i jakiej broni powinny kupować państwa satelickie.

Rząd Tuska twierdzi, że zdecydowaną większość środków z pożyczki wydamy w polskich zakładach zbrojeniowych, więc nie ma mowy o wspieraniu niemieckiego przemysłu z naszych pieniędzy. Czyżby? Dlaczego zatem w październiku 2025 r. Rheinmetall podpisał memorandum z Polską Grupą Zbrojeniową? Na mocy tego porozumienia

eprasa.pl 1560eb7ad6



planuje się budowę oraz serwis ciężkich pojazdów wojskowych i mostów czołgowych w poznańskich zakładach HCP oraz WZM. Wiele wskazuje na to, że niemiecki gigant zbrojeniowy chce po prostu przejąć część zamówień z SAFE.

Formalnie produkcja będzie realizowana w Polsce, ale zyski (z opłat licencyjnych, dostaw podzespołów itp.) będą transferowane do Niemiec. Autor wspomnianego artykułu z „Die Welt" narzekał, że Rheinmetall był dotąd nieobecny na „największym i najbardziej istotnym rynku", jakim jest Polska, ale wyrażał nadzieję, że „teraz może się to zmienić". No i się zmienia.

DESKA RATUNKOWA DLA TUSKA

Jednak nie chodzi tu tylko o wsparcie niemieckiej gospodarki, lecz także o nasze bezpieczeństwo i naszą suwerenność. Jak już wspomniano, Polska – podobnie jak inni uczestnicy programu SAFE – będzie mogła kupować tylko europejskie uzbrojenie, co może wydłużyć dostawy, a przy tym nie daje nam gwarancji, że otrzymamy broń najlepszą i najbardziej dopasowaną do naszych potrzeb.

Te ograniczenia nie dotyczą jednak Niemiec, które nie zamierzają przystępować do tak podobno wspaniałego programu SAFE. Berlin – w przeciwieństwie do większości państw Unii – będzie miał zatem wolną rękę w zakupach broni. W praktyce oznacza to, że Niemcy mogą liczyć na szybsze dostawy zagranicznego uzbrojenia, np. amerykańskich samolotów bojowych, bo po wyeliminowaniu unijnych kontrahentów przesuną się w kolejce do przodu. Krótko mówiąc, Berlin ma większą szansę na szybką odbudowę swojej armii, a my – i wiele innych krajów – będziemy na to czekać jeszcze wiele lat. Przy utrzymującym się zagrożeniu ze Wschodu. Rezultatem, do którego dążą tutaj Niemcy, jest powrót do dominującej pozycji w Europie: gospodarczej, militarnej i politycznej. Oczywiście kosztem innych.

Program SAFE to również polityczny kaganiec, bo wiąże się z warunkowością. Przerabialiśmy to już podczas KPO. Wystarczy, że władzę w Polsce przejmie PiS (albo ktokolwiek, kto nie jest akceptowany przez Berlin), a wypłata funduszy i dostawy broni zostaną wstrzymane. Polscy wyborcy będą szantażowani: jeśli nie wybierzecie tych, co trzeba, nie zdołacie obronić się przed Rosją.

To deska ratunkowa dla Donalda Tuska. Nic więc dziwnego, że premier tak zaciekle walczy o wejście do programu SAFE. I jak zapowiada, nie będzie się oglądał na ewentualne weto prezydenta. Co więcej, program SAFE jest kolejnym ważnym krokiem w stronę federalizacji Unii. Wiąże się z nim – oprócz zakupów broni – wspólna polityka obronna, oczywiście pod dyskretnym kierownictwem Niemiec, które, dążąc do monopolu w stosunkach Europy z Ameryką, wzmacniają tym samym swoją pozycję w relacjach transatlantyckich.

> Potężnie zapożyczymy się na warunkach wskazanych przez Unię Europejską, aby kupić niemiecką broń w niemieckich fabrykach. Ambasador Berger może mieć powody do satysfakcji

Przejawem tej strategii jest choćby inicjatywa E6 – mechanizm ściślejszej współpracy sześciu państw Unii (w tym Polski) w dziedzinie przemysłu obronnego i polityki bezpieczeństwa. Chyba tylko ktoś naiwny mógłby uwierzyć, że Polska odegra w tym formacie jakąkolwiek podmiotową rolę. Tusk będzie tam po prostu stukał obcasami, bo to umie najlepiej.

Na temat tego, o co w tym wszystkim naprawdę chodzi, wygadała się na platformie X Danuta Hübner, była europosłanka z PO. „Powstała grupa E6, [...] która aspiruje do odgrywania wiodącej roli w reformach politycznych i gospodarczych w strefie euro i UE. Czy to pierwszy krok Polski w stronę euro?" – zapytała. Owszem, dokładnie taki jest plan.

HIPOKRYCI

Na tym tle nie dziwi opisywany ostatnio na tych łamach szalony antyamerykanizm obecnej ekipy rządowej. Przecież trzeba jakoś uzasadnić rozwód z Waszyngtonem i przejście pod skrzydła Berlina. A przy okazji uderzyć w pisowską opozycję i prezydenta Nawrockiego.

Trudno zapomnieć histerię liberalnego mainstreamu po tym, jak ambasador USA Tom Rose obwieścił, iż Ameryka zrywa kontakty z Włodzimierzem Czarzastym. Trzeba przyznać, że reżimowi udała się ta akcja propagandowa, na co wskazują badania opinii publicznej, która w większości opowiedziała się po stronie postkomunistycznego marszałka Sejmu. Ludzie zinterpretowali wypowiedź ambasadora jako ingerencję w wewnętrzne sprawy Polski, a to – niezależnie od tego, czy z taką ingerencją rzeczywiście mieliśmy do czynienia, czy też nie – ludziom się nie podoba. Co więcej, twierdzono później, że Tom Rose konsultował swoje słowa z politykami PiS i jest to wspólna akcja Amerykanów oraz opozycji zmierzająca do obalenia obecnego rządu.

Aferę, którą rozpętano przy tej okazji, można dziś odczytywać jako próbę odwrócenia uwagi opinii publicznej od działań Tuska wokół programu SAFE służącemu podporządkowaniu Polski interesom niemieckim i utrwaleniu jego władzy na długie lata.

Najbardziej uderzająca i zarazem charakterystyczna była tutaj reakcja liberalnej władzy oraz wspierających ją mediów na obecność niemieckiego ambasadora w Sejmie. Ci sami ludzie, którzy wcześniej krzyczeli o niedopuszczalnym wtrącaniu się Amerykanów w wewnętrzne sprawy Polski (Krzysztof Śmiszek: „Panie ambasadorze, tu jest Polska!") i opowiadali o niemal utracie suwerenności przez nasz kraj z tego powodu, nagle nabrali wody w usta. Niemiecki ambasador w Sejmie zupełnie im nie przeszkadzał.

Czy trzeba jeszcze kogoś przekonywać, że ich intencje są nieczyste? I że nie chodzi tu ani o bezpieczeństwo, ani o suwerenność, tylko po prostu o zabetonowanie obecnej władzy?

eprasa.pl 1560eb7ad6



Ryzyko prezydenta

Dość nieoczekiwanie wielki europejski kredyt na finansowanie polskiej armii wywołał ostry spór wokół samego sedna naszej polityki bezpieczeństwa. W tym sporze jedna rzecz to oszałamiająca retoryka, którą posługują się obie strony, druga zaś – to niełatwe i bynajmniej nieoczywiste wybory, których Polska wcześniej czy później i tak musiałaby dokonać



JAN ROKITA

Prawicowa opozycja nie bez przyczyny naraziła się na zarzuty, iż dopiero teraz – *deus ex machina* – odkryła wszystkie przeraźliwe niebezpieczeństwa, na jakie miałoby narazić Polskę podjęcie decyzji o wzięciu europejskiego kredytu. Mateuszowi Morawieckiemu wytknął to w debacie dziennikarz Kanału Zero, przypominając, iż w 2025 r., gdy Unia Europejska decydowała o programie pożyczkowym SAFE, a następnie Komisja Europejska akceptowała złożone przez Polskę wnioski kredytowe na kwotę przeszło 43 mld euro, liderzy PiS wyrażali tylko obawę, czy niezbyt udolny menedżersko rząd Tuska potrafi dobrze wykorzystać tak niezwykłą szansę, jaka nadarzyła się polskiej armii i przemysłowi zbrojeniowemu.

Morawiecki tłumaczył, iż w tamtym czasie jeszcze „nie były znane szczegóły" programu. Ale nie całkiem tak było, gdyż unijne rozporządzenie precyzujące reguły gry w ramach SAFE zostało przyjęte przez Radę już 27 maja 2025 r. Oczywiście z polskim entuzjastycznym poparciem.

Od tamtego czasu było wiadomo, że tylko jedną trzecią tego kredytu można wydać poza Europą (co ważne, włączając do Europy także Ukrainę), że do zakupów trzeba szukać europejskich partnerów (Polska jest od tego zwolniona przez rok), no i, co oczywiste, że tak jak w przypadku wszelkich pieniędzy dystrybuowanych z Brukseli pewnego dnia – *deus ex machina* – możliwa jest nagła blokada dostępu do środków pod pretekstem „praworządności". Wszystko to było przyjmowane do wiadomości zarówno przez rząd, jak i przez PiS. Tylko po Konfederacji, tradycyjnie niechętnej wszelkim europejskim programom finansowym, można się było spodziewać pewnego oporu.

POLITYKA CHOWANIA GŁOWY W PIASEK

Po upływie paru miesięcy opinie się jednak spolaryzowały. Rząd Tuska jest

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1560eb7ad6



przynajmniej konsekwentny, a broniąc unijnej pożyczki, posługuje się na użytek opinii publicznej głównie dwoma argumentami.

Pierwszy, dość zdroworozsądkowy – pożyczka o tej skali, dorównująca rocznym wydatkom budżetowym Polski na zbrojenia, jest najszybszym, najtańszym i najoczywistszym sposobem przyspieszenia programów wyposażenia Wojska Polskiego w nowoczesną broń. Nowoczesną, czyli taką, której istotną rolę na polu bitwy w pełni ujawnił dopiero przebieg wojny na Ukrainie.

Drugi kluczowy argument rządu, może nie do końca wypowiadany wprost, wynika z ocen o charakterze politycznym: Tusk niejeden raz prognozował rychłą możliwość jakichś rosyjskich operacji zbrojnych skierowanych przeciw krajom NATO i nie krył zbytnio, iż podobnie jak Macron czy Merz nie dowierza Ameryce, czy w takich okolicznościach byłaby gotowa przystąpić do wojny w Europie Środkowo-Wschodniej. A skoro wojna może być blisko, a Europa może być zdana na samą siebie, to wszelkie pomysły na szybkie i wspólne dozbrojenie europejskich sojuszników, zwłaszcza wysuniętej na wschód Polski, są wedle tej logiki koniecznością bezapelacyjną i niepodlegającą dyskusji.

Postawa polskiej prawicy, która od wyrażania wątpliwości wobec kredytu SAFE przeszła teraz do frontalnej walki przeciw temu projektowi, jest więc (jak to wyraził wiceszef MON Tomczyk) „czymś na granicy zdrady narodowej". A że sam Tusk od dawna najbardziej lubi „rozmawiać" z opozycją w takim właśnie stylu, tym razem dostał wiatr w żagle, mogąc z patosem obwieścić, iż jego polityczni konkurenci „to już nie opozycja, ale wrogowie polskiej niepodległości".

Na zdrowy rozum trudno wprawdzie wyjaśnić, dlaczego obóz Jarosława Kaczyńskiego wraz z młodą Konfederacją miałby dążyć do rozbrojenia Polski i utraty niepodległości, zważywszy na to, iż polska strategia szybkich i forsownych zbrojeń stanowi przecież dzieło pisowskiej ekipy Morawieckiego. Ale SokzBuraka, rewanżystowscy prawnicy i ci wszyscy od ośmiu gwiazdek mogą raz jeszcze dostać od premiera chwilę emocjonalnej satysfakcji.

Tu trzeba koniecznie zwrócić uwagę na jeszcze jedną istotną przesłankę leżącą u podstaw rządowej logiki, choć ani Tusk nie powie tego otwarcie, ani Kaczyński nie podejmie polemiki na tym polu. Biorąc 43 mld euro kredytu zbrojeniowego, premier próbuje dać nam złudną – w moim przekonaniu – nadzieję, że wysiłek obronny kraju może zostać podjęty na koszt zagranicy i przyszłych pokoleń bez poświęceń, wyrzeczeń czy cięć w wydatkach budżetowych. Wojsko ma dostać broń i amunicję, a polskie fabryki zbrojeniowe, zaniedbane przez lata, mają teraz zacząć hulać tylko dzięki temu, że prezydent Nawrocki w końcu zdecyduje się podpisać jakąś ustawę. Jest w tym coś z myślenia magicznego albo niemądra wiara w przysłowiowe „obiady za darmo", które naprawdę się nie zdarzają.

Zarówno Tusk, jak i Kaczyński prowadzą tu strusią politykę chowania głowy w piasek, udając, iż nie ma związku pomiędzy koniecznością zbrojeń a poziomem życia czy rozbudowanym systemem socjalnym. Nie różnią się w tym zresztą od wielu liderów europejskich, choć zdarzają się wśród nich tacy jak kanclerz Merz, mający odwagę wprost mówić Niemcom, że muszą pracować więcej i dłużej, aby kraj mógł podołać jednocześnie konieczności postępu cyfrowego, wymogom ekologii i forsownym zbrojeniom. Niestety u nas związek pomiędzy wysiłkiem obronnym a świadczeniami socjalnymi jest tematem tabu. Najwyraźniej politycy ciągle liczą na to, że Polskę da się obronić na zagraniczny kredyt.

„PRAWORZĄDNOŚCIOWY" PRETEKST

Opozycyjna prawica nie wydaje się kwestionować tego niewypowiadanego założenia, tyle tylko, że ostatnio ten konkretny kredyt zaczął budzić jej radykalny sprzeciw. Liderzy PiS, którzy obudzili się ze swoimi zarzutami dopiero teraz, gdy w Sejmie pojawiła się rządowa ustawa sankcjonująca pożyczkę, podnoszą przeciw jej przyjęciu trzy kluczowe argumenty. Pierwszy dotyczy ograniczenia swobody wyboru tego, z kim, gdzie i na jakich warunkach dokonywać zakupów zbrojeniowych. Gen. Wroński, niegdyś dowódca oddziałów szturmowych w Iraku, boi się, iż brak przetargów sprawi, że pieniądze będzie się wydawać bez sensu, o co przecież w wojsku nietrudno. Ta obawa jest słuszna i dlatego potrzeba niezwykle uważnej kontroli wszystkiego, co MON będzie czynić w tej kwestii.

To jednak nie znaczy, że przewidziany unijnym rozporządzeniem limit jednej trzeciej wydatków, jakich można dokonać poza Europą, uczyni z całej pożyczki „niemiecki mechanizm zniewolenia Polski" (jak mówią w TV Republika) albo będzie wpychał Polskę „pod niemiecki but" (jak w ferworze polemik twierdzi sam prezes PiS). Przepraszam uprzejmie, ale są to niedorzeczności. Nic ani nikt w programie SAFE nie zmusza ani nawet nie sugeruje Polsce, aby zakupów zbrojeniowych dokonywała w Niemczech albo z Niemcami. Europejski przemysł zbrojeniowy nie kończy się przecież na podnoszącym się powoli z upadku Rheinmetallu – jest potężny włoski Leonardo, szwedzki Saab (który pozostaje partnerem Polski przy marynarce wojennej), istnieją w końcu wielkie koncerny francuskie Thales czy Dassault. I są jeszcze włączeni do programu SAFE producenci ukraińscy, perfekcyjni choćby, gdy idzie o bezzałogowce. Inna sprawa, czy aby w naszym narodowym interesie nie leży – z powodów czysto geograficznych – zbrojenie się wspólnie z zachodnim sąsiadem w takich dziedzinach, jak obrona przeciwlotnicza. Ale to zawsze pozostaje do uznania i wyboru polskiego. Najzupełniej suwerennego.

Najpoważniejsze ryzyko związane z przyjęciem SAFE wynika z niebezpieczeństwa nagłej blokady pieniędzy ze strony Brukseli, i to w środku trwania programu, gdy trzeba będzie płacić należności za dokonane zakupy. A to może oznaczać dla polskich finansów poważny kryzys. Niestety nie ma ra-



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!
prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ DODATKOWO?
Dostęp do e-prenumeraty SIECI
- teraz możesz czytać wygodnie
na telefonie lub komputerze

eprasa.pl 1560eb7ad6

cji pełnomocniczka rządu Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, sugerująca, iż obawy w tej materii biorą się z „dezinformacji". Fakty mówią coś całkiem innego. Dopiero co Komisja Europejska zablokowała 16 mld euro, które wcześniej miały być udziałem Węgier w SAFE, pod sławetnym pretekstem „praworządnościowym". Ale wystarczyło posłuchać debaty w Parlamencie Europejskim z 20 stycznia albo poczytać świetnie poinformowany dziennik „Politico", aby się dowiedzieć, że Budapeszt zostaje pozbawiony dostępu do SAFE dlatego, że Brukseli się nie podoba jego polityka. Nieważne, dlaczego się nie podoba – dla nas istotne jest tylko to, że takie „niepodobanie się" w każdej chwili może się stać powodem blokady wypłat dla Polski, jeśli w 2027 r. prawica odzyska u nas władzę.

WYBÓR NAWROCKIEGO

Właśnie ta kwestia sprawia, że każda decyzja prezydenta Nawrockiego w sprawie SAFE będzie obarczona dużym ryzykiem. W Brukseli mamy partnera, który – niestety – jest gotów grać także obroną i bezpieczeństwem, jeśli postanowi doprowadzić do upadku prawicowy rząd w którymś z krajów członkowskich. Jeśli Nawrocki podpisze ustawę pożyczkową, musi się liczyć z tym, że za dwa lata, jeśli Bruksela wywoła w Polsce sztuczny kryzys wokół płatności z SAFE, zostanie zapytany: „Po co to podpisywałeś? A nie mówiliśmy"? Tyle tylko, że ryzyko niepodpisania ustawy pożyczkowej wydaje się poważniejsze. Najpierw dlatego, iż nie ma żadnych szans, aby w krótkim czasie Polska wyemitowała i sprzedała po godziwych rentownościach własne obligacje zbrojeniowe na porównywalne kwoty. A to znaczy, że bez tej pożyczki polskie zbrojenia z absolutną pewnością pójdą słabiej i wolniej, inwestycje zaś w polski przemysł zbrojeniowy (o których się mówi, ale bez skutku od paru lat, choćby w kwestii produkcji amunicji) będą istotnie mniejsze, niźli mogłyby być. Także w tym przypadku Nawrocki za jakiś czas zostanie zatem zapytany: „W imię czego utrudniłeś życie polskiej zbrojeniówce?".

Jest jednak jeszcze jeden aspekt sprawy, na który warto zwrócić uwagę. 12 lutego 2026 r. w *nomen omen* krzyżackim zamku Alden Biesen (który niegdyś



Fot. Shutterstock

> Najpoważniejsze ryzyko związane z przyjęciem SAFE wynika z niebezpieczeństwa nagłej blokady pieniędzy ze strony Brukseli, i to w środku trwania programu, gdy trzeba będzie płacić należności za dokonane zakupy

podlegał wielkiemu mistrzowi w Malborku, a potem w Królewcu) przywódcy krajów Unii rozmawiali za zamkniętymi drzwiami o posunięciach, jakie miałyby popchnąć Europę w stronę większej konkurencyjności. Jeden z nieformalnych efektów tych rozmów, o którym dowiedzieli się tylko zaufani dziennikarze, był ponoć taki, iż Paryż, Rzym i Berlin uzgodniły pomiędzy sobą gotowość „odłączenia się od reszty i pracy w małych grupach" w Europie w trzech kluczowych materiach: inwestycji, energetyki i obronności. Chodzi o tzw. wzmocnioną współpracę albo (jak zwykło się mawiać) „Europę wielu prędkości", tyle tylko, że tym razem stawką miałyby również być obronność i przemysł zbrojeniowy. Intencja jest jasna: pod presją Trumpa Europa chce się wspólnie zbroić, nie zważając na tych, którzy zamierzają to robić na własną rękę.

Dystrybuowana obecnie pula długoterminowych pożyczek zbrojeniowych, czyli 150 mld euro, to dopiero początek unijnego planu „Uzbroić Europę na nowo", wartego 800 mld euro, zaplanowanych do wydania do 2030 r. Całkiem możliwe, iż odrzucenie przez Polskę wspólnych zakupów w ramach SAFE stanie się pierwszym krokiem do tworzenia się obok naszego kraju faktycznej europejskiej wspólnoty obronnej ze wspólnymi zakupami i inwestycjami militarnymi, a kolejne programy finansowego wspierania przygotowań wojennych będą potem konsumowane przez ową wspólnotę.

Długofalowo byłby fatalnie, gdybyśmy zostali zdani na łaskę i niełaskę współpracy obronnej poza Unią: czyli *de facto* z Ameryką i Ukrainą, doliczając do tego zakupy wojskowe w Korei. Owszem, realnie to Waszyngton oraz Kijów i tak są kluczowymi polskimi sojusznikami na wypadek wojny z Moskwą. Tyle tylko, że – z odmiennych powodów – te sojusze z pewnością nie przyniosą ani Wojsku Polskiemu, ani polskiemu przemysłowi obronnemu koniecznego mu teraz wsparcia finansowego.

Jestem przekonany, że przed ostateczną decyzją w sprawie programu SAFE prezydent Nawrocki będzie dokładnie rozważać także i to długofalowe ryzyko.

Autopromocja

eprasa.pl 1560eb7ad6



Spór o SAFE zamiast poważnej debaty

Program SAFE budzi ogromne kontrowersje. W założeniu ma wesprzeć zdolności obronne państw Unii Europejskiej. Ale pożyczki z niego będziemy spłacać przez 45 lat, choć w Unii słychać też głosy, że należy skrócić ten czas do „jednego pokolenia", czyli 25 lat. Czy postawienie na „opcję europejską" nie podkopie naszego sojuszu z Ameryką?



MAREK BUDZISZ

Florian Seibel, jeden z założycieli niemieckiej firmy Quantum Systems, która specjalizuje się w produkcji dronów przechwytujących, używanych również na froncie ukraińskim, w rozmowie z dziennikarzami „Financial Times" nie krył swego rozdrażnienia. „Wydamy setki miliardów na sprzęt, który będzie leżał na cmentarzach, a moje dzieci i wnuki nadal będą musiały pracować, żeby spłacić dług wobec banków".

W ten sposób niemiecki przedsiębiorca i konstruktor ocenił plany zakupowe Bundeswehry, które jego zdaniem w zbyt dużym stopniu koncentrują się na pozyskiwaniu tradycyjnych platform bojowych, określanych przez specjalistów mianem „legacy", czyli „odziedziczonych" po poprzednikach i niekoniecznie przystosowanych do szybko zmieniających się realiów współczesnego pola walki, a za mało uwagi poświęcają temu, jak i przy użyciu jakiego sprzętu walczy się dziś na Ukrainie.

Jak widać, Niemcy, mimo że nie uczestniczą w programie SAFE UE, bo jest on dla nich zbyt drogi, toczą równie intensywne jak w Polsce debaty na temat tego, w jaki sposób wydawać kredyty zaciągnięte na zbrojenia. Są one przecież odłożonym w czasie opodatkowaniem i dlatego znaczenie ma kilka elementów. To, czy pozyskuje się sprzęt, który będzie potrzebny, jakie będą koszty tych kredy-



eprasa.pl/1560eb7ad6

tów i czy „coś po nich pozostanie", a więc czy uda się przy okazji rozbudować własny sektor zbrojeniowy.

POLSKIE OBAWY

W Polsce dyskusja na temat SAFE stoi niestety na głowie, co jest wynikiem niskiego poziomu wzajemnego zaufania w naszym silnie spolaryzowanym państwie. Program ten nie jest rzecz jasna bez wad. Precyzyjnie punktują je w swej analizie eksperci brytyjskiego think tanku strategicznego IISS. Ich zastrzeżenia wzbudziły jednak elementy inne niż w Polsce. U nas podnosi się kwestię warunkowości, czyli zagrożenie, iż na podstawie arbitralnych, a może wyssanych z palca zarzutów na temat braku w naszym kraju praworządności, Komisja Europejska może w przyszłości zakwestionować kolejne wypłaty, zwłaszcza że płatności mają przychodzić stopniowo, w corocznych transzach, do 2030 r.

Senator Skurkiewicz z PiS zapytał retorycznie, dlaczego nie wykorzystać możliwości, jakie mają pozabudżetowe, prowadzone przez BGK fundusze – Wsparcia Sił Zbrojnych oraz Bezpieczeństwa i Obronności. Zdaniem opozycyjnego senatora należałoby wykorzystać te dwa fundusze własne, które mogą emitować na światowych rynkach papiery dłużne, a nawet jeśli *per saldo* zapłacimy drożej, to i tak będziemy mieć swobodę decyzji o tym, co i u kogo kupujemy. Zaocznie odpowiedziała mu Jadwiga Emilewicz, była wicepremier w rządzie Mateusza Morawieckiego, zwracając uwagę, że przygotowanie emisji – nawet w szybko pracującym BGK – potrwa co najmniej kilka miesięcy, a przy bardziej skomplikowanych operacjach – może nawet rok. Ponadto nie ma gwarancji, że nasze obligacje znajdą nabywców, a jeśli nawet, to jakie będziemy musieli ponosić koszty? Skrupulatne wyliczanie „zaoszczędzonych" na obsłudze długu milionów złotych też nie ma sensu. W pierwszym roku pożyczka z UE rzeczywiście jest tańsza, ale czy w kolejnych będzie podobnie? Pamiętajmy też o tym, że kredyty SAFE mamy spłacać przez 45 lat, choć w Unii słychać też głosy, że należy skrócić ten czas do „jednego pokolenia", czyli 25 lat.

Można sobie wyobrazić sytuację, że obecny rząd zaczyna programy zbrojeniowe, finansując je pożyczkami z funduszu SAFE, a kolejny – jeśli zmieni się opcja – nie weźmie następnych transz, projekty zaś dokończy, pozyskując środki na międzynarodowych rynkach finansowych. To pokazuje, że znaczenie ważniejsze od tego, jak sfinansujemy nasze zbrojenia, jest kwestia stawiana przez Floriana Seibla z Quantum Systems, mianowicie czy programy, które w ten sposób uruchomimy, są rzeczywiście tymi, na które powinniśmy położyć nacisk. Tyle że nie jesteśmy w stanie tego zbadać, bo ich pełna lista – w przeciwieństwie np. do Rumunii – nie została u nas ujawniona.

JAK TO POLICZYĆ?

Tim Lawrenson i Ester Sabatino, eksperci think tanku IISS, którzy napisali raport oceniający program SAFE, podnoszą wobec niego zarzuty zupełnie inne niż w Polsce. Ich zdaniem dyskusyjny jest pułap, aby maksymalnie 35 proc. podzespołów i części w sprzęcie pozyskiwanym w ramach programu pochodziło z krajów spoza UE i państw automatycznie doń dopuszczonych (m.in. Norwegii i Ukrainy). Ich zdaniem jeszcze większe wątpliwości budzi to, że „w przypadku produktów objętych drugą kategorią rozporządzenia uprawnienia projektowe również muszą się znajdować w UE lub zostać do niej przeniesione". Druga grupa to m.in. systemy obrony przestrzeni powietrznej i antyrakietowe (państwa europejskie mają 5 proc. potrzebnych im systemów), broń elektroniczna i sztuczna inteligencja używana w celach wojskowych, systemy antydronowe, większe systemy bezzałogowe (zarówno podmorskie, jak i morskie), systemy kosmiczne oraz wszystko, co kryje się pod wojskowym kryptonimem C4ISTAR, czyli komunikacja, kontrola, łączność, namierzanie celów i inne.

Czy wyobrażacie sobie, że np. amerykański producent rakiet do systemów Patriot przeniesie na nasz kontynent „uprawnienia projektowe", czyli dokona transferu know-how? I to w sytuacji, w której amerykańskie siły zbrojne chcą czterokrotnie zwiększyć ich zapasy magazynowe (z ok 3,5 do ponad 12 tys. sztuk), a roczna produkcja w rekordowym ubiegłym roku wyniosła 620 sztuk? Wydaje się to więcej niż wątpliwe, ten przykład zaś – a można podać dziesiątki innych – powinien dać nam do myślenia, czy SAFE nie narzuca nam takich ograniczeń, po spełnieniu których nie pozyskamy najlepszego dostępnego sprzętu, a tylko taki, „który będzie wolno kupić".

Być może Niemcy, którzy chcą pozyskać z Izraela rakiety dalekiego zasięgu Arrow 3, a w USA zarówno Patrioty, jak i systemy AIM-120D-3 klasy powietrze-powietrze, nie są zainteresowani finansowaniem z SAFE również z tego powodu.

Kwestia limitu 35 proc. także budzi wątpliwości. Choćby ze względu na Kanadę. To jedyne do tej pory państwo, które podpisało umowę z Komisją Europejską gwarantującą jej uczestnictwo w programie nisko oprocentowanych pożyczek na produkcję i zakup broni. Chodzi o 150 mld euro. Ale umowę podpisano dzień po zakończeniu przyjmowania pierwszej partii wniosków w ramach programu SAFE. A to oznacza, że kanadyjscy producenci w ramach pierwszego naboru, który wyczerpał całą pulę 150 mld euro, nie zostaną wyłączeni z narzuconych przez KE limitów. . W związku z tym albo zostanie uruchomiony kolejny program (o czym już dyskutuje się w Brukseli), albo alokacja środków, którą tak się podniecamy, zostanie zmieniona. Na razie ma ona charakter wstępny, co też powinno nastrajać nas nieco mniej entuzjastycznie. Inne państwa, nawet znacząco zintegrowane z europejskim rynkiem broni, jeszcze nie zakończyły negocjacji.

Największy na naszym kontynencie producent rakiet, koncern MBDA, buduje silniki do swych systemów w Wielkiej Brytanii. Oznacza to, że jeśli trudne negocjacje Londynu z Brukselą nie zakończą się sukcesem – a prasa na Wyspach pisze, że Komisja domaga się specjalnej opłaty w wysokości 800 mln euro i wielu ustępstw na innych polach – to udział komponentów z tego kraju będzie musiał się zmieścić w wyznaczonym limicie.

Dlaczego jest to takie ważne? Użyjmy przykładu, który znamy – naszej propozycji budowy systemu antydronowego SAN. Jednym z podmiotów uczestniczących w tym konsorcjum jest norweski Kongsberg, który informuje, że współpracuje z 2 tys. poddostawców ze wszystkich technologicznie rozwiniętych krajów świata. To nic specjalnego w realiach globalnej gospodarki. Tak rozbudowane łańcuchy zaopatrzenia i kooperacji utrzymują wszystkie większe firmy z sektora zbrojeniowego, w tym polskie. Problem może

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1560eb7ad6



powstać, jeśli będziemy musieli wtłoczyć je w limit 35 proc., bo wówczas może się okazać, iż trzeba zmieniać dostawców. A co, jeśli nie będzie to możliwe? Na dodatek mamy do czynienia z napiętymi harmonogramami, bo SAFE ma być rozliczone do 2030 r., a program ten zakłada budowę fabryk w niektórych przypadkach nawet „od zera". Każdy, kto ma pojęcie o skomplikowanych zadaniach inwestycyjnych, wie, że jest to założenie nie tylko ambitne, lecz także narażone na duże ryzyko.

Trzeba wreszcie pamiętać, że w trybie przyjętym w UE, czyli konsensualnym, państwa członkowskie – nawet te, które nie mają zamiaru korzystać z finansowania SAFE – muszą wyrazić zgodę na rozpoczęcie negocjacji z innymi krajami, spoza listy dopuszczonych. Dotyczy to choćby Turcji, która ma nie tylko rozwinięty przemysł zbrojeniowy – w tym nowych technologii – ale jako członek NATO powinna być brana pod uwagę. Ankara rozpocznie negocjacje, jeśli zgodzą się na to Grecja i Cypr, na co na razie się nie zanosi.

Wreszcie kwestia ukrytych kosztów. To, że być może nie będziemy mogli kupować najlepszych w swojej klasie rozwiązań albo zostaniemy zmuszeni do dłuższego czekania, jest oczywistym kosztem uczestnictwa w SAFE, choć trudno go wycenić. Ale w tym przypadku mamy do czynienia również z innymi, już bardziej wymiernymi obciążeniami. Autorzy raportu IISS twierdzą: „Ponieważ Komisja nie jest agencją zamówień obronnych, państwa członkowskie są odpowiedzialne za zapewnienie, że zamówienia udzielane w ramach pożyczek SAFE są zgodne z jej warunkami". Oznacza to, że wszystkie koszty związane z badaniem, czy beneficjent wywiązał się z warunków umowy – w tym żmudne zliczanie, czy nie przekroczono 35 proc. limitu – będzie ponoszone przez państwo otrzymujące kredyt. Dzisiaj te koszty trudno oszacować, bo nie jest znany stopień dociekliwości rozliczającej projekty agendy europejskiej, ale trudno poważnie argumentować, iż ich nie będzie. A w naszej dyskusji na temat SAFE nie mówi się nic na ten temat. Podobnie jak nie szuka się odpowiedzi na pytanie, czy więcej biurokracji, regulacji oraz ograniczeń jest rzeczywiście tym, czego najbardziej potrzebuje nasz sektor zbrojeniowy, w tym nadal niewielka jego prywatna część.

Na Ukrainie, a także w USA myśli się raczej o deregulacji, fuzji cywilno-wojskowej, reformie systemu pozyskiwania broni i uzbrojenia. Chodzi o to, by przeprowadzać długotrwałe procesy szybciej, uruchamiać konkurencję, wprowadzać do tej hermetycznej branży nowych graczy. SAFE idzie w zupełnie inną stronę, mnożąc bariery, rygory i ograniczenia.

AMERYKAŃSKI SOJUSZNIK

Trzeba wreszcie podnieść argumenty o charakterze geostrategicznym. Może nam się to nie podobać, ale w ramach podejścia transakcyjnego administracja Donalda Trumpa oczekuje, iż Europejczycy będą się zaopatrywać w broń w Stanach Zjednoczonych. Ci, którzy dostaną wolną rękę w tej kwestii, jak choćby Niemcy, będą chcieli to zapewne wykorzystać, aby poprawić swoje relacje z USA. Nie chodzi w tym przypadku o dziecinne rozumowanie, wedle którego wielkie zakupy broni w Ameryce „gwarantują" nam pomoc sojuszniczą w przypadku zagrożenia. Nie zmienia to jednak faktu, że to, gdzie kierujemy nasze zamówienia, ma znaczenie głównie natury politycznej.

W domenie lądowej Amerykanie w Europie Środkowej poszukują właśnie „modelowego sojusznika". Mówił o tym Elbridge Colby, osoba numer trzy w Pentagonie i główny strateg tej administracji, w czasie niedawnego spotkania z NATO-wskimi ministrami obrony w Brukseli. Podobne deklaracje składał Marco Rubio w Bratysławie. Warto przytoczyć wypowiedź szefa Departamentu Stanu, który na konferencji prasowej z premierem Fico deklarował, że „będziemy pokazywać w nadchodzących tygodniach, miesiącach i latach, że pod rządami prezydenta Trumpa ta administracja uczyni nie tylko Słowację, lecz także Europę Środkową kluczowym elementem naszego zaangażowania na kontynencie i w świecie". Dalej Rubio mówił o „konkretnych działaniach", choć nie precyzował, co planują Amerykanie. W Bratysławie rozmawiał o budowie na Słowacji nowego bloku elektrowni jądrowej oraz dostawach sprzętu wojskowego, w tym amerykańskich myśliwców.

Te zapowiedzi Rubio mogą być jedynie ładnie brzmiącymi deklaracjami, ale może amerykańska administracja przygotowuje również pakiet rozwiązań finansowych. Jeśli tak, to nie tylko powinniśmy się ekscytować tym, ile „zarobimy" na SAFE, lecz także zastanawiać się, czy nie stracimy o wiele więcej, jeśli zbyt mocno postawimy na umowną „opcję europejską". Ostatnie decyzje NATO, w świetle których dowództwa operacyjne w Europie mają przejąć wojskowi z naszego kontynentu – Włosi w Neapolu, Brytyjczycy w Norfolk, a Niemcy i Polacy rotacyjnie w Brunssum – wskazują, że Waszyngton przystąpił (o czym mówił Colby w Brukseli) do budowy NATO 3.0 – nowego paktu, który będzie lepiej dostosowany do zmieniającego się pejzażu strategicznego, ale jeszcze nie wybrał, kto w naszej części kontynentu będzie „modelowym partnerem". Niektórzy eksperci, tacy jak choćby Emma Ashford, są zdania, że w domenie lądowej – a to jest główny obszar odpowiedzialności Polski – nowy model polegający na przekazaniu odpowiedzialności za obronę może być skonstruowany już do 2030 r. Zbieżność dat nie jest tu przypadkowa. Co nie mniej ważne, Ashford pisze w swej najnowszej książce, że w ramach transferu obowiązków i odpowiedzialności, na rzecz „modelowego partnera" Waszyngton może zdecydować o przekazaniu mu sprzętu „za darmo", bo to się opłaca bardziej niż transport z powrotem do Ameryki. W polityce Stanów Zjednoczonych to się już zdarzało i może się powtórzyć. Warto spojrzeć na nasze zaangażowanie w SAFE również pod tym kontem.

* * *

Polsce potrzebna jest poważna, merytoryczna debata na ten temat. Utrudnia ją nie tylko brak zaufania w sferze publicznej, przejawem którego jest choćby wzajemne pomawianie się głównych sił politycznych o agenturalność. Równie szkodliwy jest „kult tajności", którym objęty jest niemal cały obszar bezpieczeństwa i obrony państwa. W dojrzałych demokracjach dyskutuje się o celowości zakupów zbrojeniowych, używając argumentów merytorycznych. U nas jest to trudne, bo wiedza o tym, co kupujemy, w jakiej konfiguracji i jakie są podstawowe warunki kontraktów, pozostaje tajna. Wolimy się za to obrzucać pomówieniami i dyskutować na poziomie „przekazów dnia". Nie wygląda to poważnie.

Reklama | 01/0126/F/ZAL

eprasa.pl 1560eb7ad6

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.



Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym



Po tygodniach partyjnych swarów PiS wróciło do strategii, w której przeciwnikiem jest Donald Tusk, jego rząd i koalicja 13 grudnia, a nie politycy własnej formacji

Reset Prawa i Sprawiedliwości



STANISŁAW JANECKI

To Donald Tusk najskuteczniej wycisza wewnętrzne spory w Prawie i Sprawiedliwości i rozwiązuje problemy tej partii. Np. takim wpisem na platformie X: „Szczyt bezczelności! Organizować w Stalowej Woli partyjną konwencję i równocześnie blokować wielkie pieniądze dla Huty z programu SAFE – potrafi tylko PiS".

W ten sposób Tusk nie tylko się podłożył, lecz także zwrócił uwagę akurat na mocne strony PiS. Bo przecież Stalowa Wola to twierdza tej partii, a wybierany w pierwszej turze Lucjusz Nadbereżny z Prawa i Sprawiedliwości rządzi miastem od 2014 r. I to w 2012 r., gdy Tusk był premierem, doszło do wyprzedaży perły w koronie, którą była część zakładów zbrojeniowych Huta Stalowa Wola.

Wyczyny Tuska w Stalowej Woli opisał były premier Mateusz Morawiecki: „Szczytem bezczelności jest powoływanie się na Stalową Wolę przez kogoś, kto nadzorował wpuszczenie do strategicznej fabryki Chińczyków i za którego rządów Huta Stalowa Wola przez brak zamówień stanęła na skraju upadłości. To »za Tuska« ludzie w HSW pracowali na 4/5 etatu, a były momenty, że jednego dnia pracę traciło 1000 osób. Wszystko zmieniło się w 2015 r., kiedy PiS wzięło odpowiedzialność za Polskę i uratowało HSW, stawiając na ten zakład. Przez 8 lat ponad 16 mld zł w zamówieniach: Krab, Rak i Borsuk oraz wiele innych programów. Do tego decyzja o dokapitalizowaniu HSW kwotą 800 mln zł, dzięki czemu doszło do odzyskania od chińskiego podmiotu sprywatyzowanej przez PO części zakładu – to pozwoliło zwiększyć potencjał produkcji, zbudować nową halę i park przemysłowy". Morawiecki ma rację, gdy twierdzi, że „Stalowa Wola jest najlepszym miejscem, aby mówić o sprawczości oraz wiarygodności Prawa i Sprawiedliwości w budowaniu polskich, a nie niemieckich zakładów zbrojeniowych".

Te „niemieckie" to odwołanie się do instrumentu SAFE, który oznacza wprawdzie wielkie pieniądze, ale bardzo uzależniające i obwarowane warunkami. Ten instrument ma zachęcić – a właściwie zmusić – Polskę do kupowania uzbrojenia w Niemczech za kredyt, który aż do 2081 r. będą spłacać jeszcze wnuki i prawnuki tych, którzy teraz są w sile wieku. A Tusk tylko napędza Prawu i Sprawiedliwości ludzi ciekawych, jakie plany na rządzenie ujawni ta partia właśnie w Stalowej Woli. Bo plany Koalicji Obywatelskiej dotyczą tylko tego, żeby doczołgać się do wyborów, mamiąc Polaków manną z nieba wartą 190 mld zł (w tym 20 mld zł miałoby trafić do Huty Stalowa Wola), która ani nie jest manną, ani z nieba. Bo jest pożyczką mającą wszelkie cechy haraczu. Nic tak pozytywnie nie odróżnia i nie pokazuje PiS jak to, gdy Tusk coś tej partii wypomina, mając ręce po łokcie upaprane niespełnionymi obietnicami, które okazały się wręcz ordynarnym oszustwem. Dlatego Jarosław Kaczyński chyba w duchu dziękuje Tuskowi, że skutecznie odwrócił uwagę od kłopotów jego partii, a przy okazji znowu naobiecywał czegoś, czego nie zrealizuje.

POMOCNA DŁOŃ TUSKA

Skoro premier Tusk przedstawił instrument SAFE jako coś, co nie tylko uczyni

Fot. pis/x.com

eprasa.pl 1560eb7ad6

z Polski militarną potęgę, lecz wręcz zbawi nasz kraj, sam się prosił o osadzenie tego w realiach. I doczekał się. „Proponowana nam jest Polska pod niemieckim butem. My ten niemiecki but odrzucamy" – stwierdził Jarosław Kaczyński. Uznał, że prezydent Karol Nawrocki powinien zawetować ustawę umożliwiającą obsługę środków z instrumentu SAFE, „ale to oczywiście decyzja prezydenta, a nie moja".

I wskazał na bardzo istotną przeszkodę dla akceptacji instrumentu SAFE, czyli warunkowość. Komisja Europejska zastrzegła sobie prawo nie tylko do kontroli wydawania środków z pożyczki, lecz także wiązania tych wydatków z praworządnością czy każdą fantazją, jaką wymyśli. Dlatego prezes PiS wyjaśnił, że „to przecież w gruncie rzeczy sprowadza się do tego: jak rządzą ci, których my chcemy, czyli Berlin w istocie chce, to tak, a jak rządzą inni, to nie". W związku z tym „jest rzeczą absolutnie nie do przyjęcia, że istnieje mechanizm, który stworzono po to, żeby przede wszystkim odepchnąć nas od Stanów Zjednoczonych, od tych możliwości bardzo dużych koreańskich, co byłoby dla nas bardzo szkodliwe".

W PiS uznano, że partia musi się odnieść do instrumentu SAFE, gdyż nie tylko są powody, by twierdzić, że to pułapka, lecz także będzie to oś kampanii wyborczej KO jesienią 2027 r. A chodzi o to, żeby przekonać Polaków, iż to nie Prawo i Sprawiedliwość działa przeciw suwerenności Polski oraz bezpieczeństwu jej mieszkańców, lecz ci, którzy chcą „wrobić" w spłacanie pożyczki jeszcze wnuków i prawnuków, godząc się przy tym na ograniczenia w zakupie uzbrojenia (tylko z krajów UE, EFTA i EOG), które zdecydowanie osłabiają polski potencjał obronny. A wszystko to podczas gdy Niemcy nie chcą żadnych ograniczeń dla siebie, rezygnując z kredytu z instrumentu SAFE.

Tusk wywołał poważną publiczną debatę wokół obronności i suwerenności, która uczyniła nieistotnymi wewnętrzne problemy PiS. A Kaczyński postanowił je chirurgicznie przeciąć. „W związku z ostatnimi publicznymi wypowiedziami niektórych członków PiS informuję, iż każdy, kto zabierze w tej szkodliwej dyskusji głos, niezależnie od zasług i partyjnej pozycji, zostanie zawieszony w prawach członka PiS, co będzie miało oczywisty wpływ także na jego polityczną przyszłość" – napisał prezes partii 13 lutego 2026 r. Dodał, że takie zachowania „skrajnie szkodzą Polsce i PiS".

Słowa Jarosława Kaczyńskiego odnosiły się do medialnej i mało eleganckiej kłótni między byłym wicemarszałkiem Sejmu Ryszardem Terleckim a posłem PiS Sebastianem Kaletą. Później w tę polemikę zaangażowało się wielu innych polityków Prawa i Sprawiedliwości, co rządzący przyjęli wręcz z radością, bo to odsuwało uwagę od ich dramatycznych rządów. A prorządowe media, szczególnie „Newsweek", znalazły pretekst do odwracania kota ogonem, czyli wdrukowywania Polakom, że „słabnie pozycja Jarosława Kaczyńskiego na prawicy", a właściwie to sypie się całe PiS.

W PiS uznano, że partia musi się odnieść do instrumentu SAFE, gdyż nie tylko są powody, by twierdzić, że to pułapka, lecz także będzie to oś kampanii wyborczej KO jesienią 2027 r. A chodzi o to, żeby przekonać Polaków, iż to nie Prawo i Sprawiedliwość działa przeciw suwerenności Polski

16 lutego 2026 r. prezes PiS zaapelował do mediów, „które chcą mówić prawdę", czyli nie do „Newsweeka". Napominał, iż padają zarzuty dziennikarzy, których osobiście nawet zna, że Prawo i Sprawiedliwość zajmuje się sobą. „Musicie wziąć pod uwagę, że nasza partia jest w tej chwili aktywna, tylko że o tym jakoś się nie mówi, są pojedyncze wzmianki, ale że trwa wielka akcja, nie ma nic" – mówił Kaczyński. I apelował do telewizji, „która twierdzi, że ogląda ją 10 mln ludzi, w co chętnie wierzę", by pozwoliła się dowiedzieć Polakom, że politycy PiS odwiedzili już prawie wszystkie powiaty, „żeby ludzie wiedzieli, że za chwilę zacznie się objazd wszystkich gmin". Że partia „przygotowuje program, co dwa tygodnie jest konferencja programowa, a pierwsza wersja programu będzie niedługo gotowa, oceniana, recenzowana, że 24 lutego rozpocznie się cykl spotkań z młodzieżą akademicką, że wiosną będą campusy młodzieżowe w poszczególnych województwach, że trwa przygotowanie do decydującej bitwy, bitwy o przyszłość naszego kraju". I oczywiście wolne media mogą się „zajmować incydentami, złymi, niedobrymi", ale „na tle ogólnej aktywności partii są one tylko incydentami".

POWRÓT DO POWAŻNEJ POLITYKI

Powstawaniu nowego programu PiS towarzyszy wyłanianie lidera kampanii parlamentarnej w 2027 r., który jednocześnie miałby stać się kandydatem tego ugrupowania na premiera. Towarzyszą też przymiarki do ewentualnych koalicji – zarówno tych przed wyborami, jaki i tych po elekcji. Na razie mają one charakter bardziej eliminujący.

„Mowy nie ma o żadnych sojuszach z partią Brauna. To partia zupełnie niepoważna, są tam jaszczury, ludzie proputinowscy, prorosyjscy, ludzie, którzy siedzieli w więzieniu z oskarżeniem o szpiegostwo na rzecz Rosji, wielu innych ludzi, których w polskim życiu publicznych nie powinno być. Współpraca z nimi byłaby kompromitująca" – zaznaczył Kaczyński. I wskazał cel swojej partii: „Chodzi o to, by w Polsce powstał rząd niepodległościowy, ale też sprawny, który da sobie radę w tej piekielnie trudnej sytuacji, a do tego są potrzebni ludzie odpowiedzialni, którzy nie sprowadzają życia publicznego do poziomu burleski dla niewymagającej publiczności". Poniekąd burleską były też publiczne spory przedstawicieli różnych frakcji w Prawie i Sprawiedliwości.

Kaczyński postanowił też uciąć spekulacje, kto powinien być premierem, gdy PiS wróci do władzy. Przekazał ważnym politykom w partii, że sam wskaże kandydata i zapewnił, że będzie to równie dobry wybór co poparcie kandydata obywatelskiego Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich.

W lutym 2026 r. nastąpił więc w PiS swego rodzaju reset i powrócono do strategii, w której przeciwnikiem jest Tusk, jego rząd i koalicja 13 grudnia, a nie politycy własnej partii.

eprasa.pl 1560eb7ad6

Zadecyduje odpowiedzialność za państwo

Prawie każdy obszar w państwie wymaga troski i naprawy. Najpoważniejszym ograniczeniem dla nowego rządu będzie fatalna kondycja finansów publicznych. Realizacja jakichkolwiek pomysłów politycznych, reformatorskich czy inwestycyjnych będzie bardzo ograniczona

Z wicemarszałkiem Sejmu Krzysztofem Bosakiem, jednym z liderów Konfederacji, prezesem Ruchu Narodowego, rozmawia Jerzy Szmit

Gratulacje z okazji narodzin czwartego potomka. Czy u Stefana Jerzego i mamy Kariny wszystko dobrze?

Krzysztof Bosak: Bardzo dziękuję, jesteśmy szczęśliwi. Syn jest z nami na świecie już trzeci tydzień. Ma za sobą pierwsze posiedzenie Sejmu. Był przy żonie, która nie opuszcza bloków głosowań – w odróżnieniu od niektórych członków rządów – więc można powiedzieć, że w nich towarzyszył.

Badania pokazują, że coraz więcej młodych Polaków skłania się ku prawej, natomiast Polki idą raczej w lewą stronę sceny politycznej. Jak to wytłumaczyć i czy prawica ma szansę to odmienić?

Przede wszystkim musimy być ostrożni z generalizacjami. Ta różnica nie jest natomiast polskim fenomenem, występuje ona w wielu państwach zachodnich. Zgadzam się z tymi, którzy uważają, że przekaz partii progresywnych czy lewicujących bardziej odwołuje się do emocji czy potrzeb, które są częstsze



Fot. Liudmyla Skwarczyńska

eprasa.pl 1560eb7ad6

u kobiet. Z kolei przekaz prawicowy częściej koreluje ze sposobem myślenia i oczekiwaniami mężczyzn. Musimy zdawać sobie sprawę, że różnice psychologiczne i emocjonalne między płciami muszą być brane pod uwagę także przez polityków prawicowych. Czasem to, co mamy do powiedzenia, jest nie mniej istotne niż sposób, w jaki to mówimy.

Czyli zła komunikacja?

Celowo nie mówię, w jaki sposób to uzasadniamy, bo samo uzasadnienie jest już komunikacją właściwą głównie mężczyznom i bazującą na schemacie racjonalności logicznej. Natomiast komunikowanie i badanie sposobu odbioru jest niestety polem, na którym progresywiści i lewica niekiedy nas wyprzedzili. Musimy odrobić zadania domowe i przekonać także te nieprzekonane kobiety, że nasz program zapewnia lepsze perspektywy także im.

Do niedawna wskazywano, że dzięki większej liczbie kobiet polska polityka miała się stać racjonalniejsza, łagodniejsza, bardziej zbliżona do rzeczywistości. Kobiet przybyło, ale polityka się nie zmieniła.

W polityce powinno być dużo miejsca dla kobiet. Nie jestem natomiast zwolennikiem parytetów. Promując osoby bez względu na płeć, nieprzygotowane do władzy, możemy im zrobić krzywdę. Władza wiąże się z odpowiedzialnością i bardzo dużym stresem. Znam przypadki, gdy uczestnicząc nawet we władzy ustawodawczej, ludzie odchorowali swoją obecność. Tym, którzy są zainteresowani oraz tym, którzy mają do tego zdolności i pasje należy umożliwiać polityczny rozwój niezależnie od płci. Zmiana proporcji płci wśród osób uprawiających politykę nie wpłynie na jej charakter, bo wynika on z materii i reguł samych zjawisk związanych z władzą, a nie cech osób czy profilu osobowości tych, którzy uprawiają politykę.

Przejdźmy od teorii do praktyki. Czy widzi pan możliwość odsunięcia Donalda Tuska do końca tej kadencji?

To mało prawdopodobne. Większość parlamentarną spaja niechęć do PiS, Konfederacji, nie mówiąc już o Grzegorzu Braunie. Najbardziej prawdopodobnym wariantem jest dokończenie kadencji.

Gdyby jednak pojawiła się taka możliwość, to dlaczego należałoby to zrobić?

To bardzo słaby rząd. Na każdym polu albo szkodzi, albo nic nie robi. Ten gabinet w wielu obszarach po prostu szkodzi państwu i szkodzi społeczeństwu.

A od czego zacząłby pan pracę nowego rządu?

Prawie każdy obszar w państwie wymaga troski i naprawy. Najpoważniejszym ograniczeniem dla nowego rządu będzie fatalna kondycja finansów publicznych. Zadłużenie publiczne jest zbliżone do progu konstytucyjnego.

Są eksperci, którzy twierdzą, że próg został przekroczony.

Na każdym kroku zderzamy się z ograniczeniami wynikającymi z bardzo wysokiego deficytu budżetowego. Realizacja jakichkolwiek pomysłów politycznych, reformatorskich czy inwestycyjnych będzie bardzo ograniczona.

Konfederacja ma chyba swoje pomysły na rządzenie?

Bez uchwycenia kontroli nad wydatkami państwa nie da się mówić o planowaniu inwestycji, polityki gospodarczej czy budżetowej. Musimy stanąć w prawdzie i na poważnie przedyskutować ograniczenia budżetowe we wszystkich dziedzinach. Potrzebny jest przegląd regulacji prawnych właściwie we wszystkich obszarach. Zacznijmy od uchylenia przepisów, które nie mają sensu, a są pozostałością po pandemii czy wynikają z niemądrego, rozszerzającego wdrażania prawa unijnego. Zlikwidujmy relikty często sprzed dekad, które pozostały w systemie prawnym i krępują działalność gospodarczą. Mamy rozproszone ponad potrzebę źródła dochodów podatkowych. Mamy rozproszone kompetencje w państwie, mamy administrację, która z jednej strony jest rozległa i rozbudowana, z drugiej – w wielu miejscach głęboko niedofinansowana i w konsekwencji nieprofesjonalna. Proces digitalizacji państwa jest prowadzony wyspowo i bez koordynacji. Mamy chaotycznie prowadzone inwestycje. Gigantyczne środki są kierowane za granicę, a powinny trafiać do polskich przedsiębiorstw i pozwalać polskiej gospodarce rozwijać się. Sektor bezpieczeństwa wymaga przeglądu i odpowiedzialnych reform. W sektorze ochrony zdrowia wydatki w ostatnich latach gwałtownie wzrosły, a jej standardy są jednocześnie obniżane. Służby wywiadowcze i dyplomacja są niedoinwestowane. Wszędzie istnieją problemy.

Konfederacja przypomina Platformie punkty z jej programu, których nie realizuje.

Zacznijmy od tego, że uważamy tę partię za szkodliwą i jałową programowo. W kampanii wyborczej mówili natomiast o kilku rzeczach, które wydają się korzystne dla wyborców. Np. obniżenie kwoty wolnej od podatku. Złożyliśmy projekt ustawy o wprowadzeniu kwoty wolnej od PIT w wysokości 60 tys. zł. Platforma i koalicja rządząca głosowała przeciwko niemu. Te obietnice wyborcze były kłamstwami, bo wiedzieli, że tego nie zrobią w warunkach wysokiego deficytu i wysokiego długu publicznego.

Badania preferencji wyborczych wskazują na przewagę środowisk konserwatywnych i prawicowych pod warunkiem, że będą działały wspólnie. Czy to możliwe?

Różnice polityczne i konflikty były, są i będą, natomiast perspektywa, że partie co najmniej werbalnie odwołujące się do prawej strony spektrum idei politycznych mają szansę wygrać wybory, jest dobrą wiadomością. Choć moim zdaniem wymaga to ciężkiej pracy i odbudowania nadszarpniętego zaufania wyborców. Wyborów nie będzie łatwo wygrać. A różnice w polityce demokratycznej pokonuje się poprzez dyskusje i negocjacje. Jeżeli wszyscy partnerzy do ewentualnego tworzenia w przyszłości większości rządzącej okażą dojrzałość i odpowiedzialność za państwo, to współpraca jak najbardziej jest możliwa. Czarnym scenariuszem pozostaje uleganie pokusie wzajemnego samozniszczenia politycznego.

eprasa.pl 1560eb7ad6

Czy Konfederację niepokoją konflikty w Prawie i Sprawiedliwości, największej partii opozycyjnej, czy może widzicie w tym nadzieję na pozyskanie wyborców?

Z naszej perspektywy Prawo i Sprawiedliwość jest partią złożoną z polityków przychodzących z różnych stron, złączonych przywództwem Jarosława Kaczyńskiego. Nie jesteśmy zaskoczeni tymi sporami. One pokazują, że w tej chwili w PiS panuje kryzys zaufania i kryzys przywództwa. Moim zdaniem najważniejsza wiadomość dla wyborców to kryzys tożsamości ideowej i programowej. Nie jest w tej chwili jasne, jaki program chce realizować Prawo i Sprawiedliwość. Dlatego ujawnione różnice są tak intensywne. Jednak opozycja to dobry czas, żeby odbyć taką dyskusję. Życzę naszym rywalom z PiS, by rozstrzygnęli te dylematy w sposób umożliwiający prowadzenie później rozmów z pożytkiem dla Polski. Jeśli tak się nie stanie, nie wykluczałbym, że dojdzie do rozłamów.

Wydaje się, że będąc w opozycji, ale mając perspektywę stworzenia rządu, powinno się unikać konfliktów. Po co zatem wojna Sławomira Mentzena z Jarosławem Kaczyńskim?

Konfederacja stanowi obóz polityczny odrębny od Prawa i Sprawiedliwości, Platformy czy Lewicy. Jesteśmy alternatywą polityczną i jest to świadomy wybór. Osobiście rywalizuję w różnych partiach politycznych z Prawem i Sprawiedliwością od momentu, kiedy powstało, czyli od 2001 r. To, co wybrzmiało medialnie pomiędzy liderami Konfederacji a PiS, jest po prostu wzajemną krytyką wynikającą z fundamentalnej różnicy w ocenie sposobu rządzenia w latach 2015–2023. My i nasi wyborcy negatywnie oceniamy sposób rządzenia przez Prawo i Sprawiedliwość.

Prawica jedzie jednak na jednym wózku.

Nie można się obrażać, trzeba wyciągnąć z tego wnioski. Moim zdaniem problemem nie jest formułowana przez nas krytyka, ale brak chęci przyznania się do błędów. Potrzebne są samooczyszczenie i naprawa. Pozostając w opozycji, nie można mówić, że będzie się zapobiegać masowej imigracji, a później sprowadzać ją do Polski. Nie można mówić, że będzie się walczyć o górnictwo, a później przyjmować programy zamykania kopalń. Nie można mówić, że będzie się bronić suwerenności, a następnie przekazywać kompetencje finansowe do Brukseli. To jest głęboko niespójne, nieprawdziwe i to jest realny problem, a nie krytyka wyrażana przez Konfederację.

Czy Sławomir Mentzen powinien bronić marszałka Czarzastego?

Mamy bardzo negatywną opinię na temat Włodzimierza Czarzastego. W odróżnieniu od PiS głosowaliśmy przeciwko jego wejściu do prezydium Sejmu w 2019 r. To Prawo i Sprawiedliwość wprowadziło go na funkcję wicemarszałka. Tak samo w 2023 r. głosowaliśmy przeciwko niemu. Mieliśmy i zawsze będziemy formułowali negatywną ocenę ludzi lewicy. Uważamy natomiast, że dyplomaci innych państw nie są od tego, żeby ustawiać do pionu polskich polityków. Niezależnie od tego, z której są partii. Jako Polacy rezerwujemy sobie prawo do krytycznej oceny wypowiedzi, zachowań i biografii marszałka Czarzastego. Wyrażamy to w głosowaniach. I nie potrzebujemy, żeby ktoś z zagranicy sugerował, co mamy myśleć i jak oceniać polskich polityków.

> Większość parlamentarną spaja niechęć do PiS, Konfederacji, nie mówiąc już o Grzegorzu Braunie. Najbardziej prawdopodobnym wariantem jest dokończenie kadencji

Z kolei Grzegorz Braun przyjął strategię: co na drodze, to nieprzyjaciel.

Prezes Jarosław Kaczyński wyklucza współpracę z nim, ale czy przywódca Korony w ogóle mentalnie byłby gotów na współpracę w ramach potencjalnej koalicji?

Na ile poznałem Grzegorza Brauna, uważam, że jest człowiekiem nieprzewidywalnym w swoich planach politycznych, a jednocześnie zdolnym do ich zmiany. Dlatego formułowanie na kilka lat do przodu dotyczących go prognoz politycznych jest niemożliwe.

Czy pomysł paktu senackiego jest jeszcze realny?

Zaproponowaliśmy taki pakt pod patronatem prezydenta Karola Nawrockiego i z naszej strony ta propozycja jest aktualna.

Może prezydent Nawrocki mógłby odgrywać rolę spoiwa i rozjemcy, mediatora w sporach dotyczących ewentualnego tworzenia konserwatywnego rządu po wyborach?

Gdyby po wyborach istniała większość pozytywnie nastawiona do prezydenta i skłonna razem tworzyć rząd, to na pewno poprzez swoją pozycję konstytucyjną mógłby odgrywać pozytywną rolę. Być może również mediatora. Nie byłoby to natomiast łatwe dlatego, że polityka parlamentarna ma własną dynamikę. Ludziom spoza parlamentu nie jest łatwo oddziaływać na tę dynamikę. Nawet prezydentowi. Jeżeli politycy w parlamencie nie potrafią się dogadać, jeżeli tego nie chcą, to nie pomoże żadna zewnętrzna mediacja. Przenoszenie odpowiedzialności na prezydenta za budowanie przyszłych koalicji jest niestosowne. To odpowiedzialność liderów partyjnych. Niezależnie od tego, jakie podejmują decyzję, czy są w koalicji, czy w opozycji, czy widzą pole współpracy, czy go nie widzą – powinni uczciwie komunikować to społeczeństwu.

Jednak bez poparcia prezydenta trudno jest rządzić.

Poparcie prezydenta jest bezcennym atutem dla każdego rządu. Być może także dla ewentualnego przyszłego gabinetu prawicowego.

eprasa.pl 1560eb7ad6

Wszystkie legendy Zychowicza

Resortowe dziecko oszukało i wykorzystało prawicę. Nie całą, ale sporą jej część. Zresztą na prawicy nadal jest wielu naiwnych, którzy kupują – i to za wymierne pieniądze – bajki opowiadane przez rzekomego antykomunistę, konserwatystę i patriotę. Mowa o Piotrze Zychowiczu, autorze jednego z większych oszustw ostatnich lat



PIOTR GURSZTYN



Fot. Jacek Dominski/REPORTER

W imię sprawiedliwości trzeba tu pospieszyć z wyjaśnieniem, że hochsztaplerstwo Piotra Zychowicza zostało odkryte i napiętnowane przez drugą część prawicy. Jest jednak faktem, i to zawstydzającym, że sporo szanowanych ludzi nabrało się na jego bajki o „radykalnym" antykomunizmie, wyniesionym z domu etosie rycerskim, szlacheckości, kresowym pochodzeniu, konserwatyzmie i tym podobną autoreklamę. Wspierali go, bronili, a teraz niektórzy z nich czują się oszukani, bo przestali być mu potrzebni, gdy na ich plecach zbudował rozpoznawalność i niezależne od nich źródła finansowania.

SKRAJNA PRONIEMIECKOŚĆ

O Zychowiczu znów zrobiło się głośno po słowach prof. Andrzeja Nowaka wypowiedzianych w Kanale Zero i powtórzonych w Radiu Wnet. Profesor stwierdził, że wpływ tego autora na debatę historyczną był „katastrofalnie zły". Dodał, iż głoszone przez niego tezy „podobają się w Berlinie i Moskwie". Nie owijał w bawełnę, mówiąc o bredniach Zychowicza oraz o tym, że jego działalność to „potworne zakłamywanie historii".

Zychowicz szybko odpowiedział. W swoim stylu, czyli agresywnie i niegrzecznie. Oraz z patosem, powołując się na swoich „mistrzów", czyli – jak to ujął – „klasyków polskiej myśli konserwatywnej".

W internecie wywiązał się spór. Część jego uczestników broniła Zychowicza, twierdząc, że ma on po prostu inne poglądy niż prof. Nowak. Tym samym dobrze, że je głosi, bo dzięki temu mamy pluralizm opinii. Teza ta jest nieprawdziwa, bo Nowak przedstawia swoje poglądy, ale nigdy nie został przyłapany na fałszowaniu historii. Wielu recenzentów książek Zychowicza wskazywało natomiast na liczne przykłady ordynarnego fałszowania źródeł. Ale nawet gdyby nie był fałszerzem, lecz jedynie głosicielem kontrowersyjnych haseł, to i tak trzeba stwierdzić, że jego poglądy są szkodliwe dla Polski. Prezentował skrajną proniemieckość i jednocześnie wrogość wobec USA,

eprasa.pl 1560eb7ad6

także w przypadku bieżących zdarzeń. Niedługo przed rosyjską agresją na Ukrainę namawiał do zerwania sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi: „Tak, Ameryka to mrzonka. Albo Rosja, albo Niemcy. Wybierajcie, Panowie".

Prawdą jest to, co powiedział prof. Nowak – że tezy Zychowicza znajdują oddźwięk „w Berlinie i Moskwie". Jego książkę atakującą pamięć powstania warszawskiego omawiały niemieckie media, które nie były w podobny sposób zainteresowane innymi polskimi publikacjami na temat II wojny światowej. Hasła Zychowicza wywołują jeszcze większy oddźwięk w Rosji, o czym każdy może się przekonać, zaglądając do rosyjskiego internetu. Szczególnie spodobała się tam książka o tym, że w 1939 r. Polska powinna była się sprzymierzyć z Hitlerem, bo jest to traktowane w Rosji jako „argument" w obronie paktu Ribbentrop–Mołotow. Prof. Nowak opowiadał na ten temat w wywiadzie rzece, który udzielił Piotrowi Legutce: „Ambasada rosyjska postanowiła uczcić wydanie tej książki i zaprosić pana Zychowicza na specjalne święto z tej okazji. Po prostu do tego stopnia realizuje on zamówienie polityki historycznej Władimira Putina".

W Moskwie spodobała się też książka, w której Zychowicz twierdził, że AK zdradziła Polaków na Wołyniu. W Rosji zaczęto to nagłaśniać jako dowód, że tylko Armia Czerwona mogła zatrzymać ludobójcze działania UPA. Ostatnio osławiony sędzia Szmydt na łamach łukaszenkowskiej agencji Belta powoływał się na „autorytet" Zychowicza, obraźliwie pisząc o obchodach rocznicy powstania warszawskiego.

MANIPULACJE I KŁAMSTWA

Kuriozalne poglądy stanowią problem, ale dużo mniejszy w obliczu kolejnego zarzutu. Publiczna aktywność Piotra Zychowicza to jeden wielki fake. W sensie fałszowania historii, a nawet własnego życiorysu. Zychowicz w kolejnych książkach próbował zdemolować te wydarzenia z naszej historii, z których Polacy są dumni i na których opierają swoją tożsamość. Pierwsze było zakwestionowanie niemieckiej odpowiedzialność za wybuch II wojny światowej i twierdzenie, że Polacy sami sobie są winni, gdyż przeciwstawili się Hitlerowi. W drugiej książce wpisał się w starą PRL-owską tradycję szkalowania pamięci powstania warszawskiego. Był też paszkwil na Józefa Piłsudskiego oraz żołnierzy wyklętych. Współwiną za rzeź wołyńską obarczył Armię Krajową i jej komendanta Stefana Grota-Roweckiego. W jego ujęciu praktycznie wszyscy polscy bohaterowie pierwszej połowy XX w. to szkodnicy i idioci. Jako jedyny pozytywny wzór przedstawił jawnego kolaboranta, a przy tym prawdopodobnie osobę zaburzoną psychicznie, czyli Władysława Studnickiego. Stworzył własną wersję „pedagogiki wstydu" – przykrytą patriotycznym ornamentem na opakowaniu, ale o zawartości identycznej jak ta, którą propagowała „Gazeta Wyborcza".

> W dziejach Piotra Zychowicza jedno oszustwo goni następne. Kłamie on w sprawie historii, kłamie w sprawie własnego życiorysu

Czynił to za pomocą ordynarnych manipulacji i fałszowania źródeł. W książce o powstaniu warszawskim atakował organizację Wolność i Niezawisłość, twierdząc, jakoby była organizacją prosowiecką. Oparł to na fragmencie jej deklaracji ideowej. „W części deklaracji WiN, która dotyczyła polityki zagranicznej, znalazło się m.in. takie zdanie: »za konieczne uważamy utrzymanie dobrych stosunków politycznych i gospodarczych ze Związkiem Radzieckim [tak w oryginale – P.Z.]«. Jak więc państwo widzą, był to antybolszewizm bezobjawowy" – pisał. Rzecz w tym, że następne zdanie deklaracji brzmiało: „Należy o tym pamiętać, by te stosunki układały się przy pełnej równorzędności i niezawisłości Polski".

Leszek Żebrowski, badacz specjalizujący się w tematyce podziemia antykomunistycznego, znalazł wiele fałszerstw w książce o żołnierzach wyklętych. Zychowicz powoływał się np. na rzekome zapiski Józefa Kurasia „Ognia", podczas gdy wiadomo, że to ubeckie fałszywki. Inny historyk, badacz dziejów AK dr Wojciech Kempa, natrafił na wiele podobnych oszustw w książce o rzezi wołyńskiej, gdzie negatywnym bohaterem dla Zychowicza była Armia Krajowa. Zychowicz m.in. cytował tam obszernie dowódcę jednej z polskich organizacji samoobrony, mówiącego o tym, z jakim trudem zdobywano broń. Zamieścił fragment, jak wygrzebywano ją na pobojowiskach. Relację przyciął tak, aby nie znalazło się w niej następujące zdanie: „Ożywioną działalność przejawiał w tym względzie inspektorat AK, systematycznie zasilając nas w broń i żywność". Dr Kempa w swojej recenzji wskazał znacznie więcej manipulacji. Zychowicz pomijał wszystko, co stawiało w dobrym świetle AK, a złym – Niemców. Zwrócił też uwagę na to, co zauważyli inni krytycy Zychowicza, który przez wiele lat co roku wydawał kilkusetstronicową książkę z obszerną bibliografią: „Aż się chce zapytać, kiedy autor zdążył to wszystko przeczytać i poddać analizie krytycznej... Ale czy aby na pewno wszystko, co tam wyszczególnił, przeczytał? Sądząc bowiem po tym, co napisał, rodzą się w tej kwestii poważne wątpliwości".

To wszystko jasno tłumaczy, dlaczego wbrew temu, co twierdzą obrońcy Zychowicza, nie chce on uczestniczyć w debatach merytorycznych ze swoimi krytykami. Ostatnia, którą zaryzykował – z Leszkiem Żebrowskim – skończyła się dla niego katastrofą. Zresztą publicznie nazywany oszustem i fałszerzem nie podał nikogo do sądu.

RESORTOWE DZIECKO

Ale to nie koniec. W dziejach Piotra Zychowicza jedno oszustwo goni następne. Kłamie on w sprawie historii, kłamie w sprawie własnego życiorysu. Swój profil na portalu X opatrzył lakonicznym podpisem: „Antykomunista". Wielokrotnie to podkreślał, aż zaczął funkcjonować w różnego rodzaju recenzjach jako antykomunista „rady-

Autopromocja

eprasa.pl 1560eb7ad6

kalny" czy „zajadły". Przez lata nikt nie kwestionował tej autoprezentacji, choć okazało się, że Zychowicz zawdzięcza swoją pozycję społeczną jednej z najgorszych plag w dziejach Polski, czyli właśnie komunizmowi.

W książce o powstaniu warszawskim wzmacniał swoje ataki historią rodzinną. „Mój ojciec – wówczas szesnastolatek, żołnierz Szarych Szeregów – wykonywał zadania pomocnicze przy jednym z oddziałów. Przenosił amunicję, chodził na zwiady. Wysyłano go na całkowicie bezsensowne i straceńcze misje. Przeżył właściwie cudem" – pisał. Problem w tym, że Muzeum Powstania Warszawskiego nie ma w swoich zasobach informacji o tym, żeby uczestnikiem powstania był jakiś Andrzej Zychowicz, urodzony w Puławach w 1927 r., a zmarły w 2002 r. Trudno uwierzyć, aby syn historyk, który chwali się bohaterską przeszłością ojca, nie zadbał o to, by został on odnotowany przez Muzeum. Również pracownicy tej placówki, skrupulatnie zbierający wszystkie dane na temat powstańców, nie natknęli się w żadnej relacji czy dokumencie na wzmiankę o takim kombatancie.

Dodajmy jeszcze, że Zychowicz chętnie opowiadał o swoich ziemiańskich, kresowych korzeniach, wynikającym z nich rycerskim etosie oraz o tym, że uważa się przede wszystkim za patriotę Wielkiego Księstwa Litewskiego. „Uważam się za Litwina, czym oczywiście wzbudzam w Polsce rozmaite kontrowersje i ludzie nie są w stanie tego zrozumieć" – mówił na spotkaniu w Instytucie Polskim w Wilnie.

Dlatego wielkim szokiem dla osób, które blisko go znały, stało się to, co ujawnił Michał Kozłowski, historyk pracujący w Wojskowym Biurze Historycznym. Były to dane dotyczące ojca Zychowicza, wspomnianego Andrzeja. Otóż Zychowicz senior nie był ani ziemianinem, ani powstańcem, ani żołnierzem wyklętym. Był komunistą, i to zaangażowanym. Pełnił m.in. funkcję lektora przy KC PZPR, czyli zajmował się szkoleniem ideologiczno-propagandowym. Pracował też jako dziennikarz PRL-owskiej prasy, łącznie z „Trybuną Ludu" (podobnie jak matka Zychowicza), a także w agencji Interpress, która była przykrywką dla działań agenturalnych komunistycznego wywiadu. Pisał wydawane przez MON książki m.in. o agresji amerykańskich „imperialistów" przeciw ludowi Kambodży i Wietnamu. Był za to odznaczany, m.in. medalem „Siły Zbrojne w Służbie Ojczyzny" w 1971 r., czyli tuż po tym, jak LWP zabijało robotników na Wybrzeżu. Był „zabezpieczony" – jak napisał na platformie X Kozłowski – przez Departament I MSW, czyli wywiad zagraniczny wchodzący w skład Służby Bezpieczeństwa.

Szok znajomych nie wynikał z tego, że Zychowicz miał takiego ojca, ale z tego, że kreował zupełnie inną legendę na swój temat. A prawdziwą rodzinną przeszłość mocno skrywał.

Po ujawnieniu przeszłości ojca jaśniejsza stała się też kwestia jego współpracy z PRL-owskim szpiegiem Marianem Zacharskim. „Antykomunista" Zychowicz jako redaktor naczelny dodatku historycznego tygodnika „Do Rzeczy" promował tego komunistycznego agenta, przedstawiając go jako PRL-owskiego Jamesa Bonda. Zacharski pracował w Departamencie I, czyli tym, który „zabezpieczał" Zychowicza seniora. Zasadne jest postawienie pytania, z czego wynikła zażyłość „radykalnego antykomunisty" z esbekiem. Czy młody redaktor pomagał staremu komuchowi, czy kolega taty resortowemu dziecku? I czy nie jest to źródłem wydawniczego sukcesu książek Zychowicza, który wbrew sytuacji panującej na rynku książki non-fiction co roku odnosił sukces? Bo tak szczęśliwej passy, porównywalnej z fartem Lecha Wałęsy grającego w totolotka, nie miał w Polsce żaden inny autor.

Odpowiadając prof. Nowakowi, Zychowicz napisał, że profesor jest człowiekiem upolitycznionym: „Tak daleko posunięte lizusostwo i serwilizm wobec jednej z partii politycznych uważam za żałosne i niegodne przedstawiciela cechu historyków". Dzisiaj, gdy prawica jest w opozycji, Zychowicz nie skrywa swej otwartej wrogości wobec PiS. Akurat jako dziecko komunistycznych dziennikarzy jest w tym uczuciu autentyczny, ale dopiero teraz pozostaje szczery. Za rządów PiS nie obnosił się z tą niechęcią, zwłaszcza że los sprawił, iż pracował w prawicowych mediach. Po prostu trafił do pracy w dzienniku „Rzeczpospolita" dzięki znajomościom swej matki, która pracowała tam w dziale gospodarczym. Wszedł między prawicowe wrony, więc przez jakiś czas krakał tak jak one.

Zwłaszcza że to się opłacało. W maju 2016 r. założył fundację Rodacy'37, której celem miało być uczczenie okrągłej rocznicy operacji polskiej NKWD. W trzyosobowym zarządzie zasiadał on i jego żona. Rok później fundacja wydała album poświęcony rocznicy. Został przygotowany przez wydawnictwo, które publikowało książki Zychowicza. Rzecz w tym, że całość kosztów poniosła Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych, czyli „pisowska" wówczas spółka. Jak informowano, PWPW była „wyłącznym mecenasem" publikacji. Czyli fundacja ani wydawnictwo nie przeznaczyły na to złotówki. Ale za to tam trafiały dochody ze sprzedaży. „Kupując ten album, wspierasz akcję upamiętnienia ofiar ludobójstwa" – można było przeczytać w opisie albumu. Nic nie wiadomo o dalszym upamiętnianiu ofiar, bo na stronie fundacji nie ma żadnych danych. Fundacja została zarejestrowana 11 maja 2016 r., a ostatni „najnowszy wpis" na jej stronie pochodził z 22 czerwca 2016 r. Potem zapadła cisza. Zysk musiał być tym większy, że według naszych informacji dotacja ponaddwukrotnie przekraczała koszty wydania albumu.

Historia Piotra Zychowicza przypomina doniesienia o ludziach oszukanych metodą „na wnuczka", czyli e-mailami o spadku odziedziczonym w Nigerii. Ten niewątpliwie sprytny człowiek sprzedał swoją legendę ludziom z pewnością inteligentnym, negatywnie nastawionym do patologicznego dziedzictwa PRL, lecz naiwnym. Sprzedał dosłownie, bo skutecznie monetyzował ich wsparcie. Teraz, gdy stali się dla niego obciążeniem, rozpoczął żerowanie w nowych niszach „ekologicznych". Tam, gdzie nadal nie brakuje naiwnych.



NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?

Płacisz mniej niż w kiosku – tylko 9,40 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)

eprasa.pl 1560eb7ad6



Pora zakazać TikToka

Uważamy, że nadszedł czas, aby elity polityczne i społeczne w Polsce osiągnęły porozumienie w sprawie zakazu korzystania z portali społecznościowych przez nieletnich. Chodzi o nasze dzieci



GORAN ANDRIJANIĆ

Ayrin ma 28 lat. Jest zamężna, ale ona i jej mąż nie mieszkają teraz razem, ponieważ kobieta musiała wrócić do rodziców, żeby skończyć szkołę pielęgniarską. Jej mąż Joe przeprowadził się do swoich rodziców, wszystko z powodów finansowych.

Ayrin zakochała się w Leo. Leo nie istnieje, ponieważ jest wirtualną postacią stworzoną przez ChatGPT w specjalnym programie dla samotnych. Kobieta komunikuje się z nim godzinami, regularnie płaci za to całkiem sporą kwotę i mówi znajomym, że jest „zakochana". Co na to jej mąż Joe? Nie miał z tym problemu, bo sam spędzał całe dni, oglądając strony pornograficzne. Po kilkunastu miesiącach para się rozwiodła.

To prawdziwa historia, która została niedawno opisana w „The New York Times". Pisze o niej w swojej nowej książce amerykański konserwatywny publicysta Rod Dreher. Opisuje tę historię jako przykład mentalności pokolenia, które wychowało się na emocjach związanych z mediami społecznościowymi, a teraz musi stawiać czoło szybko rozwijającej się sztucznej inteligencji. Kiedy niedawno rozmawiałem z Dreherem w Warszawie, wyjaśnił mi, co go najbardziej zszokowało w tej historii.

„Przeraża mnie w tym to, że mamy do czynienia z kobietą, która bardziej lubi kłamstwo poprawiające jej samopoczucie od prawdy o życiu".

TECHNOLOGIE ZUBAŻAJĄ RELACJE

To klasyczna definicja pokolenia, które dorastało, komunikując się za pośrednictwem mediów społecznościowych. Nie mogąc nawiązać głębszej i trwalszej relacji z rodziną i przyjaciółmi, członkowie tego pokolenia uciekają w wirtualną rzeczywistość i rodzaj komunikacji, jaki zapewnia im sieć. W świat, który jest powierzchowny i daleki od rzeczywistości, prawdziwej miłości i szacunku.

Oto, co na ten temat – czyli o korzystaniu z mediów społecznościowych i smartfonów – powiedziała kiedyś Monika Przybysz, jedna z największych polskich ekspertek w dziedzinie negatywnego wpływu nowych technologii na młodych ludzi. „Technologie zubażają nasze relacje. Komunikacja za pomocą różnych aplikacji

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1560eb7ad6

i komunikatorów daje nam złudne poczucie budowania relacji, które tak naprawdę są płytkie, ponieważ funkcjonują wyłącznie w wersji tekstowej" – mówi Przybysz.

Jak ostrzegają eksperci, przyjaźń i każda relacja, która jest utrzymywana wyłącznie online, pozbawia dzieci najbardziej osobistych i najważniejszych aspektów komunikacji. Dzieci, które nie ćwiczą bezpośredniej komunikacji, wyrastają na dorosłych, którzy będą niezdolni do klasycznego sposobu porozumiewania się.

ŻYCIE W NIEREALNYM ŚWIECIE

Kolejnym problemem jest wpływ idealnego świata wykreowanego w mediach społecznościowych na psychikę. „W social mediach ludzie najczęściej dzielą się swoimi sukcesami, ciekawymi wydarzeniami, wyjazdami, a wszystko jest pokazane przez upiększające filtry. Idealny świat nierealnych osób" – powiedziała Przybysz.

Dziecko, które się wychowało w tym nierealnym, idealnym świecie, będzie miało poważne kłopoty, kiedy przyjdzie czas na aktywne życie w rzeczywistości. Problemy, które dla poprzednich pokoleń były tym, z czym można było walczyć bez większych obciążeń, w pokoleniu wychowanym na mediach społecznościowych będą prowadziły do poważnej depresji i innych zaburzeń. I dlatego ludzie, tacy jak kobieta z historii opisanej przez „The New York Times", raczej wybierają przyjemne kłamstwo niż rzeczywistość.

W świecie naukowym panuje już niemal jednomyślność co do negatywnego wpływu korzystania z mediów społecznościowych na nieletnich, i to w wielu wymiarach. Mamy tu do czynienia z jeszcze jednym problemem. Mianowicie media społecznościowe i smartfony powodują u dzieci całkowitą niezdolność do koncentracji. Potwierdziło to niedawne wspólne badanie szwedzkiego Instytutu Karolinska i amerykańskiego Instytutu Zdrowia i Nauki Oregonu. Według tych analiz zwiększone korzystanie z mediów społecznościowych przez dzieci pogarsza ich koncentrację i może przyczyniać się do wzrostu liczby przypadków zespołu nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi. Badanie monitorowało rozwój ponad 8,3 tys. dzieci w USA w wieku 10–14 lat i udowodniło związek korzystania z mediów społecznościowych z „nasilonymi objawami nieuwagi".

Oczywiście nie wolno pominąć jeszcze jednego problemu – cyberprzemocy. Wspomniany już brak bezpośredniej komunikacji sprawia, że dzieciom niestety łatwiej jest pisać w sieci najgorsze rzeczy, których nie powiedziałyby w bezpośrednim kontakcie. W normalnej socjalizacji dzieci uczą się, że można się nie zgadzać w jakiejś sprawie i nadal utrzymywać normalne relacje. W socjalizacji, która podlega logice mediów społecznych, niezgadzanie się z kimś zawsze nieuchronnie prowadzi do zerwania z nim kontaktu. Najgorsza jednak jest ta nieprawdopodobna lekkość przemocy w sieci i łatwość przejmowania zachowań patologicznych przez nasze dzieci.

Pamiętacie tragiczną historię 16-letniej Julii z Lubina, która we wrześniu 2024 r. popełniła samobójstwo, bo nie mogła już znieść przemocy, hejtu i poniżania, na które była narażona ze strony swoich rówieśników? Tym, co szczególnie bolesne, jest fakt, że nienawiść płynęła w jej kierunku przez prawie pięć lat, a wszystko zaczęło się od ataków internetowych podczas pandemii.

W raporcie EU Kids Online z 2018 r. odnotowano w naszym kraju wskaźnik wiktymizacji cyberprzemocą na poziomie 40 proc. Jesteśmy na pierwszym miejscu pośród 16 badanych państw europejskich.

PONAD POLITYCZNYMI PODZIAŁAMI

Właśnie dlatego uważamy, że nadszedł czas, aby elity polityczne i społeczne w Polsce osiągnęły porozumienie w sprawie zakazu korzystania z portali społecznościowych przez dzieci. Na potrzebę takiego porozumienia zwracają uwagę Jacek Karnowski, redaktor naczelny telewizji wPolsce24, oraz dr Marek Grabowski, socjolog, prezes Fundacji Mamy i Taty, którzy zaprezentowali Dekalog Narodowego Przetrwania, będący propozycją działań mających zahamować katastrofę demograficzną naszego narodu. W pkt. 5 Dekalogu czytamy: „Wychowanie młodego pokolenia maksymalnie poza wpływem mediów społecznościowych – jako warunek zdrowia psychicznego i więzi społecznych".

Związek między demografią a negatywnym wpływem internetu jest oczywisty i wyraźny. Jak już wyjaśniliśmy, korzystanie z sieci społecznościowych ma negatywne konsekwencje dla nowych pokoleń, ale przyczynia się również do masowej atomizacji społeczeństwa oraz rozpadu więzi i struktur społecznych, takich jak rodzina.

Polski rząd, który zdecyduje się na zakazanie korzystania z mediów społecznościowych nieletnim, nie będzie postrzegany jako wyjątek w kontekście europejskim – wręcz przeciwnie. Obecnie poważne dyskusje na temat takiego zakazu toczą się we Francji, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Danii, Słowenii i Hiszpanii. Zostały one zainicjowane przez rządy o różnych orientacjach politycznych, ale intencje są takie same: dobro dzieci.

Od grudnia 2025 r. taki zakaz obowiązuje już w Australii. Giganci big techu, tacy jak Meta (właściciel Facebooka i Instagrama) czy TikToka, zobowiązani są do uniemożliwienia logowania się na swoich platformach osobom poniżej 16. roku życia. Niedopełnienie tego obowiązku może skutkować wielomilionowymi grzywnami. Spośród krajów europejskich Francja jest najbliższa wprowadzenia zakazu. Pod koniec stycznia w niższej izbie parlamentu uchwalono ustawę ograniczającą dostęp do mediów społecznościowych dla dzieci poniżej 15. roku życia, która obecnie czeka na głosowanie w Senacie i cieszy się poparciem prezydenta Emmanuela Macrona. Jego zdaniem „mózgi francuskich dzieci nie są na sprzedaż i nie można nimi manipulować". W Wielkiej Brytanii premier Keir Starmer był przeciwny temu pomysłowi, ale pod naciskiem swojej Partii Pracy zmienił zdanie. Teraz twierdzi, że ograniczenie dostępu do mediów społecznościowych nastąpi w nadchodzących miesiącach, choć podkreślił, że jego ostateczna forma wymaga jeszcze dyskusji. Podobna sytuacja ma miejsce w Niemczech, gdzie główni koalicjanci – CDS/CDU i Socjaldemokraci – są zgodni, że trzeba zrobić coś z tym problemem.

Dekalog Narodowego Przetrwania został opublikowany na początku stycznia br. Dwa tygodnie później ekipa rządząca zaczęła mówić o zakazie korzystania z portali społecznościowych dla nieletnich, a poseł Roman Giertych ogłosił konsultacje nad stworzeniem takiego prawa. To pokazuje, że presja ma sens. I jeszcze jedno: niezależnie od tego, która siła polityczna wystąpi z inicjatywą zakazu, ważne jest, aby wykraczała ona poza wszelkie podziały polityczne w Polsce. Bo przyszłość naszych dzieci jest ważniejsza niż cokolwiek innego.

eprasa.pl 1560eb7ad6

Jazda parami

Energetyczne, damsko-męskie duety to znak firmowy telewizji wPolsce24. Sprawdź, co mają do zaoferowania dziennikarki i dziennikarze najbardziej dynamicznie rozwijającej się stacji telewizyjnej w kraju



Kawa i Wikło" to mocny strzał o poranku, w sam raz do pierwszej albo drugiej kawy. Marzena Kawa i Marcin Wikło wraz z zaproszonymi gośćmi omawiają najważniejsze wydarzenia dnia. Mocno, bezlitośnie, zawsze na temat i zawsze rzetelnie.

KAWA I WIKŁO O PORANKU

Przykład? Dyskusja o wywiadzie, którego udzielił minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski niemieckiemu tygodnikowi „Der Spiegel". Mimo że wszystko dzisiaj idzie w Polsce po myśli Niemiec, czego dowodem jest choćby forsowanie przez rząd gigantycznej pożyczki SAFE, która zostanie wydana głównie za Odrą, tamtejsi dziennikarze domagają się więcej. Twierdzą, że choć od zmiany rządu minęły dwa lata, stosunki między Polską a RFN wcale się nie polepszyły. Nie pomogła nawet „błyskotliwa" riposta Sikorskiego, że „jest dużo lepiej", bo rząd w Warszawie „nie wysyła wam już żadnych rachunków". Szef MSZ po raz kolejny zapewnił w ten sposób Niemców, że dopóki rządzi Donald Tusk, nikt nie będzie egzekwował od Berlina reparacji.

„Rząd premiera Donalda Tuska uznaje wyniki konferencji poczdamskiej. Zgodnie z nimi Polska powinna otrzymać odszkodowania wojenne z reparacji przyznanych Związkowi Sowieckiemu. Nie zostały one nam jednak nigdy wypłacone. Można powiedzieć, że zostały nam ukradzione" – powiedział Sikorski, powielając w ten sposób niemiecką narrację, że jeśli mamy się od kogoś domagać zadośćuczynienia, to od Rosji.

„Jesteście grzeczni, ale na kolanach byłoby jeszcze grzeczniej" – skomentował szokującą rozmowę Marcin Wikło.

„Teraz to już chyba nie na kolanach, teraz to już niżej, jeszcze bardziej" – uzupełniła Małgorzata Kawa.

„Kawa i Wikło" od poniedziałku do piątku o 9.00.

MÓWIĄ, JAK JEST

Czasem poważnie, czasem na luzie. Czasem o sprawach najważniejszych dla Polski, niekiedy o prywatnych radościach i troskach gości – politycy to przecież też ludzie. Unikalna formuła programu „Wierzbicki i Biedroń mówią, jak jest" przyciąga przed telewizory coraz większą liczbę widzów.

Ona była bohaterką najgłośniejszego transferu sezonu jesiennego na rynku telewizyjnym. Do telewizji wPolsce24 trafiła opromieniona sukcesem dzielnego i profesjonalnego rzecznikowania Karolowi Nawrockiemu w trakcie kampanii prezydenckiej. On jest dziennikarzem z blisko 30-letnim stażem, specjalizującym się w tematyce prawnej. Znają go państwo doskonale z łamów naszego tygodnika, a także portalu wPolityce.pl, gdzie ujawnia afery i obnaża wpadki polityków.

Emilia Wierzbicki i Wojciech Biedroń połączyli siły, tworząc bardzo mocny punkt ramówki najszybciej rozwijającej się informacyjnej stacji telewizyjnej w Polsce. Tutaj przychodzi się, żeby powiedzieć coś naprawdę ważnego, coś, co poniesie się w świat. To u Wierzbicki i Biedronia poseł PiS Janusz Kowalski po raz pierwszy przedstawił dokładną analizę afery z mieszczącą się w ruderze firmą byłego posła Platformy Obywatelskiej, która ma otrzymać miliardowy kontrakt z unijnego programu SAFE. To tutaj prosto z Zimowych Igrzysk Olimpijskich we Włoszech kulisy ataków ze strony rządu przedstawiał szef Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosław Piesiewicz. To w programie wybuchowej pary ofensywę programową swojej partii zapowiadali posłowie PiS. „Wierzbicki i Biedroń mówią, jak jest" po prostu trzeba oglądać, jeśli chce się wiedzieć, co w Polsce naprawdę piszczy. Emisja od poniedziałku do piątku o 18.30.

Autopromocja

eprasa.pl 1560eb7ad6



WIECZORNY OGIEŃ

Kolejny tandem telewizji wPolsce24 tworzą wielkie gwiazdy tygodnika „Sieci". Błyskotliwe felietony Doroty Łosiewicz i jej teksty o rodzinie, edukacji czy sprawach społecznych zna każdy czytelnik naszego pisma. Tak samo jak dziennikarskie śledztwa i wyjątkowe analizy polityczne Marka Pyzy. Łosiewicz i Pyza umiejętnie wykorzystują głęboką wiedzę i niepowtarzalny styl w emitowanym od poniedziałku do soboty tuż po „Wiadomościach" programie „Minęła 20.05". Dziennikarze biorą na warsztat tylko najważniejsze wydarzenia dnia, dopisując do nich często niebanalną puentę. Tak było np. w dniu rozłamu w Polsce 2050, gdy połowę klubu poselskiego partii Szymona Hołowni przejęła Paulina Hennig-Kloska, zapowiadając przy okazji stworzenie nowego, jeszcze bardziej wiernego Tuskowi ugrupowania o myląjącej nazwie „Centrum".

„Dezerterzy" – tak nazwała grupę Hennig-Kloski przewodnicząca Polski 2050 Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Jeden z nich, poseł Norbert Pietrykowski, gościł u Łosiewicz i Pyzy. Było ciekawie. Pietrykowski najpierw odśpiewał fragment jednej z piosenek punkowego zespołu „Dezerter", potem zadeklarował, że jeśli Szymon Hołownia wróciłby na stanowisko przewodniczącego swojej partii, to on też chciałby z powrotem być w klubie Polski 2050, a na koniec... przeprosił wyborców. Za co?

„Za to, co wyprawiamy. Cóż, co mi pozostaje. To jest smutny i trudny dla nas dzień, powiem szczerze. Mieliśmy być takim klinem między tym duopolem [KO i PiS – przyp. red.], a na razie słabo to wygląda" – przyznał Pietrykowski.

To fakt, bardzo słabo. Odwrotnie niż „Minęła 20.05", która wygląda świetnie. Kolejne fajerwerki codziennie od poniedziałku do soboty o 20.05.

Kiedy Dorota Łosiewicz i Marek Pyza mówią: „Dobranoc", z widzami wPolsce24 wita się kolejny doskonały duet – Marta Piasecka i Szymon Szereda. „Na linii ognia" emitowany jest od poniedziałku do piątku o 20.55.

„Szymon jest bezkompromisowy, nie odpuszcza nikomu. Zwraca uwagę na detale, np. na zegarki" – śmieją się szefowie stacji, nawiązując do ujawnionej przez dziennikarza afery z Omegą, której nie wpisał do oświadczenia majątkowego poseł Lewicy Andrzej Szejna (parlamentarzysta kilka razy zmieniał zdanie na temat swojego zegarka, by w końcu stwierdzić, że nie jest on warty 10 tys. zł, więc nie musiał być uwzględniony w rejestrze).

„Marta to oaza spokoju, rzeczowości i ciepła, którego tak dzisiaj brakuje w przestrzeni publicznej. Nasi dziennikarze uzupełniają się i napędzają, a my otrzymujemy doskonały format, który nasi widzowie bardzo szybko polubili" – dodają.

Na zakończenie coś lżejszego, czyli „Polityka na deser". Jedną z najbardziej lubianych par prowadzących ten kultowy już program są Magdalena Ogórek i Stanisław Janecki. Oboje z niejednego medialnego pieca chleb jedli, więc potrafią dostrzec to, czego nie dostrzegają inni. O co tak naprawdę chodzi w błahych z pozoru wydarzeniach? Dlaczego te, którymi ekscytują się wszyscy, są w rzeczywistości kompletnie nieważne? Jak z politycznego pustosłowia odczytać faktyczne znaczenie? To wszystko, jak w każdym wydaniu „PnD", podane z ironią, humorem i klasą, które widzowie uwielbiają.

„Polityka na deser" zaprasza od poniedziałku do soboty o 21.45.

(AT)

wPolsce24
MINĘŁA 20:05
Rozliczamy polityków i piętnujemy absurdy
– od poniedziałku do soboty o 20:05

Marek Pyza
Dorota Łosiewicz
GDZIE NAS OGLĄDAĆ:
52 telewizja naziemna
909 921, 196 polsat box
62 CANAL+
192 netia
32 orange
825 vectra
65 339, 121 PLAY
459 inea
631 TOYA
43 evio
EPG 825, EPG PON 257 multiMedia

eprasa.pl 1560eb7ad6

Czarna owca Windsorów

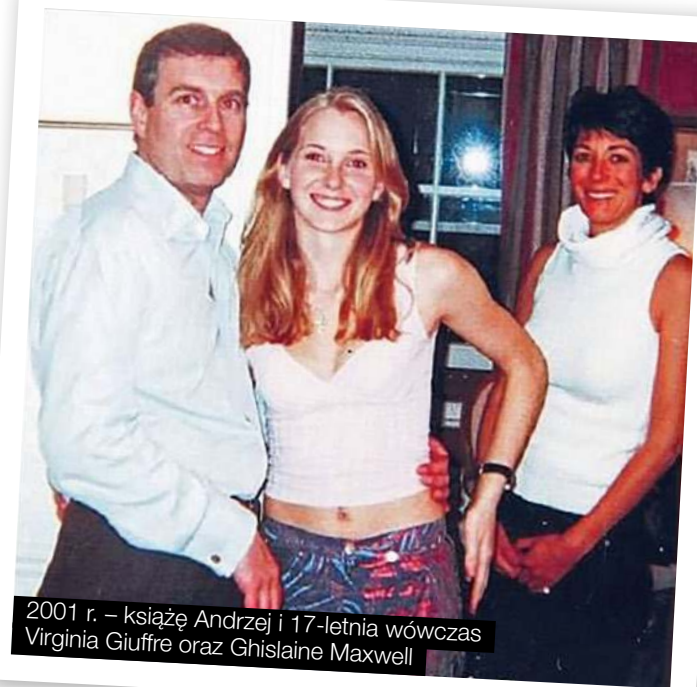


ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Król Karol III liczył na to, że dla brytyjskiej rodziny królewskiej 2026 r. będzie spokojniejszy po dwóch najbardziej burzliwych latach w historii. Zatrzymanie byłego księcia Yorku przez policję ostatecznie rozwiało te nadzieje. Zamiast spokoju Windsorów czeka burza

Brytyjska rodzina królewska to bez wątpienia najpopularniejsza monarchia na świecie. Media żyją doniesieniami o romansach, skandalach oraz nowych potomkach Windsorów. W ostatnich latach jeden z nich jest szczególnie eksponowany. To były książę Yorku Andrzej Mountbatten-Windsor, młodszy brat króla Karola III. Od historycznego przywrócenia monarchii w Anglii i Szkocji w 1660 r., gdy Karol II Stuart powrócił na tron, żaden członek rodziny królewskiej nie został aresztowany. Andrzej właśnie zerwał z tą zacną tradycją.

Policja zatrzymała go w posiadłości Sandringham w hrabstwie Norfolk, na dodatek w dniu jego 66. urodzin. Funkcjonariusze poinformowali, że wszczęli dochodzenie „po wnikliwej analizie". Potwierdzili także, iż prowadzą przeszukania adresów w hrabstwach Berkshire i Norfolk. Zdjęcia nieoznakowanych wozów policyjnych wokół posesji, w któych Andrzej mieszkał, odkąd opuścił rezydencję w Windsorze, obiegły światowe media.



2001 r. – książę Andrzej i 17-letnia wówczas Virginia Giuffre oraz Ghislaine Maxwell

Fot. Florida Southern District Court

WYCIEK POUFNYCH DANYCH

Zatrzymanie byłego księcia Yorku to zwieńczenie długiego procesu upadku wynikającego z bliskich relacji, jakie łączyły go z nieżyjącym już przestępcą seksualnym i pedofilem Jeffreyem Epsteinem. Obaj poznali się w 1999 r., a Epstein i jego przyjaciółka oraz partnerka biznesowa Ghislaine Maxwell nieraz gościli na przyjęciach organizowanych przez brytyjską rodzinę królewską.

Jak pisze „The Spectator", Andrzej wyraźnie był pod wrażeniem charyzmatycznego finansisty. Na tyle, że miał nie tylko korzystać z damskiego towarzystwa – czasami nieletnich – jakie załatwiał mu Epstein, lecz także przekazywać mu poufne dane dotyczące brytyjskiej gospodarki w okresie, gdy pełnił funkcję specjalnego przedstawiciela Wielkiej Brytanii ds. handlu (2001–2011). Na początku tego miesiąca „The Telegraph" ujawnił, że w październiku 2010 r. były książę dostarczył Epsteinowi oficjalne raporty ze swoich wizyt w Singapurze, Wietnamie, Hongkongu i Shenzhen w Chinach, sporządzone przez Amita Patela, jego ówczesnego asystenta. Miał je przesłać zaledwie pięć minut po otrzymaniu ich od Patela.

W swoim niesławnym wywiadzie dla programu BBC „Newsnight" w 2019 r. zarzekał się, że ostatni raz widział Epsteina na początku grudnia 2010 r., aby powiedzieć mu, że zrywa ich przyjaźń. Jednak e-maile opublikowane przez amerykański Departament Sprawiedliwości pokazują, że w Wigilię tego samego roku wysłał Epsteinowi wiadomość z poufnym raportem na temat możliwości inwestycyjnych w afgańskiej prowincji Helmand, której odbudowa była finansowana przez rząd Wielkiej Brytanii. Szczegółowo opisał w nim możliwości biznesowe, w tym „znaczne złoża mineralne o wysokiej wartości" oraz „potencjał taniego wydobycia" surowców, w tym złota, irydu, uranu, toru, marmuru, ropy naftowej i gazu. Mało tego, planował założyć w Chinach wspólny biznes z amerykańskim finansistą, wówczas przebywającym w więzieniu po skazaniu za przestępstwa seksualne. Rozmowy biznesowe obu mężczyzn prowadzone za pośred-

eprasa.pl 1560eb7ad6

nictwem łącznika, niemieckiego biznesmena Davida Sterna, trwały nawet pięć lat po wyjściu Epsteina z więzienia.

Ponadto – jak twierdzi agencja Bloomberg – Andrzej i jego była żona Sarah Ferguson wykorzystywali bogatych szejków z Bliskiego Wschodu, których przedstawiał im Epstein, jako dojne krowy. W 2011 r. Ferguson przyznała, że wzięła pożyczkę od Epsteina, by spłacić długi.

Pośród strumienia biznesowych wymian są setki e-maili o kobietach, z którymi spotykał się były książę Yorku, często na polecenie Epsteina. Na ujawnionych zdjęciach uśmiechnięty brat króla obmacuje młode kobiece ciała. Jedną z tych kobiet miała być Virginia Giuffre, która utrzymywała, że w 2001 r., gdy miała 17 lat, została zmuszona przez Epsteina do seksu z księciem Andrzejem. I to aż trzykrotnie. On stanowczo zaprzeczył, jakoby ją „kiedykolwiek poznał", ale w 2022 r. zawarł ugodę z Giuffre po tym, jak wzniosła przeciwko niemu skargę do sądu. Ówczesny książę miał jej zapłacić aż 16 mln dol. Część tej sumy, 3 mln dol., miała dostarczyć królowa Elżbieta. W kwietniu 2025 r. Giuffre popełniła samobójstwo. Gdy pośmiertnie ukazały się jej wspomnienia, w których znów jest mowa o Andrzeju, był on zmuszony do zrzeczenia się swoich tytułów królewskich, w tym tytułu księcia Yorku, a następnie wyprowadził się z Royal Lodge, rezydencji królewskiej położonej na terenie tzw. Wielkiego Parku w Windsorze.

RÓWNY WOBEC PRAWA?

Być może miał nadzieję, że na tym się skończy, ale wydaje się, że premier Keir Starmer – pozostający pod ogromną presją, odkąd wyszło na jaw, że jego partyjny kolega, do niedawna ambasador Wielkiej Brytanii w USA, a w przeszłości komisarz UE lord Mandelson był lobbystą Epsteina (za niemałe wynagrodzenie) – jest zmuszony do działania. Prywatny samolot przestępcy seksualnego zwany „Lolita Express" latał do Wielkiej Brytanii aż 90 razy i Brytyjczycy chcą wiedzieć, kto nim podróżował i po co. Andrzej miał być pasażerem co najmniej jednego z tych lotów.

Lista chętnych do przesłuchania byłego księcia w sprawie jego znajomości i czynów związanych z Epsteinem stale się wydłuża. Oprócz Kongresu Stanów Zjednoczonych i brytyjskiej policji także przewodniczący wpływowej komisji ds. biznesu i handlu brytyjskiego parlamentu chce go przepytać na temat tajemnic handlowych, które mógł zdradzić zmarłemu w 2019 r. przestępcy seksualnemu. Jak wynika z sondażu IPSOS zrealizowanego dla GB News, 82 proc. Brytyjczyków uważa, że Karol powinien skłonić brata do zeznań, a zaledwie 28 proc. sądzi, że kroki podjęte dotychczas przez króla były wystarczające.

Przejrzystość działań rodziny królewskiej – a raczej jej brak – stała się również problemem dla społeczeństwa. Tylko 40 proc. ankietowanych uważa, że rodzina królewska stała się bardziej otwarta od czasu wstąpienia na tron Karola III. Mimo iż ten wspiera policyjne śledztwo dotyczące brata. Mnożą się także apele o surową karę dla byłego księcia, coś więcej niż „odebranie tytułu".

Tyle że może to nie być łatwe. Wprawdzie premier Starmer zadeklarował, że „wszyscy są równi wobec prawa i nikt nie stoi ponad prawem", ale Andrzej ma długą historię unikania odpowiedzialności.

Historyk Andrew Lownie, autor książki „Roszczeniowi: wzlot i upadek rodu Yorków" („Entitled: The Rise and Fall of the House of York") o stylu życia i zachowaniu byłego księcia oraz jego byłej żony, rozmawiał z ponad 300 dyplomatami i przedstawicielami rodziny królewskiej. Niektórzy z nich przyznali, że Andrzej korzystał z usług prostytutek podczas oficjalnych wizyt rządowych i wszyscy o tym wiedzieli. Według Lowniego urzędnik, który odważył się coś powiedzieć, często nie był awansowany. „Dziesiątki ambasadorów i dyplomatów nigdy nie ujawniło nieprawidłowości, być może setki funkcjonariuszy ochrony oraz policjantów przymykało na to oko" – czytamy. Dla byłego księcia i jego byłej małżonki liczyły się gównie pieniądze. Lubili żyć na wysokiej stopie i sami wykorzystywali Epsteina do nawiązania lukratywnych kontaktów, w tym z podejrzanymi oligarchami. Według agencji Bloomberg jednym z takich kontaktów był kazachski miliarder Timur Kulibajew, zięć byłego prezydenta Kazachstanu Nursułtana Nazarbajewa, który odkupił od Andrzeja dom w Sunninghill Park za cenę o wiele wyższą niż rynkowa. Dlaczego? Tego się pewnie nie dowiemy. Oficjalne dokumenty dotyczące okresu, gdy był on wysłannikiem handlowym, mają pozostać utajnione przez 60 lat, czyli jeszcze długo po śmierci byłego księcia.

> Od historycznego przywrócenia monarchii w Anglii i Szkocji w 1660 r. żaden członek rodziny królewskiej nie został aresztowany. Andrzej właśnie zerwał z tą zacną tradycją

Nie zmienia to faktu, że aresztowanie starszego członka rodziny królewskiej –ósmego (wciąż) w kolejce do tronu – jest bezprecedensowym zdarzeniem w nowożytnej historii Wysp Brytyjskich. Równie szokująca jest beztroska, z jaką były już książę podchodził do spraw państwowych. Po katastrofalnym wywiadzie dla „Newsnight", podczas którego nie potrafił oddalić od siebie podejrzeń związanych z Epsteinem, nawiązał kontakt z chińskim biznesmenem Yangiem Tengbo oraz zaczął wysyłać kartki urodzinowe Xi Jinpingowi. Lukratywne kontrakty w Chinach miały mu pomóc poprawić wizerunek. Stało się dokładnie odwrotnie. Brytyjskie MSW zakazało Tengbo wjazdu do Wielkiej Brytanii, sugerując, że jest on szpiegiem przeprowadzającym na Wyspach operacje wpływu. Z dokumentów sprawy – jak pisał „Guardian" – wynikało, że pałac w Windsorze „przecieka bardziej niż dziurawe sito". Chińscy biznesmeni wchodzili tam i wychodzili bez najmniejszego problemu. Oczywiście sprawa byłego księcia dotyczy nadużywania stanowiska, przekazywania tajemnic handlowych i ostatecznie przestępstw seksualnych. Ale w świetle tego, co wyszło na jaw, pozostaje życzyć Brytyjczykom mądrzejszych monarchów, książąt oraz księżniczek. Oraz zdecydowanie mniej naiwnych i pazernych.

eprasa.pl 1560eb7ad6



Na polskim szlaku



ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

Kamień, wpadając w wodę, rozbija jej powierzchnię i rozbryzguje krople dookoła. Tak samo jak rosyjska napaść na Ukrainę, która wstrząsnęła krajem i rozrzuciła wielu jej mieszkańców w różne strony. Ta wielka wojna trwa już cztery lata

Ukraińcy z całego kraju, a także spoza niego, dobrowolnie zasilali szeregi obrońców i ruszali do walki z najeźdźcami. Wojenna rzeczywistość rozrywała wiele rodzin. Mężowie, synowie, bracia ruszali na front, by ich matki, żony i dzieci mogły w tym czasie szukać bezpiecznego schronienia – często za granicą.

Cywilne lotnictwo na Ukrainie zostało uziemione w pierwszych godzinach rosyjskiej napaści. Promy przestały wypływać na kontrolowane przez wrogą flotę Morze Czarne. Jedyna droga wyjazdu z napadniętego kraju wiodła lądem. Masy ludzkie ruszyły na zachód, uznawany za w miarę bezpieczny kierunek ucieczki. Część wiedziała, dokąd jedzie i kto ich przyjmie. Inni wyruszali w nieznane. Okoliczności zmuszały wszystkich do podejmowania błyskawicznych i brzemiennych w skutki decyzji. Napływające zewsząd pełne grozy i często sprzeczne informacje pogłębiały zamęt i niepewność. Wszyscy chcieli dotrzeć do granicy i jak najszybciej znaleźć się po jej drugiej stronie.

Nawet pobieżny rzut oka na mapę wystarcza, by zrozumieć, dlaczego najczęściej tym upragnionym celem była nasza granica. Pomiędzy Ukrainą a Rumunią, Węgrami i Słowacją leżą Karpaty. Zimą droga do nizinnych, liczniejszych i lepiej skomunikowanych polskich przejść granicznych stanowiła rozsądniejszy wybór. Z kolei stacjonujące w separatystycznym Naddniestrzu rosyjskie oddziały wojskowe skutecznie zniechęcały każdego, kto choćby pomyślał o podróży do Mołdawii.

W ŚWIAT

Pierwsze tygodnie wojny wspominam jako wybuch polsko-ukraińskiego braterstwa. Tysiące Polaków otworzyło swoje serca i domy dla obcych ludzi uciekających przed nowym zagrożeniem – w erze wygasającej pandemii koronawirusa. Jako jedni z wielu zapełniliśmy z kolegą bagażnik jedzeniem i jeszcze w lutym pojechaliśmy na granicę z Ukrainą. Spływająca z całego kraju pomoc była tak obfita, że z trudem znaleźliśmy ośrodek dla uchodźców, który przyjął od nas żywność. Na przemyskim dworcu kolejowym dziesiątki naszych rodaków oferowało uchodźcom darmowy transport do nawet najdalszych zakątków Polski.

eprasa.pl 1560eb7ad6



IRYNA Z DWÓJKĄ DZIECI

W Ośrodku Pomocy Społecznej w Lubyczy Królewskiej spotkaliśmy Irynę z dwójką dzieci. Potrzebowali dostać się do Warszawy. Bez zbędnej zwłoki umieściliśmy ich walizki w pustym już bagażniku, a ich samych zaprosiliśmy na tylną kanapę i ruszyliśmy w drogę.

Była to pierwsza z Ukrainek, których historie poznałem dzięki temu, że ich uchodźcza droga wiodła przez Polskę. Dla Iryny nasz kraj był krótkim przystankiem. W Warszawie przenocowała u przyjaciółki ze szkolnych lat, która wyemigrowała kilka lat wcześniej, i następnego dnia z dziećmi dotarła do Czech. Od czasu do czasu kontaktujemy się przez internet. Później dowiedziałem się, że podróż z miasteczka pod Lwowem do Polskiej granicy zajęła jej niemal dwa dni. Drogi były całkowicie zakorkowane, kobieta w desperacji porzuciła swój samochód i z dziećmi wsiadła do przepełnionego autokaru. Wiele godzin przesiedzieli na schodach autobusu, który powoli, ale jednak jechał w kierunku polskiej granicy. Długo po tych wydarzeniach napisała, że dopiero w moim samochodzie na trasie do Warszawy poczuła się bezpiecznie i po raz pierwszy od opuszczenia domu zasnęła.

Teraz dzieci Iryny uczą się w czeskiej szkole. Ona sama też już opanowała nowy język. Na początku pracowała jako kelnerka w hotelowej restauracji, obecnie z powodzeniem prowadzi działalność gospodarczą. W Polsce bywa przejazdem, w drodze na i z Ukrainy.

OLGA Z MATKĄ

Poznałem ją w marcu 2022 r. w jej rodzinnym mieście. Razem z Olgą, fotografem z Odessy, kilka razy podróżowaliśmy po Ukrainie, dokumentując zniszczenia i wywiady z ofiarami wojny. Dzięki niej udawało się docierać w miejsca, do których obcokrajowcy nie mieli wstępu, a także rozmawiać z ludźmi, których samemu nigdy bym nie poznał, a nawet nie wiedział o ich istnieniu.

Ugościłem ją w Warszawie, kiedy przyjechała na koncert ukraińskiego zespołu Boombox. Dwa tygodnie spędzone w Polsce pozwoliły jej uspokoić nadwątlone nerwy. Niemal codzienne ataki rakietowe na Odessę, w której mieszkała z mamą i babcią, doprowadziły ją na skraj nerwicy. Po powrocie do domu przez długi czas nie mogła znaleźć pracy. Stan zdrowia nie pozwolił jej na wstąpienie do wojska, choć bardzo tego chciała.

Ponownie przyjechała do Polski, tym razem tylko na kilkanaście godzin. Z Krakowa poleciała do Hiszpanii. Radzi sobie, podejmując się dorywczych zajęć. Zimy spędza w Gruzji, gdzie pracuje jako instruktor narciarski. Zarobionymi pieniędzmi dzieli się z rodziną na Ukrainie i wspiera wolontariuszy.

W 2024 r. wróciła do Odessy na pogrzeb zmarłej babci. Pod koniec ubiegłego roku rosyjska rakieta eksplodowała pod blokiem jej mamy. Mieszkanie, w którym razem żyły, poważnie ucierpiało. Ten atak przeważył szalę – jej mama pokonała strach przed emigracją i z Olgą wyjechała do Hiszpanii. Kiedy wrócą do Odessy? Nie wiedzą, czy w ogóle.

MARINA I TAMARA

Marinę spotkałem na warszawskiej Starówce. Łamaną polszczyzną pytała o drogę. Z zaskoczeniem przyjęła informację, że rozumiem po rosyjsku i trochę też po ukraińsku. Była jeszcze bardziej zdziwiona, kiedy dowiedziała się, że jeżdżę na Ukrainę jako korespondent. Spotkaliśmy się jeszcze kilka razy. Jej mąż służył w wojsku jako lekarz. W pierwszych dniach wojny zabrała do ich niedużego auta czwórkę dzieci, suczkę spanielkę, a w wolnych miejscach poutykała trochę ubrań. I ruszyła w świat. Nietypowo, bo przez Węgry i Słowację, do Warszawy.

Podróż trwała kilka dni. Najtrudniej było na Węgrzech, bo w małej miejscowości o niewymawialnej nazwie, w której zatrzymali się na noc, nie byli w stanie porozumieć się z kimkolwiek. Finalnie głównie na migi wytłumaczyli, że przyjechali z Ukrainy. Bratankowie przyjęli ich serdecznie. Nakarmili i znaleźli im nocleg, nie chcieli zapłaty.

W Warszawie zamieszkała u koleżanki z klasy, czyli Tamary i jej dwóch córek. Tamarę poznałem później, kiedy poproszony o pomoc przez Marinę pomagałem znaleźć jej inne mieszkanie – właściciel wymówił im wynajem ze względu na hałas. Sześcioro dzieci na niewielkim metrażu faktycznie mogło zachowywać się zbyt głośno.

W Kijowie Marina była laryngologiem, ale po urodzeniu czwartego dziecka nie była w stanie pogodzić pracy w szpitalu z opieką nad rodziną. Przekwalifikowała się i została nauczycielką wychowania początkowego, pracowała w przedszkolu. W Warszawie imała się wszelkich zajęć, by utrzymać dzieci. Sprzątała siłownie, sprzedawała na kasie, szyła w szwalni. A także zdalnie studiowała psychologię na Uniwersytecie Lwowskim.

Jej dzieci zawierały nowe przyjaźnie, najstarsza córka zdała polską maturę i rozpoczęła studia w Warszawie. Marina planowała przyjechać do Warszawy na krótko i wrócić do domu, kiedy sytuacja na Ukrainie się uspokoi. Ale czas płynie, jako laryngolog znalazła lepszą pracę. Jej dzieci zakorzeniły ją w Polsce na tyle mocno, że powrót staje się coraz trudniejszy. Tym bardziej że jej małżeństwo nie przetrwało próby czasu...

Czego nie udało się Marinie, zrealizowała Tamara – choć trzeba przyznać, że było jej trochę łatwiej. Przed wojną pracowała zdalnie dla zagranicznej

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 1560eb7ad6

firmy produkującej gry komputerowe. Jako grafik tworzyła trójwymiarowe cyfrowe postacie. W lutym 2022 r. dostała pełne wsparcie od pracodawcy i dodatkowe dni wolne na przeniesienie się w bezpieczne miejsce. Wybór padł na Warszawę, skąd pracowała dla tego samego przedsiębiorstwa. Jej mąż, zawodowy wojskowy, walczył na froncie. Ale nawet wojna nie zatrzymuje chorób. Musiał odejść z wojska, kiedy wykryto u niego raka.

Wtedy Tamara spakowała córki i pociągiem wróciła z nimi do Kijowa do chorego męża. Mieszkają w domu pod ukraińską stolicą. Bywa, że co noc budzą ich alarmy przeciwlotnicze i we czworo kryją się pod schodami. Żyją jak mogą. Ona – pracując i zajmując się przyszłością ich dzieci, on – organizując pomoc dla byłych towarzyszy broni. Walczy też dzielnie ze swoją chorobą.

WYBÓR LARYSY

W marcu 2022 r. po raz pierwszy przyjechałem do Odessy. Przyglądałem się kotom w jednym z parków, kiedy zauważyłem, że jestem pod baczną obserwacją. Zakapturzoną osóbką śledzącą każdy mój krok okazała się Larysa. Młoda kobieta zaalarmowana moim „nieukraińskim wyglądem" obawiała się, że mogę być szpiegiem. Przedstawiłem się i pokazałem polski paszport. W tym czasie na Ukrainie orzeł w koronie kojarzył się z bezpieczeństwem, ale przede wszystkim symbolizował ogrom pomocy udzielanej uchodźcom. Takie czasy. Lepiej mieć oko otwarte na podejrzanego typa. Na początku było niemiło, ale dobrze się skończyło. Jak w filmie.

Larysa oprowadziła mnie po mieście, ja zaprosiłem ją na obiad. Pytana, dlaczego jak wielu innych nie wyjechała do Polski, twierdziła, że w Odessie ma pracę, a poza Ukrainą nie zna nikogo. Nie wyobrażała sobie życia gdzie indziej. Wymieniliśmy się kontaktami i już nigdy się nie spotkaliśmy.

Kilka miesięcy później, kiedy byłem już w Warszawie, niespodziewanie napisała do mnie. Po ciężkim nalocie, kiedy zatrzęsło całym jej domem, postanowiła wyjechać z Odessy. Pytała, czy nie wiem, gdzie mogłaby znaleźć pracę. Wysłałem jej kilka namiarów z ofertami dla Ukraińców. Zatrudniła się w jednej z licznych mieleckich fabryk. Dziś, niemal po czterech latach, kiedy nie chciała wyjeżdżać z Ukrainy, ma polskiego męża i złożyła wniosek o przyznanie obywatelstwa.

ANIA Z BARU

Ania mówi biegle po polsku. Języka nauczyła się w Kościele katolickim. Wybuch wojny zastał we Lwowie. Poznaliśmy się na tamtejszym dworcu kolejowym, gdzie jako wolontariusz pomagała uchodźcom.

Mimo wielu okazji i możliwości łatwiejszego startu – z powodu znajomości języka – nie wyjechała do Polski. Nie myśli o życiu poza Ukrainą. Głęboko wierzy, że uda się zwalczyć tamtejsze patologie – z korupcją na czele, i jej kraj podąży drogą Polski ku Zachodowi.

Ale w ubiegłym roku także u Ani pojawił się polski epizod. Młodsza siostra kobiety i jej chłopak, którzy mieszkają w Warszawie, postanowili się pobrać. Okazało się, że przyszła panna młoda z narzeczonym mieszkają kilka domów ode mnie. Nie mogłem nie pomóc. Odebrałem Anię i jej mamę z Dworca Wschodniego, gdzie wysiadły z pociągu z Lwowa, i zawiozłem na miejsce. Kilka dni spędzone w Warszawie były jej pierwszą wizytą w Polsce. Na pewno nie ostatnią, bo już zapowiedziała, że będzie pomagała siostrze przy dziecku, którego się spodziewa.

„Moje miejsce jest na Ukrainie" – podkreśla Ania. Nie chciałaby z niej wyjeżdżać. Ma nadzieję, że wkrótce nastanie pokój i kraj wyjdzie na prostą. Ale gdyby Ukraina całkowicie znalazła się w strefie rosyjskich wpływów, z władzami z moskiewskiego nadania, to nie widzi się w takim państwie.

Po czterech latach wojny Ukraińcy żyją w wolnym państwie i mówią to, co chcą. Ania, Larysa, Olga...

* * *

Losów uchodźców jest tyle, ilu ich samych. Nie sposób opisać wszystkich, choćby w najgrubszej książce, a co dopiero w artykule. Każdy z pracujących na kasie, sprzątających, podających posiłki, prowadzących swoje firmy czy trudniących się czym innym, a także bezrobotny Ukrainiec – i częściej Ukrainka – zostawili za sobą swój świat. Nie wyjechali ze swojego kraju z własnej woli. Większość z nich, gdyby nie musiała, zostałaby w rodzinnych stronach. Zmuszeni do życia na obczyźnie stracili pewną cząstkę swojej tożsamości. Pamiętajmy o tym! W końcu my, Polacy, wielokrotnie byliśmy w podobnej sytuacji.

Część imion bohaterek została zmieniona.

Napisana w 1983 r. przez Jacka Kaczmarskiego piosenka „Nasza klasa" w 2024 r. doczekała się ukraińskiej wersji, opowiadającej o emigracji podczas trwającej wojny. Adaptacji dokonał politolog Ołeksandr Szewczenko z Uniwersytetu Warszawskiego. Ukraińska aktorka Ola Borodkina zamieściła na YouTube nagranie ze swoim wykonaniem tej wersji.



Co się stało z naszą klasą,
pisze Ania z Tel Awiwu,
a sama była z Donbasu,
pracowała w archiwum.
Co się stało z naszą klasą?
Paszka w Oslo myje okna,
był sportowcem, pływał żabką,
teraz żyje bardzo biednie,
teraz żyje biednie.

Lenka z Sańką jest w Kanadzie,
bo tam mają perspektywy,
a Loszka ma posadę, dobrze tam zarabia.
Dima nie wychodzi z domu,
bo on boi się łapanki.
Nie założy on munduru
i pojedzie do Warszawy,
jakoś wyjedzie do Warszawy.

A ten Witka został bohaterem,
poszedł na front najpierwszy
i za zwiad bojem
został odznaczony pośmiertnie,
odznaczony pośmiertnie.

Katia wyszła za Hiszpana
i teraz żyje w Madrycie.
Nie kocha wybranka,
ale jakież tam są krajobrazy,
obce tam krajobrazy.

I to wszyscy, którzy mieli być,
pisze Ania z centrum Wiednia,
jak mamy nie zapomnieć.
że mamy wspólne korzenie,
że mamy wspólne korzenie?

Tłumaczenie bez adaptacji Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 1560eb7ad6



Walka o dobre imię żołnierzy wyklętych trwa

Nikt nie wyręczy nas w przekazywaniu kolejnym pokoleniom prawdy o tych, którzy walczyli i ginęli za wolną Polskę

Z Janem Józefem Kasprzykiem, historykiem, doradcą prezydenta RP, przewodniczącym Rady ds. Kombatantów, Osób Represjonowanych i Działaczy Opozycji Antykomunistycznej przy Prezydencie RP, rozmawia Stanisław Płużański



Zbliża się Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Jakie znaczenie ma to święto dziś, po ponad 15 latach od jego ustanowienia?

Jan Józef Kasprzyk: Przypomnijmy, że święto zostało zainicjowane przez śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego oraz śp. prof. Janusza Kurtykę, prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Celem było wyznaczenie w kalendarzu dnia poświęconego żołnierzom podziemia niepodległościowego, którzy po 1945 r. uznali, że niemiecką okupację zastąpiło nowe, sowieckie zniewolenie i kontynuowali walkę aż do 1963 r. Był to najdłuższy zryw niepodległościowy w naszych dziejach, a w strukturach podziemnych działało ok. 200 tys. osób. Dlatego od lat nadajemy mu właściwą nazwę – powstanie antykomunistyczne. Czynił to Karol Nawrocki, gdy był prezesem INP, czyniłem to ja, gdy kierowałem Urzędem ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Dziś znaczenie tego święta jest szczególne, ponieważ powrócił spór o żołnierzy wyklętych. W istocie nie dotyczy on jednak pojedynczych postaci, lecz oceny rzeczywistości po II wojnie światowej – tego, czy Polska była wówczas państwem suwerennym. Tę debatę ożywiły środowiska wywodzące się z dawnego aparatu władzy PRL. Dla nich 1945 r. oznaczał przejęcie kontroli nad państwem przez grupę polityczną wspieraną przez Kreml. W tym środowisku kształtowały się kariery wielu osób życia publicznego, m.in. Włodzimierza Czarzastego. Z tej perspektywy jest zrozumiałe, że pamięć o podziemiu niepodległościowym pozostaje dla nich niewygodna. Żołnierze podziemia podejmowali walkę o suwerenność, a komunistyczny aparat bezpieczeństwa utrwalał system podporządkowany sowieckiej Rosji. Próby przedstawiania tamtych wydarzeń jako „wojny domowej", w której racje rozkładały się po obu stronach, prowadzą do fałszywej symetrii

Fot. Domena Publiczna, Przemysław Keler/KPRP

eprasa.pl 1560eb7ad6

między obrońcami niepodległości a tymi, którzy budowali system zniewolenia.

W ostatnich latach widać także próby relatywizowania historii w życiu publicznym, co prowadziło do kuriozalnych sytuacji. Z jednej strony upamiętniano bohaterów podziemia, z drugiej – z honorami państwowymi żegnano m.in. Wojciecha Jaruzelskiego, który brał udział w zwalczaniu żołnierzy wyklętych. Przypominano postacie takie jak „Inka", „Zapora" czy „Łupaszka", a w tym samym czasie organizowano Europejski Kongres Kultury we Wrocławiu, gdzie honorowym gościem był Zygmunt Bauman, który jako oficer KBW był członkiem komunistycznego aparatu represji. Były to próby zmiękczenia oceny przeszłości.

Dziś, gdy środowiska postkomunistyczne ponownie współuczestniczą w rządzeniu, działania te przybierają na sile. Przykładem jest skandaliczny projekt ustawy przewidujący odszkodowania dla rodzin osób, które zginęły z rąk członków podziemia, sugerując, że były to ofiary działań motywowanych względami etnicznymi czy religijnymi. Tymczasem w zdecydowanej większości przypadków chodziło o osoby współpracujące z komunistycznym aparatem bezpieczeństwa. Szczególnie kuriozalne jest to, że wypłatą takich odszkodowań miałby się zajmować Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, czyli instytucja powołana w celu dbania o pamięć o polskich bohaterach i ofiarach represji.

Na ile obecne ataki na członków powstania antykomunistycznego są zbieżne z komunistyczną propagandą?

Wypowiedzi polityków takich jak Włodzimierz Czarzasty powielają narrację znaną z czasów PRL. Nie jest to zaskoczenie – w końcu mówimy o zdeklarowanym postkomuniście, który wielokrotnie powtarzał, że Armia Czerwona wyzwoliła Polskę. Powraca schemat dzielenia żołnierzy wyklętych na „dobrych" i „złych", akceptowania jednych postaci przy jednoczesnym potępianiu innych. Dla mnie skandaliczny jest udział obecnego kierownictwa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych w obchodach upamiętniających sowiecką agenturę, czyli Armię Ludową i Gwardię Ludową, przy jednoczesnym wymazywaniu pamięci o Narodowych Siłach Zbrojnych. Podczas niedawnych uroczystości związanych z przekształceniem ZWZ w AK 14 lutego z apelu pamięci wykreślono NSZ. To sposób myślenia charakterystyczny dla dawnej propagandy. Równocześnie znów pojawiają się próby relatywizowania historii: mówi się nie tylko o „wojnie domowej", lecz także sugeruje, że zryw podziemia był z góry skazany na klęskę i pozbawiony sensu.

Tymczasem wielu historyków podkreśla, że ten opór miał realne znaczenie. Utrudnił pełną sowietyzację kraju, powstrzymywał przymusową kolektywizację wsi, zwracał wolność więzionym przez bezpiekę patriotom, chronił lokalne społeczności przed represjami i stanowił sygnał dla Zachodu, że Polska nie godzi się na narzucony system. Walka miała konkretne skutki polityczne i społeczne.

Błędne jest także oddzielanie walki z lat 1939–1945 od tej prowadzonej po wojnie. W ogromnej mierze prowadzili ją ci sami ludzie, którzy rozpoczęli konspirację w czasie okupacji niemieckiej i sowieckiej, a po 1945 r. kontynuowali ją w przekonaniu, że Polska nie odzyskała suwerenności. Dlatego uważam, że nie była to „druga konspiracja", lecz dalszy ciąg tej samej walki o niepodległość.

Obecna władza – mówiąc delikatnie – nie wspiera ani badań naukowych dotyczących powstania antykomunistycznego, ani nie upamiętnia zrywu.

W praktyce jedyną instytucją, która konsekwentnie prowadzi badania i działania upamiętniające powstanie antykomunistyczne, pozostaje Instytut Pamięci Narodowej, któremu obecna większość rządowa radykalnie ogranicza budżet. IPN działa przy wyraźnym wsparciu prezydenta RP Karola Nawrockiego, który aktywnie angażuje się m.in. w organizację obchodów 1 marca. Po stronie rządowej zaangażowanie w upamiętnianie żołnierzy niezłomnych jest praktycznie zerowe. W ubiegłym roku podczas obchodów 1 marca nie było żadnego przedstawiciela władzy. Zrezygnowano także z tradycji organizowania w tym dniu przysiąg żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej, których brygady często noszą imiona bohaterów powstania antykomunistycznego.

Kulminacją jest skierowanie do Sejmu projektu ustawy uderzającej w dobre imię podziemia niepodległościowego. Tego rodzaju działania mają wpływ na opinię publiczną, a skutki widać w badaniach społecznych. W ubiegłym roku odnotowano wysoki odsetek osób deklarujących postawy określane jako ojkofobiczne, aż 14 proc. było wrogich wobec własnego państwa i tradycji.

W jaki sposób przeciwdziałać temu, co robi obecna władza?

Kluczowe znaczenie mają oddolne inicjatywy. To społecznicy przez lata przechowywali pamięć o wyklętych. Dziś w całym kraju organizowane są uroczystości, odsłaniane pomniki, prowadzone działania edukacyjne, często przy wsparciu IPN i samorządów.

W obecnej sytuacji odpowiedzialność za pielęgnowanie tej pamięci spoczywa przede wszystkim na prezydencie RP, Instytucie Pamięci Narodowej, środowiskach patriotycznych i instytucjach, które pozostają jej wierne. Nikt nie wyręczy nas w przekazywaniu kolejnym pokoleniom prawdy o tych, którzy walczyli i ginęli za wolną Polskę.

Jaką rolę odgrywa Kancelaria Prezydenta RP w procesie przywracania pamięci o bohaterach podziemia?

Te działania trwają od wielu lat i zostały zapoczątkowane przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego. To on miał jeszcze możliwość odznaczania ostatnich żyjących żołnierzy podziemia, wydobywania ich z zapomnienia i przywracania należnego im miejsca w przestrzeni publicznej. Organizo-

eprasa.pl 1560eb7ad6

wał liczne uroczystości i inicjatywy, które później były kontynuowane przez prezydenta Andrzeja Dudę, a obecnie przez prezydenta Karola Nawrockiego.

Jednym z ważnych elementów tych działań są uroczystości wręczania not identyfikacyjnych rodzinom ofiar odnalezionych i rozpoznanych przez Instytut Pamięci Narodowej – ich kolejna odsłona odbędzie się 26 lutego, a więc tuż przed 1 marca. Prezydent obejmuje patronatem liczne inicjatywy społeczne związane z upamiętnianiem żołnierzy niezłomnych, wspiera działania IPN, w tym wystawy i projekty edukacyjne.

Jest także Rada ds. Kombatantów, Osób Represjonowanych i Działaczy Opozycji Antykomunistycznej.

Prezydent powołał ją w grudniu ub.r., nawiązując do rozwiązania funkcjonującego już w czasie prezydentury śp. Lecha Kaczyńskiego. Mam zaszczyt przewodniczyć tej Radzie. W jej skład wchodzą zarówno kombatanci z okresu II wojny światowej i żołnierze powojennego podziemia niepodległościowego, jak i działacze opozycji antykomunistycznej z lat późniejszych, np. Andrzej Gwiazda, Zofia Romaszewska, Andrzej Słowik, Bogusław Sonik czy Romuald Szeremietiew. To osoby reprezentujące różne pokolenia walki o wolną Polskę, od konspiracji wojennej po opór wobec systemu w latach PRL. Wśród członków są znane postacie życia publicznego oraz przedstawiciele środowisk niepodległościowych, w tym potomkowie żołnierzy wyklętych, m.in. Marek Franczak, syn Józefa Franczaka.

Zgodnie z intencją prezydenta Rada ma pełnić funkcję organu doradczego. Jej zadaniem jest wspieranie inicjatyw dotyczących sytuacji życiowej kombatantów i osób represjonowanych, a także opiniowanie działań związanych z polityką historyczną państwa. Istotnym elementem tych prac pozostaje troska o pamięć o powstaniu antykomunistycznym i wszystkich, którzy po 1945 r. walczyli o suwerenność Polski.

A czy młode pokolenie rozumie dziś, kim byli żołnierze wyklęci i o co walczyli?

Dla ludzi urodzonych w wolnej Polsce pojęcie utraty suwerenności jest czymś abstrakcyjnym. Wolność traktują jako oczywistość, dlatego opowiadanie o realiach powojennego zniewolenia jest dziś szczególnie trudnym zadaniem. Dodatkową barierą bywa swego rodzaju egoizm moralny. Pytanie „Po co poświęcać się w imię wspólnoty?" pojawia się częściej niż kiedyś.

> Wypowiedzi polityków takich jak Włodzimierz Czarzasty powielają narrację znaną z czasów PRL. Nie jest to zaskoczenie – w końcu mówimy o zdeklarowanym postkomuniście, który wielokrotnie powtarzał, że Armia Czerwona wyzwoliła Polskę. Powraca schemat dzielenia żołnierzy wyklętych na „dobrych" i „złych", akceptowania jednych postaci przy jednoczesnym potępianiu innych

Jednocześnie widzę wielu młodych ludzi autentycznie zainteresowanych historią. Podczas spotkań z weteranami sale są wypełnione młodzieżą, która z uwagą słucha świadectw o tym, czym jest wolność i jak łatwo ją utracić. Tak było np. w Pałacu Prezydenckim 14 lutego. To budujące. Nie jest więc ani źle, ani całkiem dobrze. Wszystko zależy od naszej pracy i odpowiedzialności za przekazywanie wartości kolejnym pokoleniom. Bo ci, którzy źle życzą Polsce, ci, którzy nie chcieliby Polski suwerennej, bardzo pracują nad tym, żeby gen wolności został wymazany z kodu kulturowego.

Czy pańskim zdaniem jest szansa, że spór o żołnierzy wyklętych kiedyś się zakończy?

Na razie nie, ponieważ dotyczy on fundamentalnej kwestii oceny tego, czym była PRL. Dopóki w przestrzeni publicznej będą środowiska uznające powojenny system za w pełni suwerenny, spór będzie powracał. Uległ natężeniu z winy i inicjatywy obecnego rządu. Aż trudno uwierzyć, że ponad 30 lat od zmian ustrojowych w Polsce postkomuniści nadal mogą być u władzy. Dlatego ten konflikt będzie trwał.

Kluczowe jest to, by państwo polskie prowadziło spójną politykę pamięci, jasno określając, że powstanie antykomunistyczne było walką o niepodległość, tak jak powstania listopadowe, styczniowe, warszawskie. W tym sensie różnica zdań może trwać, ale stanowisko państwa powinno być jednoznaczne i bazować na prawdzie historycznej.

Jakie przesłanie chciałby pan skierować do Polaków z okazji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych?

Wspominając żołnierzy niezłomnych, przywołujemy ludzi, dla których niepodległość była najwyższą wartością. Pamięć o nich nie utrzyma się sama, wymaga naszego zaangażowania. Dlatego zachęcam do obecności na warszawskiej Łączce i na innych uroczystościach w całej Polsce. Wywieśmy 1 marca biało-czerwone flagi, rozmawiajmy w gronie rodzinnym o historii i tych, którzy poświęcili wszystko dla wolnej Polski. Potrzebne jest świadome uczestnictwo w życiu wspólnoty i troska o to, by ta część naszej historii nie została zniekształcona ani zapomniana. Jesteśmy to winni żołnierzom wyklętym, uczestnikom antykomunistycznego powstania.

eprasa.pl 1560eb7ad6



Kintsugi po polsku

Polskie sporty zimowe jeszcze niedawno były grzebane. Ale Środa Popielcowa zrobiła swoje. Choć wielu z nas weszło w okres postu, polscy sportowcy urządzili nam karnawał



MICHAŁ MUZYCZUK

Kiedy niedawno z melancholią wsłuchiwaliśmy się w cichutko rozbrzmiewającą melodię przeszłości, opłakując cudowną epokę „Królowej Śniegu z Kasiny", „Orła z Wisły" i „Rakiety z Zębu", kondycja polskich sportów zimowych wydawała się skuta wieczną zmarzliną. Start Biało-Czerwonych we włoskich igrzyskach otaczała atmosfera przypominająca stypę, na której goście zamiast czarnych garniturów przywdziali albańskie dresy z katalogu globalnego giganta. Ale szybko poznaliśmy japońską sztukę kintsugi, polegającą na spajaniu potłuczonych przedmiotów i podkreślaniu ich pęknięć złotem czy srebrem. Bo przecież pęknięcia to też część historii – i przedmiotów, i ludzi, i narodów. Nasze popękane zimowe ego skutecznie posklejały włoskie medale, same przecież znane ze swojej kruchości.

SZTAFETA

Kiedy na przełomie wieków kraj ogarniała małyszomania, można było przewidywać, że uwielbienie dla podniebnych wyczynów bandy niewielkich facetów jest chwilowe, bo przecież drugiego wąsatego Adama nasze góry szybko nie zrodzą. Ale potem daleko pofrunął Stoch, wysoko wyskoczył Żyła, mocno wybił się Kubacki. I tak od ponad ćwierć wieku zimowe weekendy koja-

Fot. Evgeniy Maloletka/Associated Press/East News

eprasa.pl 1560eb7ad6

rzą się nam z ocenianiem pozycji w locie i gracji telemarku oraz skomplikowanymi obliczeniami opisującymi siłę podmuchów pod narty przeliczoną na odległości podane w metrach. Owszem, ostatnio przy niedzielnych obiadach częściej zawieszaliśmy się nad zawartością talerza, śmielej dyskutowaliśmy o sprawach niezwiązanych z regulaminową szerokością nogawek i częściej ktoś rzucał kontrowersyjną propozycję przełączenia na inny kanał. Ale to już niechlubna przeszłość, wstydliwy epizod. Na skoczniach w Predazzo objawił się nowy anioł z nartami na nogach zamiast skrzydeł na plecach. Polskim sportem narodowym skoki narciarskie są – i basta!

SZTUKA W TRZECH ODSŁONACH

Kacper Tomasiak to unikatowa w skali globalnej hybryda ministranta i skoczka narciarskiego. Ulepiony z twardej podbeskidzkiej gliny Bielszczanin, który nie kończąc drugiej dekady życia, dołączył do sportowego grona olimpijskich multimedalistów. W Predazzo nie tylko skakał – z gracją lewitował, zapominając o Newtonie i jego teorii grawitacji, traktując przyciąganie ziemskie jedynie jako luźną sugestię.

Ten sam chłopak, któremu ojciec w domowym warsztacie skracał narty na pierwsze zawody, na normalnej skoczni niespodziewanie wywalczył srebrny krążek, ustępując jedynie Philippowi Raimundowi. Tym samym zmusił prezesa PKOl do codziennych ćwiczeń z poprawnego literowania nazwiska „Tomasiak", a nie „Tomasik", jak wykrzykiwał do telewizyjnych kamer Radosław Piesiewicz. Niech będzie, że ekscytacja z występu Kacpra jest dla działacza okolicznością łagodzącą i uznajemy to za językowy lapsus – co nie zwalnia z ćwiczeń, bo lapsus powtarzany w końcu stanie się błędem...

Jeśli ktoś myślał, że student krakowskiej Akademii Kultury Fizycznej chciał tylko postraszyć światową czołówkę, to podczas konkursu na dużej skoczni musiał zmienić zdanie. Po pierwszej serii Polak znów zajmował czwarte miejsce, podobnie jak pięć dni wcześniej. Tym razem doskoczył do najniższego stopnia podium. Na najwyższym stanął Domen Prevc, a na drugiej pozycji uplasował się Nikaidō Ren. Polak doczekał się przydomka, chociaż nie jest on przesadnie zgrabny – austriackie media ochrzciły Tomasiaka mianem „polskiego człowieka-niespodzianki". Po cichu liczymy, że określenie się nie przyjmie, bo na pewno stać nas na więcej! Stać było samego zainteresowanego, bo 16 lutego w parze z 27-letnim Pawłem Wąsikiem wywalczył srebrny medal w drużynowym konkursie duetów. Historycznym, bo rozgrywanym na IO po raz pierwszy.

> Na skoczniach w Predazzo objawił się nowy anioł z nartami na nogach zamiast skrzydeł na plecach. Polskim sportem narodowym skoki narciarskie są – i basta!

Zawody odbywały się w koszmarnych warunkach i to właśnie po skoku Tomasiaka w trzeciej serii sędziowie przerwali konkurs i uznali za obowiązujące wyniki po dwóch seriach. Kacper przez dobrych parę minut oczekiwał na belce na zielone światło, marznąc przy tym okrutnie w gęstych opadach mokrego śniegu. Jego nieudana próba stanowiła ostateczny argument za zakończeniem zmagań. Przerwanie konkursu było jedynym sensownym i sprawiedliwym rozwiązaniem, bo w tym przypadku sport zaczynał niebezpiecznie przypominać loterię. Kapelan polskich sportowców ks. Edward Pleń w takim rozstrzygnięciu dojrzał Boską interwencję: „Duch Święty czuwał nad tą śnieżycą wokół skoczni". Srebro Tomasiaka i Wąsika jest najlepszym wynikiem drużynowym polskich skoczków w historii występów olimpijskich.

WŚRÓD NAJLEPSZYCH

Ale to nic w porównaniu z tym, że Tomasiak dołączył do elitarnego grona trójki olimpijczyków, którzy zdobyli trzy krążki na jednych igrzyskach: Ireny Szewińskiej, Otylii Jędrzejczak i Justyny Kowalczyk. Zajmuje również całe podium, jeśli chodzi o najmłodszych zdobywców medali na zimowych igrzyskach. We Włoszech skoczek zarobił łącznie ok. 2 mln zł w różnych formach, więc start w dorosłość ma lepszy niż większość rówieśników. Do tego dojdą poważne zarobki z kontraktów reklamowych, bo nazwisko Tomasiak stało się jedną z najgorętszych marek na rynku.

Ale przecież nie o pieniądze tu chodzi – najcenniejsze młody Polak już otrzymał, a jest to szacunek wielkich mistrzów. Adam Małysz osobiście powitał Tomasiaka w jego rodzinnej Bystrej i wręczył mu figurkę „złotego skoczka", amulet, który otrzymał 24 lata temu na IO w Salt Lake City. Wierzy w młodszego kolegę, bo „jeszcze niejeden złoty medal jest przed nim".

Wyniki Tomasiaka dały też tak upragnione wytchnienie dla trenera reprezentacji skoczków Macieja Maciusiaka i Małysza, który poza byciem legendą sportu i barberstwa zajmuje się również prezesowaniem Polskiemu Związkowi Narciarskiemu. Polski sport narodowy przez ostatnie kilka lat był pogrążony w zimowym śnie, więc obu nieźle się obrywało. Ale już ani oni, ani my nie musimy czekać na lepsze czasy, bo te właśnie nadeszły.

Z kolei Kamil Stoch, komentując brąz na dużej skoczni, wypowiadał się o Tomasiaku w pięknym tonie: „Kacper pisze piękną historię, bynajmniej nie wchodzi w czyjeś buty, zakłada swoje, nowiutkie, świeże. Ma przed sobą, daj mu Panie Boże, mnóstwo lat kariery [...] Mam nadzieję, że takie wyniki jak moje czy Adama będzie pożerał i będzie dużo lepszy niż my razem wzięci". To tym ważniejsze słowa, że niegdysiejszy mistrz olimpijski w Predazzo żegnał się z igrzyskami. Zajął 21. miejsce na dużej skoczni i był niepocieszony, ale niestety czas jest jedynym rywalem, którego nie da się przeskoczyć, nawet

eprasa.pl 1560eb7ad6



Władimir Siemirunnij biegnie po srebrny medal

przy idealnym wietrze. Stoch wciąż jest i zapewne jeszcze przez najbliższe parę lat będzie najlepszym zimowym olimpijczykiem w historii Polski. Jego trzy złote medale indywidualne zapewniły mu nieśmiertelność.

Z ROSJI DO TOMASZOWA

W momencie pisania tego artykułu Polacy zdobyli cztery medale, więc łatwo wyliczyć, że gdyby skoczka z Bystrej wyrzucić poza nawias włoskiego równania, mielibyśmy na koncie jeden krążek. Ale za to będący fascynującym przypisem do historii polskiego sportu w tej dekadzie. Srebro wywalczone na lodowym torze w Mediolanie przez Władimira Siemirunnija na długim dystansie ma w sobie nutę geopolitycznego pragmatyzmu i czystej, ludzkiej wdzięczności. Panczenista z rosyjskim rodowodem wyjechał z ojczyzny po inwazji na Ukrainę, jednak nie od razu, tylko w 2023 r. Osiadł w Tomaszowie, gdzie odnalazł spokój i profesjonalne warunki do treningu. Starania Polskiego Związku Łyżwiarstwa Szybkiego przyniosły efekt i od sierpnia 2025 r. po decyzji prezydenta Karola Nawrockiego Siemirunnij ma polski paszport. Chociaż trzeba uczciwie zaznaczyć, że rosyjskiego nie oddał.

Kiedy świeżo upieczony Polak stał się świeżo upieczonym srebrnym medalistą olimpijskim, podziękował swojemu „polskiemu tacie", jak nazwał Konrada Niedźwiedzkiego z PZŁS. To właśnie dzięki jego wysiłkom Władimir najpierw zdołał uciec z Jekaterynburga do Polski, a potem uzyskać obywatelstwo i reprezentować nasz kraj. I jest za to wdzięczny, czemu dał upust we wzruszającym wpisie na socjalach: „Mój dom jest w Polsce. Dziękuję bardzo każdemu Polakowi, że wierzył we mnie. To, co dostałem, nie było na marne. Wszystko to, co mówiłem, że zrobię, wykonałem".

Siemirunnij prędko stał się obiektem internetowych przepychanek, gdy został zaatakowany przez ukraińską diasporę za to, że przez okres od rosyjskiej agresji do przyjazdu do Polski startował pod flagą Rosji. Swojego podopiecznego szybko wziął w obronę Niedźwiedzki, pisząc: „Ja rozumiem, że w paszporcie ma miejsce urodzenia nie polskie, ale w Polsce mieszka, jest w polskim klubie, ma polską dziewczynę, mówi po polsku, ma wyuczony hymn »Mazurka Dąbrowskiego«, który śpiewał już w Tomaszowie".

Siemirunnij nie jest „naturalizowanym najemnikiem", jakich wielu w reprezentacjach Kataru czy innych naftowych potęg. To człowiek, który na lodzie spłaca dług, o którym nikt mu nie przypominał, ale który on sam postanowił uregulować z nawiązką. Srebro na 10 000 m spełnia wszelkie przesłanki wypełnienia tego zobowiązania.

TAK BLISKO

Igrzyska to jednak nie tylko ceremonie medalowe – to w większości ból tych, którzy zatrzymali się na progu raju. Damian Żurek w sprincie panczenistów doświadczył traumy, którą można porównać jedynie do spóźnienia się na ostatni pociąg o ułamek sekundy. Czwarty na mecie, o setne części sekundy za podium – w łyżwiarstwie szybkim to odległość mniejsza niż grubość ostrza, ale przepaść między wiecznością a zapomnieniem. Podobnie nasze biathlonistki w sztafecie – szóste miejsce to wynik historyczny, biorąc pod uwagę lata niecelnego strzelania, ale pozostawiający ogromny niedosyt. Dziewczyny biegły tak, jakby goniły uciekające marzenia o sprawiedliwym systemie finansowania sportu.

Igrzyska we Włoszech w wielu aspektach są dla Polaków lepsze, niż można się było spodziewać. W cieniu strzelistych iglic katedry w Mediolanie i surowego piękna Dolomitów, gdzie powietrze smakuje jak zmrożone prosecco, a słońce operuje po skrzącym się śniegu z bezczelnością godną młodych kochanków, zimowa reprezentacja postanowiła napisać manifest, którego nikt się nie spodziewał. A jednak w 2026 r. w kolebce renesansu doczekaliśmy się własnego Rinascimento.

Fot. IMAGO/Andre Weening/Imago Sport and News/East News

eprasa.pl 1560eb7ad6



– Uświadomiłem sobie, że są historie, które nie dają spokoju. I jeśli tak jest, to znaczy, że trzeba je opowiedzieć – mówi Łukasz Palkowski, reżyser filmu „Pojedynek”, w rozmowie z tygodnikiem „Sieci”

To ostatecznie *jest film* o wolności

Fot. Mateusz Grochocki/East News

eprasa.pl 1560eb7ad6



Z Łukaszem Palkowskim, reżyserem filmu „Pojedynek”, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Od jakiego zdarzenia, impulsu zaczęła się pańska droga do filmu „Pojedynek”?

Łukasz Palkowski: Praca filmowca jest o tyle ciekawa, że sami nie wiemy, gdzie się za chwilę znajdziemy, w jaką opowieść zostaniemy wciągnięci. Lubię ten moment, kiedy siadam do scenariusza bez żadnych oczekiwań, bez nadziei, bez obaw – po prostu czysta karta. I pozwalam, by autor zabrał mnie w podróż, która okaże się – lub nie – historią, którą będę się chciał podzielić z innymi. W przypadku „Pojedynku” sytuacja była trochę odmienna. Bo o ile scenariusz głęboko mnie poruszył, o tyle nie czułem się wystarczająco kompetentny do opowiedzenia tak ważnej historii. Klamka zapadła – o ile pamiętam – po trzech dniach od lektury, kiedy wciąż budziłem się, myśląc o tej historii. Nie byłem w stanie wyrzucić jej z głowy inaczej, niż dzieląc się nią z widzami.

Jak na koncepcję filmu wpłynęło to, że od początku znamy finał tej opowieści?

Chcieliśmy opowiedzieć o czymś innym niż o końcu. Chcieliśmy pokazać początek. Moment, w którym „gra” się zaczynała, kiedy jeszcze się toczyła. Kiedy można było próbować kogoś złamać, przekonać, przeciągnąć na swoją stronę i na te propozycje: „Przyłącz się do nas, a będziesz królem życia” można było się zgodzić, odrzucić je, spróbować uciec, zbudować w głowie plan na rozwiązanie sytuacji.

Dla mnie to było zdecydowanie spotkanie z historią, która brzmi absolutnie współcześnie. Zderzenie idei, próba przejęcia umysłów, a nie tylko terytorium. Wydało mi się to bardzo filmowe. Poza tym wydźwięk tego filmu jest dla mnie ważny także w wymiarze osobistym. Paradoksalnie to właśnie ta trudna, bolesna opowieść stała się dla mnie impulsem do zatrzymania się i przewartościowania pewnych spraw. Uświadomiłem sobie, że są historie, które nie dają spokoju. I jeśli tak jest, to znaczy, że trzeba je opowiedzieć.

W głośnym filmie „Bogowie” opowiadał pan o kardiochirurgu Zbigniewie Relidze, w „Najlepszym” – inspiracją była biografia triathlonisty Jerzego Górskiego. Jakie autentyczne postaci przyciągnęły pana do „Pojedynku”?

Zwykle szukamy inspiracji w postaciach, jakimi sami chcielibyśmy być. Opowiadamy o bohaterach postawionych wobec niemożliwych wyborów, pokonujących przeciwności losu i własne słabości, licząc na to, że może nam samym uda się dokonać choćby drobnej zmiany we własnym życiu.

Niezależnie od tego, jaki projekt realizuję – czy to oparty na faktach, czy prawdziwych postaciach, czy totalnie fabularyzowany, z oryginalnym scenariuszem – zawsze pociągają mnie ludzie. W „Pojedynku” mamy bohaterów inspirowanych prawdziwymi postaciami, a także biografie powstałe na potrzeby scenariusza. Chcieliśmy stworzyć historię wiarygodną, wierną faktom historycznym, ale nie chcieliśmy robić dokumentu. Janina Lewandowska, Zbigniew Grzybowski – to ich biografii w naszym Karolu Grabowskim, czyli postaci Kuby Gierszała, jest najwięcej. Beria czy Zarubin pozwolili zbudować nam wiarygodny świat.

Kobieta pilotka, najsłynniejszy szef NKWD, pianista czy biegle władający siedmioma językami szef obozu...

...aż nieprawdopodobne, że losy tych ludzi się splotły. Czerpaliśmy z historycznych faktów, ale to wciąż nie jest rekonstrukcja jeden do jednego. Interesowało mnie napięcie między tym, co historyczne, a tym, co uniwersalne. Beria pojawia się tylko w kilku scenach, ale stanowi wyraźny kontrast dla Zarubina. Beria jest ciemny, także w kontekście wyglądu. Zarubin to klasyka dżentelmeńskiego stylu. Bohaterowie Kuby Gierszała i Julii Pietruchy ze sceny na scenę zmieniają się fizycznie. Ale to ich „mental”, rzecz, której gołym okiem nie widać, był najciekawszy do pokazania. Czerpaliśmy z życiorysów ich pierwowzorów, ale ich interakcje są dramaturgicznie przetworzone.

Fot. Jarosław Sosiński

eprasa.pl 1560eb7ad6

To, że potrafi pan wciągająco opowiadać o bohaterach, zwłaszcza poprzez ich relacje z innymi postaciami, zobaczyliśmy już we wcześniejszych filmach, a także serialach (m.in. w „Belfrze"). Kto w „Pojedynku" najpełniej „dopowiada" historię Karola Grabowskiego?

Paradoksalnie jego przeciwnik – Zarubin. To w ich rozmowach najlepiej widać, kim jest Grabowski. Czasem człowieka najlepiej definiuje to, dlaczego mówi „nie". Grabowski był gotów mówić „nie". Dał się poznać jako trochę wycofany, bardzo pewny siebie bohater, który nie chciał być bohaterem. Kiedy o nim myślę, wraca do mnie wspomnienie ojca, który powtarzał, że Polacy są inni niż reszta świata. Dopiero przy pracy nad tym filmem zrozumiałem, że chodziło mu o kogoś takiego jak Grabowski. Kogoś, kto instynktownie stawia opór. Odmówi, choć nic mu to nie da. To postawa bazująca na przekonaniu, że inaczej nie wolno, nie ustępuje się i już. My też chyba lubimy o sobie myśleć w ten sposób – jako o narodzie, który się nie poddaje. Nawet jeśli ktoś nas złamie instytucjonalnie czy militarnie, wierzymy, że przetrwamy i wrócimy. Historia wielokrotnie pokazywała, że tak się dzieje. Przegrywaliśmy powstania, traciliśmy ziemię na rzecz obcych mocarstw, ale nigdy nie traciliśmy poczucia przynależności do wyjątkowego narodu.

A na koniec zostaje pytanie, jak wysoka jest cena takiej nieustępliwości. Dokąd prowadzi bezkompromisowa postawa, jeśli świat wokół nie pozostawia przestrzeni na zwycięstwo.

Nie byłoby takiej intensywności „Pojedynku", gdyby nie aktorzy. Jak udało się panu pozyskać do roli Zarubina Aidana Gillena, znanego m.in. z roli Littlefingera w „Grze o tron"?

Zarubin nie jest czarnym charakterem w prostym sensie. To człowiek bystry, subtelny, jego bronią jest inteligencja. Można by pomyśleć, że to taka statyczna i prosta robota. On mówi dość spokojnie. Dość spokojnie się zachowuje. Wydaje się takim trochę dobrym wujkiem. Ale to on jest osią zła. On jest tak naprawdę odpowiedzialny za być albo nie być wszystkich uwięzionych. Producent uruchomił swoje kontakty. Aidan przeczytał scenariusz, ale jeszcze zanim podjął ostateczną decyzję, przyjechał do nas. Chciał być pewien, że przemawia do niego nie tylko tekst, lecz także to, z kim i w jaki sposób będzie pracował. Ta wizyta go przekonała.

Kolejny raz współpracował pan z Jakubem Gierszałem. Wybór był oczywisty?

To superzdolny aktor. Ma wrażliwość, której mogę mu tylko pozazdrościć. Nie powiedziałbym, że każda jego rola jest u mnie „z urzędu". Do wszystkiego, co razem robiliśmy, on po prostu świetnie pasuje. A do tego ma w sobie zaciętość i zawziętość do bycia dobrym. Jest gotowy na każdą rolę.

Udało się panu skompletować znakomitą obsadę.

W „Pojedynku" każda postać jest ważna. Bez drugiego planu rywalizacja między Aidanem Gillenem i Kubą Gierszałem nie miałaby racji bytu. Postaci stworzone przez Julię Pietruchę, Bogusława Lindę, Wojciecha Mecwaldowskiego, Antka Pawlickiego czy Tomasza Kota wnoszą do tej historii idealnie skrojoną siłę aktorską.

Ile scenariuszowych koncepcji miał „Pojedynek"? W jaki sposób ta ostateczna zmodyfikowała pierwotny pomysł?

Pierwsza wersja scenariusza powstała w 2001 r. Jej autorami byli Dżamila Ankiewicz-Nowowiejska i Robert Gliński. Niestety Dżamila zmarła w 2016 r. Scenariusz zyskał ostateczny kształt w 2023 r. za sprawą Agathy Dominik. Dzięki niej kolejne wersje stawały się bardziej zrozumiałe, także dla widzów spoza Polski, którzy przecież nie znają kontekstu tragicznej sytuacji naszego kraju we wrześniu 1939 r. Dostawałem zaktualizowane wersje scenariusza, nanosiłem poprawki i tak pracowaliśmy do momentu, kiedy już nie miałem ani jednej uwagi. Moim priorytetem było wzmocnienie warstwy dramaturgicznej, dlatego to właśnie pod tym kątem dokonałem rewizji tekstu. Ważne było dla mnie, żeby to była opowieść o ludziach z krwi i kości. Żeby oni mieli swoje wady i zalety. Żeby można czuć do nich sympatię albo antypatię. Chciałem, żeby byli ludźmi, a nie pomnikami.



Blisko dwie dekady temu w głośnym debiucie „Rezerwat" zabrał pan widzów do mikroświata jeszcze niezrewitalizowanej warszawskiej Pragi. Czym inspirowała pana przestrzeń w „Pojedynku"?

Klasztor w Kozielsku to miejsce odcięte od świata – z jednej strony surowe, z drugiej symboliczne. Przez parę miesięcy był to dom więzionych tam ludzi. Starali się znormalizować rzeczywistość, w której przyszło im egzystować. Przez środek obozu wiodła droga – została ona przez więzionych nazwana ulicą Marszałkowską. Niektórzy mieszkali w „Bristolu", inni w „Domu starców". Był też „Hotel pod Wszą" na „Placu Nędzy", „Cyrk", „Filharmonia", „Szanghaj", „Małpi gaj". Staraliśmy się oddać ducha tego miejsca, nadanego mu przez uwięzionych tam Polaków.

Czy pokazana na ekranie historia rezonuje ze współczesnością?

Ona jest uniwersalna. To też jednostka przeciwko systemowi. Mechanizmy przejmowania narracji, walki o umysły, propagandy: to nie są rzeczy tylko z przeszłości. Historia naprawdę lubi mieć czkawkę. Wręcz kocha się powtarzać. Zmienią się dekoracje, nazwiska, ale stawka pozostaje ta sama. A chyba najbardziej współczesne odniesienie film ma do wolności. Do jej wymiaru i wagi. Bo ostatecznie to jest film o wolności. O tym, jak jest ważna. I niesie przypomnienie, że może nam nie być dana na zawsze.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 1560eb7ad6

Kobieta z charakterem

Postacie kobiet, które stworzyła w filmie i w teatrze, są nie do podrobienia. Były rezolutne i krnąbrne, ale ciekawe. Ona sama była kobietą z charakterem i odwagą cywilną. Znała życie poza aktorstwem – uwielbiała gotować, dbać o rodzinę i swój ogród

Niczego się nie bała, miała twardy charakter i trzeźwe spojrzenie na świat – tak wspominają ją ci, którzy ją znali. Potrafiła stwarzać dystans, nie była kimś w typie filmowej gwiazdy, ale umiała też rozkochać w sobie publiczność i posiadała wrodzoną siłę komiczną. Taką zapamiętają ją widzowie, których traktowała z szacunkiem, i koledzy po fachu. Bożena Dykiel zmarła 12 lutego br. w wieku 77 lat. Jak się okazało, przez lata żyła z wadą serca, ale zawsze na najwyższych obrotach.

Bez zastanowienia możemy powiedzieć, że była artystką wybitną i bardzo charakterystyczną. W ciągu trwającej 55 lat kariery stworzyła blisko 200 kreacji – filmowych, teatralnych, telewizyjnych i radiowych. Od dramatu po komedie, od kina moralnego niepokoju i wielkich ekranizacji prozy po seriale telewizyjne. Grała w rolach głównych i kapitalnych drugoplanowych epizodach, ale we wszystkich, nawet tych najdrobniejszych, potrafiła odnaleźć coś, co pozwalało jej zabłysnąć i pozostawić po sobie ślad. Kreowała więc z powodzeniem postaci pełnokrwistych kobiet: pannę młodą i gospodynię księdza, córkę przemysłowca i naczelniczkę gminy, panią porucznik i żonę sierżanta, dozorczynię i kierowniczkę gospody, barmankę, kasjerkę, pielęgniarkę, milicjantkę, sklepową. Były to stereotypowe babki z charakterem, krnąbrne, pyskate, czasem w jakiś sposób nawet wulgarne. Takie, które wszędzie wejdą i wszystko załatwią. Do swoich ulubionych filmowych wcieleń Dykiel zaliczała Sonię ze „Znachora" (1981) Jerzego Hoffmana.

Po latach wspominała, że bardzo ją pociągał „Binio" (Jerzy Bińczycki), więc nie sprawiało jej dużego kłopotu, aby się do niego zalecać. Jej wielką miłością był też Krzysztof Wakuliński, ale nie chciała wiązać się na całe życie z aktorem. W 1976 r. wyjechała kręcić polsko-japoński melodramat „Ognie są jeszcze żywe". Choć film okazał się klapą, to na jego planie poznała kierownika produkcji Ryszarda Kirejczyka, u boku którego spędziła resztę życia.

URODZONA AKTORKA

W warszawskim liceum aktorka trafiła na wyjątkową polonistkę. Teresa Wiśniewska kochała teatr i zaraziła tą miłością swoich uczniów, zabierając ich na spektakle, szczególnie te reżyserowane wtedy w Teatrze Powszechnym przez Adama Hanuszkiewicza. W efekcie zdecydowała się po maturze zdawać do szkoły teatralnej. „Moja Wiśniewska nie wyobrażała sobie, abym nie zdawała do szkoły teatralnej" – wspominała Dykiel. W 1971 r. z wyróżnieniem ukończyła Wydział Aktorski Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Określano ją mianem „najfajniejszej dziewczyny na roku" – bardzo atrakcyjnej właścicielki pięknych nóg. A o sylwetkę i urodę dbała do samego końca, regularnie odwiedzając kosmetyczkę i fryzjera, ćwicząc w domu na macie, jeżdżąc na rowerze, pływając, ciągle pracując fizycznie we wspaniale utrzymanym ogrodzie.

Już podczas studiów grała w Studenckim Teatrze Satyryków (STS), do którego wciągnął ją Andrzej Jarecki. Choć początkowo nie chciano jej nigdzie zatrudnić, jej karierę znaczą oczywiście występy na deskach warszawskich scen, m.in. w Teatrze Rozmaitości, Scenie Prezentacje, Komedii i oczywiście kilkunastoletnia praca w Teatrze Narodowym. To tam pojawiła się w pełnej ekstrawagancji inscenizacji „Balladyny" Słowackiego w reżyserii Hanuszkiewicza. Kwestie Goplany recytowała wystylizowana na Barbarellę, jeżdżąc jednocześnie po torze wybudowanym dookoła sceny na motocyklu marki Honda. Przedstawienie święciło triumfy, wystawiono je blisko 400 razy, a obejrzało je ponad 300 tys. widzów. Pod kierunkiem Hanuszkiewicza zagrała też swoje najważniejsze role teatralne: była Muzą w „Beniowskim", Julią w „Trzy po trzy", Panną Młodą w „Weselu". Wielokrotnie występowała również w Teatrze Telewizji i licznych słuchowiskach radiowych.

MAGDA I KAŚKA U WAJDY

Karierę filmową rozpoczęła w 1972 r. Pojawiła się w „Uciec jak najbliżej" Janusza Zaorskiego, „Trzeba zabić tę miłość" Janusza Morgensterna czy jako szlachcianka w serialu „Janosik" Jerzego Passendorfera. Swoje najważniejsze role zagrała na pewno u Andrzeja Wajdy, u którego w „Weselu" (1972) faktycznie uczyła się gry przed kamerą. Jej Kaśka, zakąszająca z wachlarza jednej ręki ogórka, kiełbasę i chleb pod wódkę, stała się jedną z kultowych scen tego arcydzieła polskiego kina. Dykiel to też Mady Müller z genialnej ekranizacji reymontowskiej „Ziemi obiecanej" (1975). Zawsze bardzo lubiła ten film i to właśnie tę kreację uważała rolę swojego życia.

Potrafiła nadać granym przez siebie bohaterkom bardzo wiele odcieni

i wymiarów. Z pewnością dała się zapamiętać jako rzutka Jadwiga Kolęda, naczelnik gminy z „Wyjścia awaryjnego" (1982) Sylwestra Chęcińskiego. To z pewnością jej pokazowa kreacja komediowa, ale nie jedyna. To także niezapomniana Miećka, żona wszechwładnego gospodarza domu w „Alternatywy 4" (1984) czy znerwicowana Kokoszka, działaczka Solidarności z Suwałk, w „Rozmowach kontrolowanych" (1991). Gdy zapalając papierosa mówiła, że właśnie rzuca palenie, była w swej walce z nałogiem zarówno komiczna, jak i absolutnie przekonująca. Popularność ugruntowała rolą w kręconym od 1980 r. serialu „Dom" Jana Łomnickiego, w którym wcieliła się w Halinę Wrotkową. Do rangi kultowych urosły epizody w filmach Marka Koterskiego – dentystki w „Nic śmiesznego" (1995) i sąsiadki w „Dniu świra".

W MATNI ESBECKIEJ INTRYGI

W latach 70. XX w., gdy odnosiła swe największe sukcesy, przez dwa lata była nękana przez Służbę Bezpieczeństwa. Odmówiła podjęcia współpracy, a kiedy nie chciała się pojawiać na spotkaniach, bezpieka zgarniała ją prosto z ulicy. Plan był klasyczną operacją wywiadowczą I Departamentu MSW. Dykiel miała nakłonić swojego znajomego Franka Elbego, pełniącego wówczas funkcję drugiego sekretarza ambasady RFN, do nawiązania gorącego romansu. To właśnie sukces „Balladyny" sprawił, że niezwykle atrakcyjna aktorka wraz z gronem kolegów zaczęła się pojawiać na spotkaniach towarzyskich w domu niemieckiego dyplomaty. Wywiad zamierzał sfilmować *in flagranti* żonatego niemieckiego dyplomatę, by w ten sposób zdobyć kompromitujące go materiały. Informacje o tym zostały ujawnione 20 lat temu w ramach dużego projektu badawczego realizowanego przez łódzki oddział IPN.

Aktorka wyjaśniała potem, że esbecy obiecywali jej profity, w tym załatwienie mieszkania, bezpłatne kursy angielskiego. Kiedy odmówiła, zagrozili złamaniem znakomicie zapowiadającej się kariery, cofnięciem paszportu na



Fot. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

stałe. A wówczas Teatr Narodowy często wystawiał sztuki za granicą. Dykiel była inwigilowana, otaczało ją grono tajnych współpracowników. Wytrwała tylko dlatego, że miała silny charakter, co potwierdziły akta bezpieki, w których stwierdzono, że jest „osobą o silnej osobowości", nie wykazującą chęci do współpracy, a próby jej złamania są nieefektywne. Koszmar skończył się dopiero gdy Elbe wrócił do RFN.

W ostatnich latach kilkukrotnie wyznała, co myśli na tematy polityczne. W czasie kampanii prezydenckiej wbiła szpilę walczącemu o reelekcję Bronisławowi Komorowskiemu, krytykując jego hasło „Łączy nas Polska" i wypominając rządzącej wówczas PO zabór środków finansowych z OFE, eksperymenty w edukacji, podwyższenie wieku emerytalnego i odebranie twórcom możliwości odliczania 50 proc. kosztów uzyskania przychodu. Mówiła to w momencie, gdy niemal cały świat aktorski – tak jak dziś – bezkrytycznie popierał formację Tuska, często wchodząc w rolę klakiera władzy. Miała cywilną odwagę wygłaszać opinie politycznie niepoprawne, np. krytykując zamykanie ludzi w domach podczas pandemii, wyśmiewała mity żywieniowe, choć i tak robiła to z umiarem i rzadko.

KUCHNIA, OGRÓD I RODZINA

W jej domu zawsze funkcjonował tradycyjny podział ról między kobietą a mężczyzną, co wielu postronnych uważało za przyczynę jej bardzo udanego małżeństwa. Była prawdziwą panią domu – świetnie gotowała, kultywowała tradycje świąteczne i domowe. Zaradna, przedsiębiorcza, potrafiąca zadbać o siebie i bliskich. Jako autorka książki „Moje sekrety kulinarne" prowadziła też program o gotowaniu w Polsacie. Odwiedzający ją przyjaciele – wybitni kucharze, znane postacie – pomagali jej w przygotowaniu potraw. Regularnie dokarmiała ekipę serialu „Na Wspólnej", gdzie grała Marię Ziębę, matkę czwórki dzieci, wzorową i pełną empatii gospodynię domową, która sporo czasu spędza w kuchni.

Nieustannie zapraszano ją do telewizji śniadaniowych czy na specjalne spotkania z publicznością tylko po to, by przygotowywać wigilijne potrawy, wielkanocne śniadania, ciasta, łakocie, sałatki, galarety, potrawy z grilla, gotować zupy czy opowiadać o świątecznych tradycjach kultywowanych w jej rodzinie. Bywała nawet jurorką na targach żywnościowych i konkursach kulinarnych. O sobie mówiła wprost: „Jestem zwykłą polską babą, która lubi, żeby w domu pachniało obiadem".

Maciej Walaszczyk





HITY i KITY ZAREMBY

Bronię „Hamneta”, filmu o stracie

To dziwne, gdy w filmie „Hamnet” życiem jednego z filarów europejskiej kultury Williama Szekspira zajmuje się amerykańska reżyserka chińskiego pochodzenia Chloé Zhao. A jednak na koniec byłem porażony pięknem jej nie całkiem prawdziwej wizji

Uwielbiam film „Zakochany Szekspir” Johna Maddena z 1998 r. Także dlatego, że to hymn miłości do teatru. Ale zawzięcie romansujący z panną z dobrego domu Szekspir został tam pokazany jednostronnie. Nie pamiętamy, że ten wciąż młody, namiętny mężczyzna ma w Stratfordzie rodzinę: żonę i dzieci.

Chloé Zhao nadrabia tę zaległość – a przed nią Maggie O’Farrell, autorka powieści, której film jest adaptacją. Został on przyjęty przez część recenzentów jako ekstrawagancja, jednak urokliwa – wszak to przykład kina artystycznego. My, Polacy, mamy dodatkowe powody do ekscytacji. Łukasz Żal po raz kolejny tworzy wysmakowane zdjęcia, zwłaszcza przyrody. Małgosia Turzańska jest twórcą kostiumów.

Film pokazuje Szekspira jako człowieka zakładającego rodzinę w swoich stronach. Początkowo uchodzi za nieudacznika (ojciec to prowincjonalny rękawicznik), ale robi teatralną karierę w Londynie i z nie do końca jasnych powodów nie łączy się z bliskimi. Nie ma go przy żonie, gdy umiera ich ukochany syn Hamnet. Dla Jacka Cieślaka z „Rzeczpospolitej” fabuła jest pełna takich przekłamań, że scenariusz mogłaby pisać AI. Za mojego życia roztrząsano pytanie, czy Szekspir istniał, a na pewno – czy napisał 38 sztuk. Teraz się dowiaduję, że jego biografia jest jednak rozpisana w szczegółach.

Prawda, jego żona nie miała na imię Agnes, lecz Anna. Cieślak nazywa film pretensjonalnym. Podobnie Piotr Gociek z „Do Rzeczy”. Uczynienie z żony Szekspira zrośniętej z lasem, podejrzewanej o czary zielarki uznaje za new age’ową sztuczkę. Z kolei związek między rozpaczą po stracie syna a napisaniem sztuki „Hamlet” krytyk opisuje jako fałszywą tezę. Dopiero trauma ma uwolnić pisarski geniusz.

Istotnie, upozowanie żony Szekspira niemal na leśną wróżkę ma w sobie coś z maniery. Ale potem jest ona po prostu matką walczącą o przetrwanie rodziny. W tym filmie nie ma też twierdzenia, iż Szekspir stał się dramatopisarzem w następstwie rozpaczy po synu. Jest tylko sugestia, że ta strata uczyniła go szczególnie wrażliwym, kiedy pisał „Hamleta”. Oczywiście ta zależność nie jest prosta – Hamlet ginie jako dorosły mężczyzna, a nie dziecko.

W efekcie dostajemy opowieść o miłości, kryzysie rodziny i stracie. Zapewne niezbyt wierną wobec tego, co wiemy o Szekspirze – ponoć pochodził z rodziny katolików w kraju triumfującego protestantyzmu. To także film o tym, czym jest artystyczna inspiracja. Cieślak narzeka na sekwencję teatralną, kiedy Agnes trafia na premierę „Hamleta”. Podnosi nawet to, że tamten teatr wyglądał inaczej, o czym – moja uwaga – wie każdy, kto oglądał „Zakochanego Szekspira”. Dodajmy, że również aktor grający Hamleta nie był – jak w filmie – pięknym chłopcem. Dla mnie to jednak scena wzruszająca, oddająca naturę nie tylko teatralnych emocji. Tyle razy słyszałem, że autor może robić z historią wszystko, iż trochę uwierzyłem.

Mamy również trochę ładnych dygresji. Więź Agnes z bratem (Joe Alwyn) – w patriarchalnym społeczeństwie kobiety czasem zyskiwały oparcie w męskim rodzeństwie. I rolę matki Szekspira, najpierw sprzeciwiającej się związkowi syna, potem – wspomagającej synową. Świetni są Paul Mescal jako Szekspir i Jessie Buckley jako Agnes, znakomici – aktorzy dziecięcy. Ale szczególnie wzruszyła mnie 59-letnia Emily Watson, gwiazda mojej młodości, jako teściowa Agnes – nie piękna, ale jaśniejąca swoim blaskiem.

Piotr Zaremba

Fot. UIP

„Minuta ciszy", czyli kto pogrzebem wojuje...

Rzuciłem okiem na drugi sezon „Minuty ciszy", serialu Canal+. Opowiedzieć o polskiej prowincji przez historię zakładu pogrzebowego to pomysł przedni, nawet jeśli wcześniej wpadli na to Amerykanie z „Sześcioma stopami pod ziemią"

Nakręcił to Jacek Lusiński, autor chwalonego filmu „Śubuk". Listonosz Zawada (Robert Więckiewicz) przechodzi na emeryturę. Musi pochować przyjaciela, emerytowanego policjanta. Odmawiają i zakłady pogrzebowe, i proboszcz, który nie chce na cmentarzu samobójcy. W końcu Zawada tworzy własną firmę. Na chwilę, ale nowe zajęcie wciąga.

W drugim sezonie do parafii w Bożej Woli przychodzi nowy proboszcz – młody, oczytany (Kamil Szeptycki). Oferuje prowincjuszom wysoką kulturę. Wnosi także interesy swojej matki (Dorota Segda) i jej konkubenta Pazery (Grzegorz Wolf), który na odległość próbuje przejąć pogrzebowy interes. To jednoczy w samoobronie miejscowych speców od pochówków: Zawadę i niestroniącego od gangsterskich metod Wiecznego (Piotr Rogucki). Serial epatuje brutalnością, a także smutkiem. Mało kto tu wygrywa. Więckiewicz wspaniale gra szarego everymana, który próbuje zachowywać się przyzwoicie.

Serial ma klimat, sugestywne dialogi. Ale zdaniem znajomych prowincja jest tu malowana zbyt jednostajną czernią, a na biednych szaraczków autorzy patrzą z góry. Takie spory wybuchają wokół różnych filmów – ostatnio wokół serialu Netfliksa „Ołowiane dzieci". Portret Śląska z czasów PRL ma być przyczerniony, brud i pijaństwo nie były jego naturalnymi cechami.

Zalecam ostrożność. Zawsze mamy do czynienia z kreacją artystyczną. Warto poznawać rzeczywistość opowiadaną z wielu perspektyw. Zarazem w „Minucie ciszy" jest chyba ciut za wiele tej czerni. Szczególnie końcowa erupcja przemocy nasuwa mi skojarzenie z mroczną wyobraźnią Wojciecha Smarzowskiego.

Serial nie jest przesadnie antyklerykalny. Obaj proboszczowie są ludźmi, którzy w jednych sytuacjach się gubią, w innych – ujawniają ludzkie oblicze. Ale można w nim znaleźć kalki liberalnej lewicy. Przyjaciel Zawady zabija się, bo obniżono mu milicyjną emeryturę, a przecież on zawsze był od spraw kryminalnych. Nawet czujna „Wyborcza" nie odnotowała takich krzywd ludzi niebędących esbekami.



DANTE NA STUDNIÓWCE, CZYLI ZNÓW MATURA

*Kiedy mówiłem, że lubię dwa pierwsze filmy z cyklu „Piep*zyć Mickiewicza", niektórzy pukali się w czoło. Nie twierdzę, że produkcje Sary Bustamante-Drozdek (reżyseria) i Kacpra Szymańskiego (świetne dialogi) są głębokie czy przełomowe. Ale podsuwają nam empatię jako właściwe podejście do życia. Dziś to dużo*

Tytuł budził podejrzliwość „dziadersów" takich jak ja. Zdawał się zapowiadać fałszywe obrazoburstwo. Ale to tylko nawiązanie do absurdalnego dialogu z części pierwszej. Mickiewiczowi nic złego się nie dzieje.

Część pierwsza była o tym, że mądry nauczyciel może odmienić najgorszą klasę w szkole. Przy okazji podsuwała pewne przestrogi, choćby przed narkotykami. Pełno w niej było znanych klisz. Tyle że są to klisze typowe także dla amerykańskich „teenage movies", a przecież ogląda się je bez przykrości.

W części drugiej „unormalniona" klasa zderzała się z kolejnymi dylematami, choćby dotyczącymi pierwszych zalotów. A grupa dawnych wichrzycieli usocjalniała „Korka", chłopaka ze spektrum autyzmu. Część trzecia to zamknięcie szkolnych losów bohaterów. Skądinąd te lekceważone przez krytyków filmy okazały się komercyjnym sukcesem.

W liberalnych mediach pojawiły się narzekania, że nie wiadomo, przeciw czemu buntuje się ta młodzież. Tyle że te filmy nie walczą o żadną ideologię. Każą nam się martwić razem z bohaterami. „Dante", charyzmatyczny lider klasy, utrzymuje świetne relacje z dziewczyną, Nel, a jednak zaczyna mu dokuczać różnica „klasowa" między nimi. Jako wychowanek domu dziecka panicznie boi się odrzucenia. Z kolei autystyczny „Korek" z drażniącą nieporadnością szuka recepty na związek z dziewczyną.

Mamy studniówkę, mamy żal, że wszystko się kończy. I mamy postacie, którym przyjemnie jest kibicować. Te filmy wiele zawdzięczają zarówno charyzmie i urokowi Hugona Tarresa (Hamleta z Teatru Narodowego) w roli „Dantego", jak i mistrzostwu Karola Rota w portretowaniu dziwności „Korka". Ale są też Wiktoria Koprowska (Nel), Igor Pawłowski (Cegła), Krystian Embradora (Mietek), pojawia się bogaty chłopak z problemami Adam (Aleksander Idzi). W tle, ale z wdziękiem, wspiera ich polonista Sienkiewicz (Dawid Ogrodnik).

Mam jedną wątpliwość. Jakby się nie robiło poważnie czy smutno, ten format jest skazany na happy end. A przecież – choć koledzy fundują „Dantemu" zagraniczny wyjazd za dziewczyną – jego problemy życiowe nie mogą się zakończyć łatwo. A nawet jeśli się skończą, to on w jakimś sensie ich opuszcza. Tym bardziej przetrwają problemy „Korka", skazanego na rozczarowania, mimo że na koniec twórcy „przydzielili" mu dziewczynę. Zastanawiam się, czy cieszyć się z filmowego optymizmu jako zachęty dla widzów, czy złościć, że to za proste.



Czeczotka

Karmnik. Zobacz czeczotkę, czyżyka i całą resztę

Przemarzliśmy, bo takiej mroźnej zimy nie było od lat. Ale mieliśmy szansę na spotkanie z gatunkami, których nie zobaczymy w cieplejszych miesiącach roku. Trafiają się wśród nich ptaki naprawdę rzadkie, które można spotkać tylko wtedy



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Umieszczenie karmnika blisko okna daje możliwość częstych i regularnych obserwacji, które można prowadzić przez dowolnie długi czas. Prosta rzecz, a przy tym poznawczo trudna do przecenienia. Jeżeli jest się wystarczająco wytrwałym, a do tego rozwiniemy umiejętność obserwowania i rozpoznawania ptaków, co jakiś czas możemy spotkać prawdziwą rzadkość. A oprócz nich codziennie można obserwować ptaki gatunków częstszych, lecz przez to nie mniej ciekawych, gromadząc wartościową wiedzę o ich zwyczajach i potrzebach.

Dzięki obserwacjom ptaków w karmniku już trzykrotnie miałem możliwość napatrzenia się z bardzo bliska na czeczotki (*Acanthis flammea*). W Polsce to skrajnie nieliczne ptaki lęgowe. Niemal jedyną szansę na spotkanie z nimi daje właśnie karmnik. Raz na kilka lat surowa zima, wypierająca północne populacje czeczotek z ich skandynawskich i syberyjskich siedlisk, sprawia, że pojawiają się w Polsce całkiem licznie. Nie znaczy to jednak, że łatwo je wówczas zobaczyć. Koczują stadkami, lokalnie, przez dłuższy czas pozostając na jednym terenie. Jeżeli będzie to jednak okolica naszego karmnika, możemy się spodziewać, że przez kilka dni będziemy mogli do woli przypatrzyć się tym niepłochliwym ptakom z bardzo bliska. A trzeba przyznać, że czeczotki są ubarwione naprawdę pięknie. W pierwszej chwili ich upierzenie wydaje się skromnie brązowe, po chwili jednak zauważa się charakterystyczne kreski tworzące wzór na wierzchu i bokach ciała, żółty dziobek i pierś, a także stanowiącą znak rozpoznawczy, karminową czapeczkę i skośne oczka.

W karmniku czeczotki są znacznie spokojniejsze od czyżyków (*Spinus spinus*), z którymi kiedyś należały do jednego rodzaju *Carduelis*. W upierzeniu czyżyka, zwanego też czyżem, dominuje żółć i czerń, u samicy z odcieniem zielonkawym. Malutkie czyżyki zimę spędzają w stadkach, przeważnie przeczesując korony olch i wyłuskując nasiona z ich szyszeczek. Kiedy zawitają do karmnika, mają zwyczaj pojawiać się codziennie przez pewien czas, odganiając podczas żerowania nawet wyraźnie większe od siebie sikory czy wróble. Nigdy nie byłem świadkiem walki, w każdym jednak przypadku rozłożone skrzydła i dziób nastawiony w pozycji do ataku pozwala przejąć kontrolę nad ziarnami.

MIŁY MOMENT PORANKA

Karmnik daje więc szansę na obserwowanie gatunków rzadkich albo takich, które jak czyżyk przez większą część roku bytują pojedynczo lub w parach, umykając naszej uwadze. Pozwala również na podglądanie ptaków częstszych. Już sama możliwość codziennego zobaczenia pożywiającej się bogatki lub modraszki tuż za szybą jest miłym momentem poranka.

Codzienne obserwacje dają przy tym szansę na bliższe poznanie zwyczajów poszczególnych gatunków. Chociażby niewielkich, lecz zauważalnych różnic pomiędzy sikorami – podlatujących, zabierających jedno ziarenko i odlatujących z nim na pobliską gałąź, a wróblami domowymi i mazurkami, które siadają w karmniku i jedzą na miejscu bez ciągłego odlatywania.

eprasa.pl 1560eb7ad6

Inaczej zachowują się kosy, a jeszcze inaczej – należące wraz z nimi do drozdów kwiczoły. Być może znaczenie ma to, że kosy są ptakami miejscowymi – zwłaszcza w miastach na ogół zarzuciły już wędrówki do zimowisk, a większość zimowych kwiczołów to ptaki przylotne z północy i północnego wschodu.

Każdy karmnik ma swoją specyfikę, a na przegląd odwiedzających go gatunków duży wpływ ma otoczenie (które przynajmniej w pewnym stopniu możemy pozytywnie modyfikować – o tym za chwilę). W jednym codziennie będzie się pojawiać rudzik, w innym regularnymi gośćmi są grubodzioby albo dzwońce. Gdzie indziej można liczyć na pojawienie się dzięcioła (najczęściej czarno-biało-czerwonego dzięcioła dużego), zięby, strzyżyka lub całego stada raniuszków i przedstawicieli innych rozmaitych gatunków.

Drobne ptaki przyciągają drapieżniki, przede wszystkim krogulce. Jeżeli karmnik jest popularny wśród ziarnojadów, prędzej czy później wpadnie w oko krogulcowi. Ziarno wysypywane przez ptaki przyciąga nieraz gryzonie, a te z kolei, żerując często nocami, zwabiają sowy. Pewien ornitolog w ten właśnie sposób – ziarnem przyciągając gryzonie – dokarmiał sowy uszate, które po zmroku polowały na te zwierzęta.

Karmnik daje nam możliwość bliższego kontaktu z przyrodą. Dla ptaków bywa wygodny, lecz wcale nie niezbędny. Plasuje się całkiem daleko za innymi elementami środowiska, które są dla nich konieczne. I które przynajmniej w pewnym stopniu możemy im zapewnić.

Podstawą ochrony ptaków i przyrody w ogóle jest ochrona siedlisk przyrodniczych, a także zapewnienie możliwości swobodnej migracji – również tej lokalnej. Na wszystkie te kwestie mamy wpływ, przynajmniej w pewnym zakresie. Ograniczmy się tu do ptaków i spraw najprostszych, a jednak wciąż bardzo często zaniedbywanych.

KRZEWY I WODA

Najprostszy sposób poprawy jakości ekosystemu to wprowadzenie krzewów. Albo – jeżeli już rosną – zaprzestanie ich przycinania, żeby nie były minikrzaczkami, lecz roślinami odpowiednio gęstymi i mającymi znaczną objętość. Znaczenie ma nawet jeden krzew albo chociaż fragment żywopłotu. Wiosną to miejsce lęgowe dla gatunków, które nie wiją gniazd na drzewach, lecz potrzebują właśnie takich odpowiednio dużych zakrzaczeń. A przez cały rok – również zimą – krzewy są miejscem żerowania i schronieniem.

Zapewniając obecność gęstych, rozłożystych krzewów, wpływamy też pozytywnie na drugą z poruszonych kwestii, czyli przemieszczanie się. Zwłaszcza dla drobnych ptaków pokonanie rozleglejszej otwartej przestrzeni to problem. Aby nie zostać zbyt łatwym celem dla drapieżników, potrzebują rozmieszczonych co pewien czas wysepek – chociażby pojedynczych, dających schronienie dużych krzewów.

Odpowiedni dla ptaków żywopłot powinien mieć przynajmniej 1,5 m wysokości i być rozłożysty. To zadziwiające, jak szybko wzrasta liczba ptaków i różnorodność gatunków, również lęgowych, jeżeli zaprzestanie się zbyt częstego przycinania żywopłotu i pozwoli mu się na osiągnięcie formy bujnej. Nawet jeden krzew, prowadzony również w formie naturalnej i odpowiednio gęstej, ma duże, zauważalne znaczenie.

Najbardziej godne polecenia są oczywiście krzewy rodzime: jałowiec pospolity, cis pospolity, grab (drzewo, lecz znakomite na żywopłoty), ligustr pospolity, śliwa tarnina, leszczyna pospolita, berberys pospolity czy dzika róża. I – powtórzmy jeszcze raz – utrzymywane w formie dużych, bujnych krzewów, grup lub żywopłotów.

Wbrew pozorom na ogół trudniej niż odnalezienie pożywienia ptakom przychodzi znalezienie wody. Paradoksalnie zima bywa pod tym względem mniej korzystna od innych pór roku. Opady są wówczas najmniejsze, a jeżeli temperatura spadnie mocno poniżej zera, dostępność wody zmniejsza się jeszcze bardziej. Nawet jeżeli w dzień temperatura wzrośnie, minie kilka godzin, zanim woda rozmarznie i ptaki będą mogły się napić lub wykąpać – aby utrzymać pióra w dobrym stanie, kąpią się nawet wtedy, kiedy pozornie jest na to za zimno.


Mazurek

Żeby odpowiedzieć na tę potrzebę, przez cały rok wystawiam dwie płaskie miski z wodą, którą wymieniam codziennie – to bardzo ważne. W czasie mrozów dbam o to, by nie zamarzała w ciągu dnia. Na koniec zimowego dnia wylewam i rano znowu napełniam pojemniki, dzięki czemu nie mam kłopotu z usuwaniem lodu.

Pojemnik z wodą – podobnie jak karmnik – musi stać w miejscu zapewniającym ptakom bezpieczne korzystanie z niego, czyli przede wszystkim w miejscu, w którym nie będą im zagrażać koty. Jeżeli nie można im tego zapewnić, bo np. ma się koty, które są wypuszczane na zewnątrz, lepiej od razu zrezygnować z jakichkolwiek działań, bo w takim przypadku karmnik czy pojnik okaże się śmiertelną pułapką, w której duża część ptaków zginie.

Jeszcze jedno drobne, lecz ważne zalecenie. Jeżeli decydujemy się na karmnik, warto zapewnić mu ładną, przyrodniczą oprawę. Np. wspomniany krzew w tle, jeżeli karmnik jest umieszczony na trawniku przed oknem, albo odpowiednio ustawiony krzew w donicy na balkonie lub choć zimozielona roślina w skrzynce – jeżeli karmnik stoi na parapecie. Nam zapewni to inną jakość obserwacji i pozwoli nawet u siebie w domu podczas śniadania poczuć się jak w plenerze.


Wróble


Czyżyk


Kwiczoł

Fot. Shutterstock (5x)

eprasa.pl 1560eb7ad6

VIOLETTA KAPCEWICZ
ZWYCIĘŻCZYNI 7. EDYCJI „THE VOICE SENIOR”

Droga do spełniania marzeń



„Wystawianie się na widok publiczny nie zawsze jest jak cieplutki i miły kocyk, ale ta przygoda dodała mi skrzydeł” – wyznała tuż po ogłoszeniu wyników. Nieco później w rozmowie wspominała, że na potrzeby nagrań do „The Voice Senior” była gotowa spędzić w pociągu wielu godzin, by dojeżdżać do Warszawy. To była droga do spełnienia marzeń.

– Od niedawna zaczęłam się o siebie troszczyć – mówi. – W którymś momencie pomyślałam, że już czas, by pokazać się szerszej publiczności. W moim mieście, Szklarskiej Porębie, w ośrodku kultury, zorganizowałam występ. Usłyszałam po nim, że taki głos nie może się marnować. Wzięłam potem udział w Senioralnym Festiwalu Piosenki Artystycznej we Wrocławiu. Następna była Warszawa i Ogólnopolski Konkurs Wokalny „Piosenka jest dobra na wszystko” organizowany przez Ośrodek Kultury Ochoty. Byłam w nim najstarszą uczestniczką. Kiedy dotarłam do finału, pomyślałam o „The Voice Senior”.

Podczas wcześniejszych konkursów przećwiczyłam swoją tremę, swoje obawy, swój strach, zmaganie z własnym ciałem, by mikrofon nie drżał z emocji. Mogłam już przyjechać do studia na Woronicza, by pokazać się szerokiej polskiej publiczności.

Urodziłam się Cieplicach. Pełna nazwa to Cieplice Śląskie-Zdrój. Dziś to dzielnica Jeleniej Góry, ale ja jestem rodowitą Ciepliczanką. Potem przeprowadziłam się do Szklarskiej Poręby. Śpiewanie było moją pasją od przedszkola. Ciągnęło mnie też do telewizyjnych występów. Kiedyś u babci zobaczyłam samą obudowę telewizora (przy starych odbiornikach lampowych oddawało się do naprawy środek), więc stanęłam za nią i zaczęłam śpiewać. „Będzie artystką” – stwierdziła babcia. Trochę lat później, w Zielonej Górze na Festiwalu Piosenki Radzieckiej, zostałam zauważona przez menedżera zespołu Orfeusz. Przepracowałam z tą grupą blisko trzy lata, a potem zostałam mamą. Wychowywałam synka, byłam gospodynią domową.

Na początku lat 90. ub.w. dzięki PAGART-owi zaczęłam wyjeżdżać na koncerty do Niemiec. Miesiąc śpiewania, powrót i znów wyjazd. Życie na walizkach przerwała pandemia. A potem okazało się, że w Polsce nikt mnie nie zna. Postanowiłam się więc pokazać. W czasie występów w „The Voice Senior” śpiewałam m.in. po włosku i po francusku, ale nie jestem poliglotką. Melodii języka, podobnie jak tekstu, można się nauczyć.

Poza Niemcami i Polską nie spędzałam nigdzie więcej czasu. Wyjątek stanowiło półtora miesiąca w Finlandii. Do Polski wracałam, bo tu jest mój dom. Niedawno zostałam właścicielką działki (koło Cieplic), którą wcześniej miała moja mama, moi rodzice. Tu odpoczywam wśród przyrody i pracuję, przygotowując się również do kolejnych występów. Nie mam potrzeby dalekiego wędrowania.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Fot. fot. Arsen Petrovych

eprasa.pl 1560eb7ad6



SŁODKO-SŁONY

Smak na czerwone pomarańcze

ANNA MONICKA

Sezon na czerwone pomarańcze może nie trwa długo, ale pojawiają się w sklepach dokładnie wtedy, gdy najbardziej ich potrzebujemy, bo wszystkim doskwiera brak naszych świeżych owoców. Mam znajomą, która specjalnie o tej porze roku wybiera się na wycieczkę na Sycylię lub w okolice, żeby najeść się do syta i opić sokiem, który nie ma sobie równych, bo tyle w nim witamin i przeciwutleniaczy. Podobno i kolor, i składniki odżywcze zawdzięczają wulkanicznej glebie. Życie w sąsiedztwie Etny ma swoje plusy.

Kiedy pomarańcze docierają do nas, trzeba je zjadać szybko, bo błyskawicznie się psują. Ale i tak warto czekać. Prawdę powiedziawszy, specjalnie z ich okazji kupiliśmy sobie porządną wyciskarkę do cytrusów ze stożkiem ze stali nierdzewnej, żeby do soku nie trafiały drobinki mikroplastiku. Taka sokowa kuracja stawia człowieka na nogi na przednówku. Wykorzystujemy nawet wiórki – robię z nich sosy, rozgrzewające napoje, dodaję wraz czosnkiem, solą i oliwą do pieczonego mięsa.

Ale najlepszy jest sernik na kruchym spodzie. Bardzo prosty. Duże opakowanie herbatników (mogą być klasyczne maślane Petit Beurre, bezglutenowe lub owsiane) trzeba pokruszyć i wymieszać z połową kostki roztopionego masła, a potem wyklejć masą dół tortownicy wyłożonej pergaminem i podpiec 10 minut, a potem wyjąć z piekarnika i ostudzić. 1 kg dobrego sera twarogowego miksujemy ze szklanką cukru, 5–6 jajami i opakowaniem niesłodzonego budyniu waniliowego oraz sokiem z dwóch czerwonych pomarańczy (mniej więcej pół szklanki). Można dodać startą skórkę pomarańczową, jeśli owoce nie były pryskane. Wylewamy masę serową do tortownicy i pieczemy godzinę lub ciut dłużej w temperaturze 160 st. Celsjusza. Środek powinien być lekko galaretowaty, a boki ścięte. Deser musi odpocząć w piekarniku, więc uchylamy drzwiczki i studzimy go, a potem, gdy będzie już chłodny, na noc wstawiamy do lodówki. Przed podaniem dekorujemy wierzch plastrami czerwonych pomarańczy – albo świeżych, albo podsmażonych w miodzie lub cukrze. Na koniec można go skropić zmiksowanym z cukrem gęstym jogurtem greckim i udekorować listkami mięty. Podajemy oczywiście z czerwonym sokiem pomarańczowym.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Roztopy, powodzie i łęgi

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Gromadzenie wody powinno być podstawowym działaniem z zakresu ochrony przeciwpowodziowej, połączonym z ochroną i odtwarzaniem zasobów wodnych. Zmniejszanie się zasobów wodnych w Polsce, obniżanie się poziomu wód gruntowych ma miejsce od dziesiątków lat. Jednocześnie mamy do czynienia z powodziami. Rozwiązaniem obu tych problemów jest renaturyzacja terenów wzdłuż rzek.

Obecnie bardzo rzadkie i zajmujące minimalną powierzchnię siedlisko lasów łęgowych obejmowało niegdyś rozległe tereny na szerokim pasie wzdłuż rzek. Las łęgowy nie tylko znosi okresowe zalewanie, lecz także go potrzebuje, ma zdolność spowalniania, a nawet zatrzymywania wezbrań powodziowych i zdolność wchłaniania, a następnie powolnego oddawania wody. Ma również wiele innych bardzo istotnych cech – jest choćby najbardziej chyba różnorodnym gatunkowo siedliskiem naszej strefy klimatycznej. Kiedyś lasy łęgowe porastały szerokimi pasami brzegi większości rzek. Ze względu na żyzną glebę ich usuwanie i zajmowanie pod rolnictwo zaczęło się dawno temu. Kiedy doszło do tego regulowanie rzek, zamykanie ich wąskimi obwałowaniami i odcinanie łęgów od regularnych zalań, powierzchnia nadrzecznych lasów zmniejszyła się do minimum.

Rozwiązaniem, które łączyłoby ochronę przyrody z ochroną przeciwpowodziową, gromadzeniem zapasów wody i przywracaniem obniżonego poziomu wód gruntowych, jest odtwarzanie lasów łęgowych.

Oczywiście odtworzenie ich na całej pierwotnej powierzchni nie jest możliwe. Bardzo wskazane byłoby jednak zaopatrzenie każdej miejscowości w możliwie rozległy, leżący powyżej niej polder, który powinien być obniżeniem terenu połączonym odnogą z rzeką. W przypadku wezbrań przejmowałby część wody (jak dużą, zależy już od jego powierzchni i pojemności oraz odpowiedniej konstrukcji umożliwiającej przechwytywanie wody po osiągnięciu przez nią określonego poziomu). I oczywiście powinien być porośnięty lasem łęgowym.

Takie rozwiązanie – połączenie polderu/zbiornika z przepływową odnogą – nie wiąże się z przegradzaniem rzeki zaporą zaburzającą jej funkcjonowanie. Tworzy natomiast ekosystem o niezwykle wysokiej różnorodności gatunkowej, przechwytuje nadmierne wezbrania, a później powoli oddaje przefiltrowaną i oczyszczoną wodę, zamieniając potencjalną powódź w długoterminowe nawadnianie rozległej okolicy.

eprasa.pl 1560eb7ad6

3 MIŁOŚCI

Modlitwa ciała



ROBERT TEKIELI

W centrum Warszawy pikietują kobiety od czerwonej błyskawicy, pomstują, przeklinają, wyją. Do podsuwanych im mikrofonów wykrzykują o swoich trzech, pięciu aborcjach. Szczycą się nimi. Chcą dostępu do aborcji na życzenie. Troszkę z boku, ale z nimi, stoi młoda, piękna dziewczyna o łagodnej twarzy. Nie krzyczy, ale je wspiera. Domyślamy się, że także jej dziecko zostało złożone w ofierze. Może dzieci?

Naprzeciwko rozedrganych błyskawic po cichu modli się „babcia różańcowa". Po jakimś czasie podchodzi do dziewczyny, klęka przed nią, pochyla się i całuje jej stopy. Dziewczyna wybucha szlochem. Wtula się w starszą kobietę, jakby chciała się w niej schować. Bezinteresowna miłość w działaniu. Akceptacja, przygarnięcie, współczucie.

Trwa wojna duchowa. Trwa bitwa o Polskę. Nad głowami nie latają nam Supermarine Spitfire'y czy Hawker Hurricane'y, a rolę Dywizjonu 303 odgrywają żeńskie klasztory kontemplacyjne. Kilkanaście, kilkadziesiąt kobiet o oczach o czystości górskiego kryształu, które w całości oddały swoje życie na miłą Bogu ofiarę.

Trwa Wielki Post. Dla człowieka wiary to czas wielkiej bitwy. Kiełznanie ciała owocuje duchowymi dobrami. Na moim Facebooku o ascezie, o wielkopostnym zbliżaniu się do Boga tak pisze o. Piotr: „Aby sportowiec został mistrzem, muzyk wirtuozem, a naukowiec odkrywcą musi podjąć trud treningów, mozolnie ćwiczyć, wciąż powtarzać eksperymenty i godzinami wertować materiały.

Podejmując Wielki Post, osiągniemy sukces – wolności ducha, bliskości z Panem Bogiem i panowania nad emocjami oraz pokusami posiadania – jeśli będziemy widzieli te cele, a nie trudności związane z wytrwałością na modlitwie, dzieleniem się czy powstrzymywaniem od wygód. Zwycięstwo osiąga się, roztropnie podejmując wysiłki, a nie patrząc z niechęcią i lękiem na dyskomfort z nimi związany".

Wielki Post. Czas wielkiego oczyszczenia.

Trzy lata temu dzwoni mój drukarz z podziemia. Zaprzyjaźnione małżeństwo ma masywny problem. Córka, która jako 14-latka potrafiła dyskutować z dorosłymi zwolennikami aborcji przy okazji podpisywania na krakowskim Rynku petycji o ochronie życia nienarodzonych, po kilkunastu miesiącach chodzenia do klubów techno wpadła w dramatyczne uzależnienie od narkotyków, potem okazało się, że weszła również w satanizm. Dwukrotnie cudem uniknęła śmierci. Rodzice poruszyli w jej intencji niebo i ziemię, zawstydzając mnie skalą swo-

Post, wytrwały wysiłek, walka z własną słabością. Modlitwa ciała służy duchowemu uzbrojeniu i wzmocnieniu wiary

jego zaangażowania w modlitwę. Pomyślałem: czy mnie byłoby stać na taki heroizm modlitewny? Co więcej można zrobić? Po kliku tygodniach światło. Jest sposób na uwolnienie dziewczyny. Dzwonię. Akurat byli nad morzem, akurat niespodziewanie o dzień opóźnili powrót do domu, akurat mogli, wracając, pójść na nocną pielgrzymkę. Bo właśnie to im zaproponowałem.

Z Miedniewic do Niepokalanowa idzie się 21 km od 22.00 do 5.00–5.30 z dwoma odpoczynkami. Niemały wysiłek. Poszli. Dwa dni później córka wróciła do domu, przestała ćpać, powróciła do życia sakramentalnego. Pielgrzymka, potężna ofiara w konkretnej intencji. Moc modlitwy ciała. Łamanie siebie. Walka.

Niektóre rodzaje złych duchów można wypędzić w y ł ą c z n i e poprzez modlitwę i post. Sama modlitwa nie wystarczy. Piszę „post", a myślę: modlitwa ciała. To może być pielgrzymka, to może być jeszcze inny ekstremalny wysiłek.

Jan Paweł II, gdy bywał bezradny, a musiał podjąć jakąś decyzję, szedł na dróżki kalwaryjskie. Fizyczny wysiłek pomagał dostrzec dobre rozwiązanie. Zmęczenie ciała. Modlitwa plus modlitwa ciała, wysiłek, szansa na głębsze zjednoczenie z Bogiem. Siła ofiary.

Lata wcześniej poznałem historię dziewczyny, która mając 17 lat, poszła na pielgrzymkę na Jasną Górę w intencji uwolnienia taty od alkoholizmu. Pot, krew, łzy. Modlitwa ciała. Pęcherze na stopach, przełamywanie się. Miłość stojąca za potężnym wysiłkiem. Po kilku miesiącach ojciec przestał pić. Nie pije do dzisiaj. Wcześniej próbował już kilkakrotnie, bez rezultatu.

Post, wytrwały wysiłek, walka z własną słabością. Modlitwa ciała służy duchowemu uzbrojeniu i wzmocnieniu wiary.

Czym jest? To kluczowe narzędzie w walce duchowej. Skuteczne w wymiarze osobistym, skuteczne w walce o wolność duchową narodu.

Nad Polską lęk. Indukowany.

Od wielu miesięcy dziesiątki, a może setki tysięcy wiernych modli się o patriotyczny rząd w Warszawie. Lęk zatruwa duszę. Strach pobudza do działania.

Z narracji agentów wpływu wyłania się Polska niewarta obrony. Czym innym jest mówienie prawdy o naszych słabościach, czym innym – sączenie jadu bezwyjściowości. Mamy się poddać, są mądrzejsi na

eprasa.pl 1560eb7ad6

tym świecie, oni nam wszystko poukładają. Mamy się wstydzić siebie, zaakceptować swoją drugorzędność. Nic nie rozumieć z tego, co dzieje się wokół nas.

Od czterech lat trwa wojna, zajmowane są kolejne ziemie sąsiada. Gwałcą i mordują Rosjanie. A Polacy wybrali władzę, która przez lata swych wcześniejszych rządów zwijała polską armię w rosyjskim interesie, ogołacała z wojska wschód Polski, zatrzymała budowę portu lotniczego, który mógłby przyjmować sojusznicze brygady.

Czas lęk zamienić w strach, otrząsnąć się z sieci socjotechnik, żonglerki nienawiścią, pogardą.

Musimy, rozumiejąc sytuację Polski, przestać się lękać, a zacząć się bać, zacząć działać. Podjąć duchową walkę.

Taką bitwę, taką duchową wojnę wytoczył w 1956 r. komunistom Prymas Tysiąclecia. I wygrał tę batalię. W ciągu 10 lat Wielkiej Nowenny uwłaszczył duchowo polskiego chłopa. Zasiał Solidarność. Jeszcze do niedawna patriotyczne media utrzymywali prawie wyłącznie ludzie, którzy wolności doświadczyli za czasów pierwszej Solidarności. Podobne zwycięskie wojny duchowe stoczyli o swoje ojczyzny Filipińczycy i Węgrzy.

W Polsce miała miejsce Wielka Pokuta, Różaniec do Granic, cały czas szerzą się ruchy ekspiacyjne i pokutne. Wiele osób ma dobre intuicje. Jedność jest ważna.

W sakramencie pokuty i pojednania Jezus cudownie przywraca jedność człowieka sprzed grzechu.

Pojednanie. Z Bogiem i samym sobą. Zagrożone narody muszą walczyć o jedność.

Grzech ma swoje konsekwencje. Łamiących przykazania, prawo naturalne Bóg zostawia ich twardym sercom. Dobija się i kołacze bardzo długo, ale tych, którzy konsekwentnie go lekceważą, w końcu zostawia. Mówi: „Niech postępują według swoich zamysłów". Zostawia też przekraczające miarę grzechu narody.

Trwa wojna o umysły. Dlaczego tak wielu Polaków nie identyfikuje zagrożenia bezpieczeństwa Polski jako zagrożenia dla nich samych?

Od pokoleń jesteśmy poddani pedagogice wstydu, Rosjanie i Niemcy atakują naszą narodową jedność, niemieckojęzyczne media szerzą rozwiązłość, jesteśmy wbijani w poczucie drugorzędności.



Fot. Shutterstock

Kiedyś w telewizji Trwam, gdy już opowiedziałem o tysiącu zagrożeń duchowych, kulturowych, cyfrowych, ojciec prowadzący zapytał: „I jak z tym walczyć?". Opowiedziałem o wyjących błyskawicach i bezinteresownej miłości „babci różańcowej". Po paru tygodniach napisał do mnie benedyktyn z Lubinia, b. Paweł, gratulując genialnej prostoty formuły. Jest postulatorem w procesie beatyfikacyjnym o. Bernarda z Wąbrzeźna, a ten właśnie tak działał: modlitwa, post, łagodność, wiara w cud nawrócenia.

Broń dla Polaków. Formuła walki duchowej.

Teresa w intencji syna chodziła co miesiąc na czuwania do warszawskiego kościoła paulinów przy ul. Długiej. Od 20.00 do 3.00–4.00. Wcześniej syn zaczął się niepokojąco zachowywać, inaczej się ubierał, używał dziwnych słów, słuchał ostrej muzyki, stał się dla matki bardzo nieprzyjemny. Wiedział, że Teresa zarywa noce w jego intencji. Kpił, podśmiewał się. W trakcie 10., może 15. czuwania, po mszy świętej trwała adoracja Najświętszego Sakramentu. Teresa usłyszała od ołtarza: „W tej chwili uzdrawiany jest młody chłopak stojący za filarem". Stała za filarem i ze względu na chore kolano była w całym kościele jedyną osobą stojącą. Wspominała: „I dokładnie w tym momencie poczułam ogień przeszywający od góry moje całe ciało". Następnego dnia syn przyszedł do niej z przeprosinami, po jakimś czasie ściął włosy, zniszczył kasety i płyty z ostrą muzyką. Okazało się, że poprzez kontakty w subkulturze muzycznej zaczął wchodzić w satanizm.

Właśnie w ten sposób możesz zawalczyć o bliską ci osobę. O syna idącego na zatracenie, o męża, żonę, córkę. Nie ma sytuacji beznadziejnych. Dla Boga nie ma takich sytuacji. W ten sposób możemy zawalczyć też o Polskę.

Jako naród musimy zacząć ćwiczyć mięśnie duszy. Modlitwa, modlitwa ciała, łagodność, wiara. Wytrwałość, determinacja, czyny bezwarunkowej miłości spełniane z wiarą.

Bóg wchodzi w każdą słabość, którą zauważysz i nazwiesz. Duża część Polaków nie chce przyjąć do wiadomości zagrożenia. Jeśli zaś przyjmują, to lękowo, ucieczkowo.

Nasze dzieci odchodzą od Kościoła zbudowanego na krwi niewinnego cierpienia. Odchodzą mężowie, odchodzą żony, odchodzą przyjaciele, krewni, tak wielu ludzi odchodzi od Boga. Zraniona miłość woła o pomoc. Rozpadają się rodziny, pękają sakramentalne małżeństwa. Brak jedności w narodzie, lęk o przyszłość, niepewność jutra, zagrożenie egzystencjalne.

Przepaść i mądrość – nasze dzieci spadają z wysokości nieba na dno mojej i twojej rozpaczy. Rozproszyły się po całym świecie samotne i bez opieki.

Syn nie umarł, córka żyje, są tylko pogubieni, daleko od miłości kochających ich ludzi. Moim i twoim zadaniem jest pomóc im wrócić do domu, do Kościoła. Odcinając z siebie po kawałku, z miłości do Miłości.

Trzeba walczyć. Można zwyciężać. Postem i modlitwą za nasze dzieci, za nasze rodziny, za małe ojczyzny, za nasze parafie.

Zawalczyć o Polskę i świat dla Jezusa. Dla tego, kto wierzy, kto ufa, wszystko jest możliwe. Mamy przyprowadzić do Ojca nasze dzieci, naszych przyjaciół, nieprzyjaciół i krewnych. Polska warta jest mojego i twojego wysiłku.

Odzyskać Polskę dla Jezusa. Postem i modlitwą. Łagodnością i wiarą.

eprasa.pl 1560eb7ad6

OGNIEM NA WPROST

Ślepi bez ukradzionych starlinków



Andrzej Rafał Potocki

Gen. Ołeksandr Syrski (czyżby pomny naszej krytyki?) zakasał rękawy i wziął się do roboty. 6 lutego głównodowodzący SZU zorganizował konferencję prasową i oświadczył, że na zaporoskim odcinku frontu wkrótce sytuacja ulegnie znaczącej zmianie. Po kilku dniach w ruskich kanałach informacyjnych wybuchła panika mówiąca o potężnej kontrofensywie ukraińskiej na całej długości „języka" – od Hulajpola do Aleksandrogrodu. Odbite przez Ukraińców – jak podają Moskale – miejscowości Sosnówka, Dobropole czy Ternuwate w rzeczywistości nigdy nie zostały opanowane przez bojców. Co prawda Dobropole już wydawało się przez nich głęboko oskrzydlone, ale jak się okazuje, nie na tyle, żeby nie dało się tego szybko odkręcić. Choć sami Ukraińcy nałożyli na te działania mocną ochronę informacyjną, sugerując, że chodzi o lokalne wyrównywanie frontu i oczyszczanie zaplecza. Jednak według ekspertów mamy do czynienia z faktyczną operacją ukraińską, której celem jest wycięcie i zniszczenie ruskiej 36. Armii. Stąd uderzenia w rejonie Pryłuk i Werbowego, czyli na liniach styku między 5. a 36. Armią (Pryłuki) oraz 36. a 29. Armią (Werbowe). Działania ukraińskie to dynamiczna obrona uniemożliwiająca Moskalom skoordynowaną ofensywę z kierunku południowego i wschodniego w celu oskrzydlenia Orzechowa i podejścia pod Zaporoże. W zaporoskim kotle czarownic znowu zawrzało.

Co ciekawe, manewr gen. Syrskiego jest ściśle związany z wyłączeniem Starlinka Moskalom tuż przed ich uderzeniem. Tryzuby wyprowadziły szybkie, krótkie kontry, co wpisało się w koncepcję uderzenia wyprzedzającego. Wszyscy zwracają uwagę na to, że Ukraińcy nie dysponują na froncie południowym siłami, żeby rozwinąć dużą operację, a Moskale mają nieruszone odwody. Kontrataki i konieczność ustabilizowania sytuacji mogą jednak wymusić na ruskich użycie odwodów, zanim sami przejdą do ofensywy. Jeżeli celem jest rozbicie 36. Armii, nie bardzo widać to w topografii. W praktyce nie ma tam żadnych miejsc, na których Tryzuby po ich zdobyciu mogłyby oprzeć swoją obronę. Przecież dziwne by było, gdyby 5. i 29. Armia nie skierowała swoich sił, żeby pomóc sąsiadowi. Chyba że gen. Syrskiemu chodzi o zmuszenie do ruchu jednostek 5. i 29. Armii, przez co osłabią inne odcinki i pozbawią się odwodów. Umożliwi to Ukraińcom atak na innych kierunkach, tym razem opierając się na korytach rzek i liniach wzgórz, żeby umożliwić obronę odzyskanych terenów. Jesteśmy zatem zdania, że na razie rzeczywiście mamy do czynienia z lokalnymi działaniami korygującymi linię frontu i poprawiającymi pozycje ukraińskie w przewidywaniu kolejnej ofensywy Kremla wiosną. Czekamy więc, aż sytuacja się rozwinie.

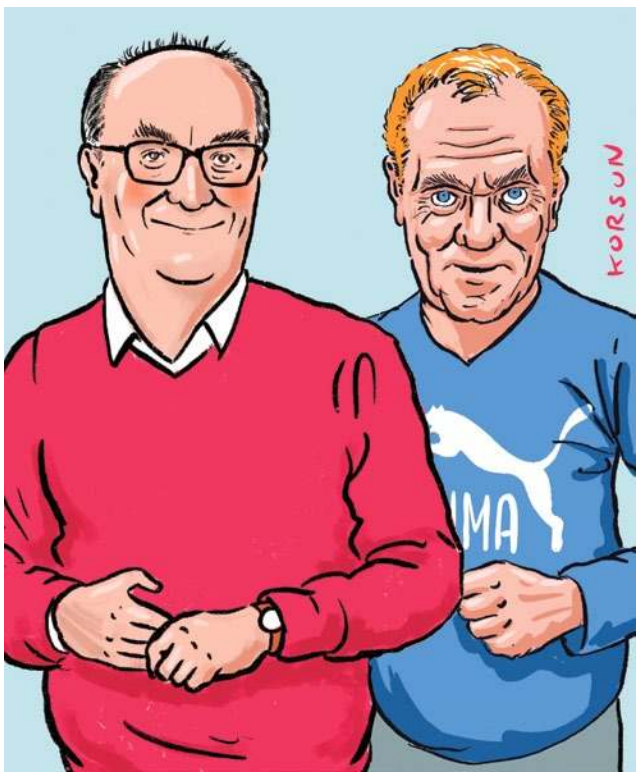
Wróćmy do starlinków. Ukraińskie uderzenie zbiegło się w czasie z pozbawieniem kacapskiej armii systemu łączności. I to zarówno rękami Kremla, jak i Elona Muska. Moskal próbował obejść bana, zamieszczając w mediach społecznościowych ogłoszenia, które za opłatą reaktywują starlinki, używając lokalizacji po ukraińskiej stronie frontu, tzw. dropy. Dodatkowo funkcjonariusze służb Kremla groźbą, szantażem i przekupstwem mieli zmuszać Ukraińców, by rejestrowali nowe terminale Starlinka, a następnie przekazywali je do dyspozycji wojsk Kremla. Ukraińcy zrobili aferę pokazując, że Kacapy wykorzystują system Starlink m.in. do naprowadzania dronów i rakiet na cele ukraińskie. W odpowiedzi firma Muska SpaceX stworzyła wykaz autoryzowanych terminali (przede wszystkim ukraińskich wojskowych) i wyłączyła wszystkie pozostałe, czyli głównie przechwycone przez Moskali. Ponieważ starlinki w Federacji Moskiewskiej są zakazane (choć masowo używane), to formalnie nie istnieje możliwość ich zakupu choćby z drugiej ręki. Dodatkowo SpaceX wprowadziła system wyłączający terminal, jeśli porusza się on z prędkością przekraczającą 75 km/h przez dłużej niż 2 min. To całkowicie resetuje możliwość używania terminali do naprowadzania rakiet i dronów. Nie dotyczy to wszakże terminali z „białej listy", dzięki temu rakieta Flamingo doleciała pod Wołgograd i wysadziła jeden z centralnych magazynów amunicji Moskali. Globalnemu ociepleniu pomogło 150 t amunicji, czyli odpowiednik mniej więcej rocznej emisji spalin w dużym mieście w Polsce. Efekt jest taki, że dowództwo sił moskiewskich straciło możliwość bieżącego obrazowania pola walki, wykorzystującego m.in. system kamer online. Raporty sytuacyjne spływają z opóźnieniem sięgającym nawet godzin, podczas gdy sytuacja zmienia się w ciągu minut. Ukraiński atak zaczął się dokładnie wtedy, kiedy Musk odłączył ruska od starlinków. Całość to była operacja ukraińskich służb, konkretnie 256. Dywizji Cyber. Nie musimy się bać armii Kijowa, tylko ich wywiadu.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1560eb7ad6

***Michał Korsun prezentuje:* Morawiecki: albo Tusk z Czarzastym, albo bezpieczeństwo Polski**



Wycinki z przeszłości

Z biegiem czasu coraz bardziej przesuwa się granica wieku macierzyństwa. Już przed wojną zdarzały się jednak historie, które zadziwiały opinię publiczną. W 1934 r. „Nowiny Codzienne" pisały: „W jednej z wsi pod miasteczkiem Horoszcze [...] 64-letnia Anna Cieślukowa powiła zdrowe dziecko". Co więcej, „matka w tych dniach przybyła do sądu w Białymstoku, aby świadczyć w pewnej sprawie", a jej najstarszy wnuk miał wówczas 25 lat.

(sp)



NOWINY CODZIENNE

64-letnia kobieta powiła dziecko

Warszawa. Z Białegostoku donoszą: W jednej z wsi pod miasteczkiem Horoszcze koło Białegostoku wydarzył się niezwykły wypadek. Oto 64-letnia Anna Cieślukowa powiła zdrowe dziecko. Matka i dziecko czują się doskonale, a nawet matka w tych dniach przybyła do sądu w Białymstoku, aby świadczyć w pewnej sprawie. Cieślukowa wyszła zamąż zamłodu w 17 roku życia i pogrzebała już 2 mężów. Najstarszy jej wnuk liczy obecnie 25 lat a stryj jego znajduje się jeszcze w pieluszkach.

Z WOLEJA

Parę filmów i krzesło elektryczne



Ryszard Czarnecki

To historia rodem z Hollywood albo Bollywood – jak kto woli. Skoczek narciarski, który nigdy nie stanął na podium w Pucharze Świata, jedzie na igrzyska i zdobywa trzy medale! Trzy kwartały temu ten książę Kacper z bajki był kopciuszkiem. Na szczęście nie odbiła mu sodówka. Jest megaskromny i nie zapowiada się na showmana niczym polski mistrz świata Piotr Żyła, po którego bon motach grzał się internet. Medalista Tomasiak przez lata był ministrantem, a do mszy służył ostatnio jakieś cztery tygodnie temu, gdy jego babcia obchodziła urodziny. Może dlatego nie odleciał (poza skocznią...).

Inny film można nakręcić o Damianie Żurku, który na tych igrzyskach dwa razy otarł się o podium w łyżwiarskich sprintach. Pobił w ten sposób polski zimowy rekord pecha, który na IO w Pekinie w 2022 r. ustanowił jego kolega z reprezentacji – Piotr Michalski (był czwarty i piąty na tych samych dystansach).

Ale jest jeszcze jeden film, choć tym razem z happy endem – o bojarze, który uciekł z Rosji i dla Polski, nowej ojczyzny, wywalczył olimpijski medal. A do tego nauczył się polskiego hymnu – inaczej niż futbolista z Nigerii Olisadebe oraz kilku innych importowanych piłkarzy. W tej beczce srebrnego – bo takiego koloru był medal – miodu znalazła się łyżka dziegciu. Niestety jest to łyżka ukraińska. Liderka tej mniejszości narodowej w Polsce zaatakowała naszego łyżwiarza za to, że urodził się nie tam, gdzie trzeba. Ukraińscy goście powinni się cieszyć z sukcesów polskich gospodarzy, a nie odwalać takiej padaki jak owa pani. Oczekiwałbym od paniusi, która od lat korzysta z gościnności Polaków, aby podziękowała polskiemu państwu za to, że jej rodacy za darmo lub półdarmo mogą trenować w polskich ośrodkach sportu, przygotowując się do największych imprez na których... rywalizują z Polakami. Skoro zwykłe „dziękuję" nie przechodzi przedstawicielom tej nacji przez usta, to trzeba przemyśleć, czy rzeczywiście powinniśmy się tak spieszyć z tym pomaganiem.

Gdy piszę te słowa, Polacy zdobyli cztery razy więcej krążków niż na IO cztery lata temu. Z pewnym obrzydzeniem patrzę na media, które po letnich igrzyskach w Paryżu wieszały prezesa PKOl za to, że medali było tak mało (rzeczywiście było ich bardzo niewiele). W myśl tej logiki powinni teraz stawiać Piesiewiczowi medialny pomnik, ale na pewno tego nie zrobią, bo jego kandydaturę na prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego poparł prawicowy prezydent i prawicowy wicepremier. Ot, taka mała polityczka, bo z prawdziwą polityką ma to tyle wspólnego, co krzesło z krzesłem elektrycznym.

eprasa.pl 1560eb7ad6



OD A DO ZYBERTOWICZ

Kpina z historii

Musi dziwić, że polityk o takiej przeszłości nie zabiega gorliwie o pełną przejrzystość swoich powiązań

Urząd marszałka Sejmu pełni dziś osoba, której przeszłość i niejasności wokół jej obecnych kontaktów każą pytać: w imię czego Donald Tusk poszedł na tak ryzykowny kompromis, dopinając koalicję anty-PiS? Czyżby uwierzył, że w historii ma już zagwarantowane dla siebie *godne* miejsce, a to, co się dzieje teraz, to stare porachunki? A jeśli premier ma historię w nosie? A jeśli buduje strefę komfortu sobie i bliskim wokół czegoś zupełnie innego? Tyle że to nie jest tylko sprawa Tuska.

Ministrowie, politycy obecnej koalicji rządzącej, wyborcy tych polityków i wszyscy fani tzw. uśmiechniętej Polski – czyli państwa, które, o ironio, chce być nowoczesne, przejrzyste i bezpieczne – zapisują się na złej karcie polskich dziejów.

STARA, NIEPRZEJRZYSTA, NIEBEZPIECZNA

Obecny marszałek Sejmu to postać z samego centrum afery Rywina, jednej z najgłośniejszych afer korupcyjnych III RP, jednego z najpoważniejszych kryzysów zaufania publicznego w okresie budowania naszej demokracji.

Afera Rywina nie wybuchła w czasach transformacyjnego chaosu, lecz w fazie krzepnięcia demokracji, w 2002 r. Nikt, kto w jej kontekście odgrywał niejasną rolę, nie może się zasłaniać „winą systemu" czy „duchem epoki". To była świadoma gra o wpływy, a nie *uboczny* efekt przemian ustrojowych. Producent filmowy Lew Rywin złożył Agorze (wydawcy „Gazety Wyborczej") propozycję ustawienia korzystnych zapisów w ustawie medialnej w zamian za 17,5 mln dol., twierdząc, że działa w imieniu „grupy trzymającej władzę". Sprawa Rywina ujawniła patologiczne zakulisowe naciski, rolę nieformalnych układów i prób wpływania na proces legislacyjny przez osoby powiązane z polityką.

CIĘŻAR GATUNKOWY

Włodzimierz Czarzasty, ówcześnie członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, pojawiał się w kontekście tej głośnej afery w sposób, który do dziś budzi nie tylko pytania o standardy życia publicznego tamtego okresu, lecz także niepokój co do niego samego.

Choć nie poniósł odpowiedzialności karnej, pojawienie się jego nazwiska w zeznaniach i analizach komisji śledczej sprawiło, że w debacie publicznej bywa on kojarzony z szerszym kontekstem nieprawidłowości w swoim środowisku.

Dla osoby stojącej na czele Sejmu – instytucji, która ma być wzorem przejrzystości i strażnikiem zasad demokratycznych – taki bagaż historyczny to bardzo poważne obciążenie.

Komisja śledcza wykazała liczne nieprawidłowości w otoczeniu rządowym i medialnym, a sama afera stała się symbolem patologii życia publicznego tamtego okresu. Dlatego musi dziwić, że polityk o takiej przeszłości nie zabiega gorliwie o pełną przejrzystość swoich powiązań.

CIĄG PYTAŃ

Wokół działalności biznesowej Włodzimierza Czarzastego od lat pojawiają się pytania, które nigdy nie doczekały się pełnego wyjaśnienia. Gdy mowa o jego majątku czy o wydawnictwie Muza, regularnie wracają wątki dotyczące finansów dawnej PZPR i tego, w jaki sposób część mienia tej partii trafiła do prywatnych podmiotów na początku lat 90. ub.w.

Ale zastanawia nie tylko ta nieostra granica między partią, która formalnie przestała istnieć, a firmami, które zaraz potem się wyłoniły.

Ostatnio mamy na tapecie informacje o współpracy Włodzimierza Czarzastego z bliską putinowskich elit rosyjską bizneswoman Swietłaną Czestnych. W sytuacji geopolitycznej, gdy Polska jest na pierwszej linii sporów z Rosją, okazuje się, że sam marszałek Sejmu ma jakieś niewyjaśnione kontakty rosyjskie. Jakby tego było mało, ktoś, kto powinien być wzorem przestrzegania procedur, sam nie wypełnia ankiety bezpieczeństwa, która jest standardowym narzędziem w państwie prawa.

Ale dla mnie najpoważniejszym zarzutem wobec marszałka Czarzastego jest trwały brak przejrzystości w jego życiorysie publicznym. Przecież nie chodzi o pojedynczy incydent, lecz o ciąg niejasności, które przez lata narastały, zamiast być wyjaśniane.

LOGIKA ARYTMETYKI KOALICYJNEJ…

…wyniosła postkomunistę na szczyt parlamentu. Wyborcy strony „demokratycznej", czy widzicie, co uczyniliście?

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 1560eb7ad6

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz



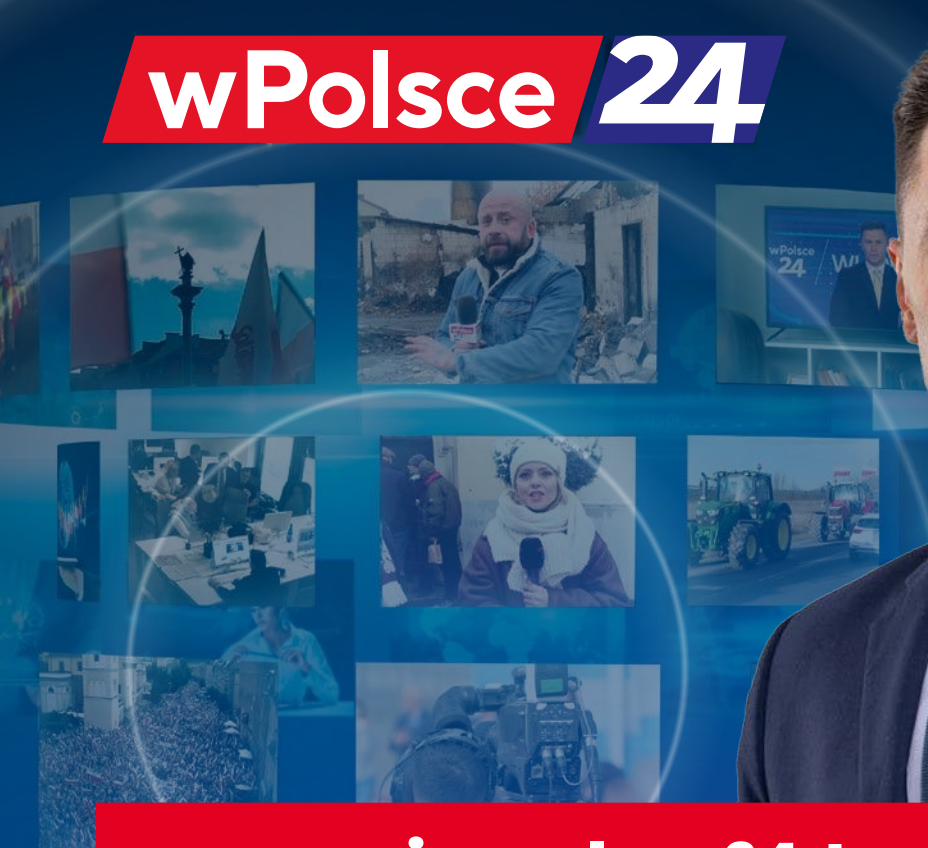
WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

Zbieramy fundusze na mobilne centrum transmisyjne.
Chcemy być jeszcze bliżej widzów
i walczyć o polskie sprawy!

POMÓŻ NAM ODKRYWAĆ PRAWDĘ

wPolsce24





Piotr Pawelec
prowadzący „Wiadomości"

wesprzyj.wpolsce24.tv

WSPIERAJ wPolsce24

Wesprzyj niezależne media

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty:

DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 156